

**Dominikanie:
nic nie widzieli, nie słyszeli**

**Konrad Ambroziak
Dlaczego dzieci się zabijają**

**Po co byliśmy
w Afganistanie**

**Prof. Beata Javorcik
Spodziewacie się inflacji? To będzie**



POLSKA PROTESTUJE

DUDA BUMELUJE



teatr powszechny

Teatr, który się wtrąca

homework | Córka, Skokun

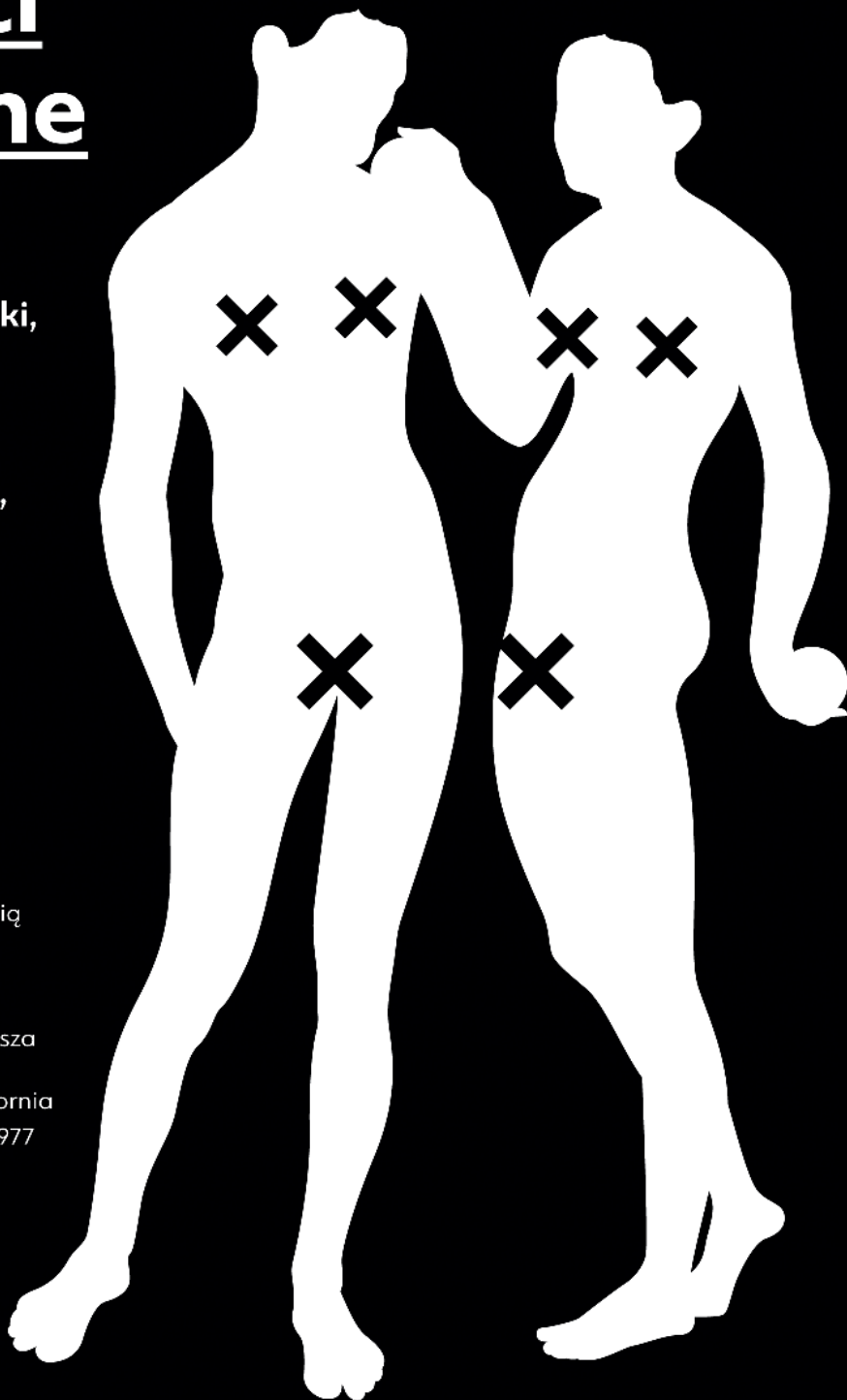
Opowieści niemoralne

Aleksandrowa, Bożek,
Brykalski, Czachor, Falkowski,
Hawrot, Kłak, Kowalczyk,
Kryst, Lange, Ioann Maria,
Murek, Robaszkiewicz, Róż,
Skrzywanek, Skwarczyńska,
Stolarska, Sulej, Usenko

premiera 25 września
kolejne pokazy:
26, 28, 29.09 i 14-17.10

Współczesny traktat stawiający pytanie
o to, czy seksualność jest dziś przestrzenią
wolności czy zniewolenia.

Opowieść o domu i rodzinie, o kinie,
teatrze i naturze. Inspiracje dla scenariusza
stanowiły filmy Waleriana Borowczyka,
transkrypt rozprawy sądowej Stan Kalifornia
vs. Roman Raymond Polański z marca 1977
roku oraz materiały dokumentalne dot.
współczesnych fetyszy.





GARMOND nie płaci nam od lutego

Świat, w którym wszystko jest płynne i praktycznie nieprzewidywalne, może być fascynujący. Ale na krótko. Na dłuższą metę takie życie staje się udręką. Czego coraz więcej Polaków zaczyna doświadczać od rządzącej prawicy. Żrący się między sobą politycy wciągają w swoje obsesje kolejne grupy społeczne i zawodowe. Szósty rok podchodów, agresji oraz kłamstw, w których celuje zwłaszcza premier Morawiecki, musi odstraszać także co uczciwszych i wrażliwszych wyborców PiS. Dlaczego więc sondaże ciągle dają przewagę rządzącym? Powodów jest oczywiście wiele, ale na czoło wysuwa się słaba ocena opozycji. Sądzę, że doszliśmy do takiego etapu, w którym nawet część obecnych wyborców władzy zmieniałaby front, gdyby miała sensowną alternatywę. Czyli taką ofertę, która zapewni utrzymanie w przyszłości tego, co obywatele dostali od rządu. Chodzi tu o pakiet socjalny i płacowy, o którym wcześniej PO mówiła, że pieniędzy na to nie ma i nie będzie. Pamięć o polityce Tuska jest w Polsce ciągle żywa. A jak ktoś zapomina, to media rządowe skutecznie mu przypominają tamte rządy. Wiarygodność ówczesnej ekipy PO-PSL, która uparcie stara się o powrót do władzy, jest w związku z tym ograniczona głównie do tych, którym wtedy żyło się znacznie lepiej.

Lewica z kolei sama grzebie swoje szanse. Nie trzeba jechać na Sycylię, bo wystarczą meldunki z partyjnego życia dwóch panów, którzy chcą się uwłaszczyć na partii politycznej. Nieudolne kopiowanie modelu, jaki stworzył Kaczyński, pasuje do

lewicy jak siodło do krowy. I skończy się kląpą wyborczą. Jedno skrzydełko przygarnie PO, a drugie PiS.

I może wtedy osierocona większość spróbuje odbudować w Polsce lewicę bardziej ideową, bliższą ludziom pracy i demokratyczną.

A my, czyli fundacja i redakcja, spróbujemy się odbudować po numerze, jaki nam wyciął GARMOND PRESS (zarząd – Jerzy Marian Szmid, organ nadzoru – Jakub Seweryn Szmid, Julia Szmid i Krzysztof Szmid – wypis z KRS).

Od 3 sierpnia GARMOND jest w restrukturyzacji, czyli płacić za sprzedane gazety nie będzie. Co to oznacza dla nas? Ostatnia płatność, jaką od niego otrzymaliśmy, dotyczy numeru STYCZNIOWEGO, a konkretnie 25 STYCZNIA. Kolejne numery GARMOND sprzedał, ale pieniędzy nie przekazał. Przeterminowane zadłużenie GARMONDU wobec nas to z odsetkami 182 621 zł. A całe przekroczyło 300 tys. zł. We wrześniu zmniejszyliśmy nakład kierowany do GARMONDU, który wezwał nas do dalszego wysyłania mu PRZEGLĄDU, czyli do darowizny. Choć pensji sobie tam nie zmniejszyli.

Wydawców traktowano według nieznanym nam kryteriów. Straty wydawców prorządowych nie są aż tak wysokie. Pewnie przez przypadek? Co w tej sytuacji można zrobić? Zwracam się do prawników czytających nasz tygodnik z prośbą o pomoc prawną.

JESIENNA PROMOCJA

Załącz konto i kup za **100 zł** nasze książki na www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

a otrzymasz W PREZENCIE

PAKIET E-BOOKÓW POLSKI LUDOWEJ

Promocja do końca października

CYTATY TYGODNIA

ANDRZEJ SZCZĘŚNIAK,
ekspert rynku paliw i energii

W 2020 r. cena gazu amerykańskiego – LNG (na granicy polskiej) była o 98% wyższa niż cena gazu rosyjskiego.
„Angora”

ALEC BALDWIN, aktor amerykański
Amerykanie wiedzą o spokojnym i zdrowym życiu znacznie mniej niż większość cywilizowanego świata.
„Forum”

BĄKOWSKI



W NUMERZE

KRAJ

- 8** Czy jesienne strajki są zapowiedzią radykalnych zmian?
Solidarność odeszła do lamusa
- 12** Miasteczko nadziei
Ile wytrzymają medycy
- 13** Polska protestuje, Duda bumeluje
Z dala od problemów rodaków
- 15** Sam strach przed wyższymi cenami może je nakręcać
– rozmowa z prof. Beatą Javorcik
- 18** Dominikanie: nic nie widzieli, nic nie słyszeli
Raport komisji Terlikowskiego
- 22** Nie moralizuj, nie bagatelizuj, wysłuchaj, zrozum
– rozmowa z Konradem Ambroziakiem
- 54** Człowiek zwierzęciu człowiekiem
Na ratunek najsłabszym

MEDIA

- 21** Dziennikarze na granicy

WOJSKO

- 26** Po co byliśmy w Afganistanie?
To nie była misja pokojowa

ZAGRANICA

- 30** W Berlinie mieszkanie prawem, nie towarem
– rozmowa z Joanną Kusiak
- 34** Koniec z „magazynem dla migrantów”
Turcja i napór ze wschodu
- 36** Szczepionkowy sukces Hiszpanii
Obyło się bez zachęt
- 38** Twierdza Antypody
Obywatele uwięzieni za granicą

OPINIE

- 40** Janusz Rolicki
Czas powiedzieć NIE
- 42** Bogdan Galwas
Więcej szacunku dla Angeli Merkel
- 44** Bogusław Czarny
Jak ten trzmiel to robi?

HISTORIA

- 46** Bałkańska porażka Stalina
Konflikt i rozłam

KULTURA

- 48** 25 lat Instytutu Fizjologii i Patologii Słuchu
- 50** Nie jesteśmy kowalami swojego losu
– rozmowa z Tomaszem Stawiszyńskim
- 53** Kulturalia
- 66** Artysta jest obecny

OBSERWACJE

- 58** W 128 dni dookoła Anglii
Rekord Tomasza Kowalskiego

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3** Jerzy Domański
GARMOND nie płaci nam od lutego
- 25** Jan Widacki
Ojciec chrzestny
- 29** Roman Kurkiewicz
Suknia masowego rażenia
- 33** Tomasz Jastrun
Wyciskarka do cytryn
- 43** Agnieszka Wolny-Hamkało
Jeśli będziecie nas niszczyć, niszczyć, niszczyć

15

KRAJ

SAM STRACH PRZED WYŻSZYMI CENAMI MOŻE JE NAKRĘCAĆ

– rozmowa z prof. Beatą Javorcik



30

ZAGRANICA

W BERLINIE MIESZKANIE PRAWEM, NIE TOWAREM

– rozmowa z Joanną Kusiak

50

KULTURA

NIE JESTEŚMY KOWALAMI SWOJEGO LOSU

– rozmowa z Tomaszem Stawiszyńskim



Projekt okładki: Daria Słowińska-Kettner

FOT. JAKUB KAMIŃSKI/EAST NEWS, MARCIN GADOMSKI/AGENCJASE/EAST NEWS, KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI (2)



✉ Dwa razy konstytucja

Cała opozycja dyskutuje na płaszczyźnie narzuconej: że chodzi o wyższość polskiej konstytucji nad prawem unijnym. Tymczasem wszystkie zastrzeżenia TSUE odnoszą się do sytuacji, która powstała w wyniku niezgodności „reform” sądowniczych z konstytucją i braku potrzebnej do wprowadzania zmian ustrojowych większości w Sejmie. Chodzi więc w istocie nie o kwestionowanie prawa krajowego, lecz o wytknięcie nieporządku, który wziął się z jego łamania. Podporządkowanie się dotyczy wyłącznie wyroków TSUE, do czego Polska, wstępując do Unii, się zobowiązała.

Druga kwestia to pytanie o nieodpisywanie składki zdrowotnej od podatku. Dlatego była odpisywana, że konstytucja zapewnia opłacanie służby zdrowia ze środków publicznych. Człowiek wiedział, jaką płaci składkę, ale państwo mu ją zwracało. Teraz ma to być coś w rodzaju obowiązkowego ubezpieczenia. Jak to się ma do prawa najwyższego, niech się wypowiedzą konstytucjonałści.

Andrzej Lam

f Kadrowcy — zniszczyli polski Kościół

Sociolodzy religii już dawno zauważyli i zbadali, że co najmniej od końca wojny środowisko kleru katolickiego w Polsce stało się coraz bardziej (i w końcu całkowicie) zdominowane przez ludzi pochodzących z zapadłych wiosek, z regionów bardzo tradycyjnych i równie zacofanych cywilizacyjnie. Ci przenieśli doń wszystko to, co wynieśli z domów rodzinnych, a wzorować się nie mieli już na kim, bo duchownych ze środowisk z tzw. kapitałem kulturowym (ziemiańskich, mieszczańskich, inteligenckich) było coraz mniej i w końcu w ogóle ich zabrakło. A może i nie chcieli się wzorować? Bycie księdzem — a cóż dopiero biskupem! — to czynnik nader łatwo wbijający w pychę i skutecznie odwołujący od jakiegokolwiek pracy nad sobą, zwłaszcza gdy wiąże się z awansem społecznym. Prymusowy celibat oraz stosunki wewnętrzne, odstraszające i przeplaszające z seminariów kandydatów z prawdziwym powołaniem, a sprzyjające cynikom oraz cwaniakom — czy wręcz promujące ich — dopełniły reszty. Dziwisz i Kowalczyk wybierali takich, bo raz, że nie było już z kogo wybierać, a dwa — oni byli tacy sami.

Krzysztof Guderski



Największą klęską dla naszego Kościoła był wybór Polaka na papieża. Wszyscy pomyśleli, że jesteśmy narodem wybranym, że Jan Paweł II zapewni funkcjonowanie Kościoła w Polsce. Księża chodzili jak pany, nie martwiąc się o wiernych. No i naraz umarł papież i cały kler obudził się z ręką w nocniku. Przecież pamiętamy Kościół sprzed 1989 r. jako ostoję wolności, jako czynnik wspomagający w walce z komunistami, Kościół razem z wiernymi.

Andrzej Różga

Warto wspomnieć o decyzji Jana Pawła II o rozbięciu diecezji i sprowadzeniu do parteru roli prymasa Polski, który nie ma już nic do powiedzenia. Kard. Wyszyński przewraca się w grobie, jak widzi cierpienie abp. Polaka.

Zdzisław Żak

Wydawało się, że Kościół katolicki walczy o naszą wolność, demokrację, tymczasem chodziło tylko o korporacyjny interes, władzę i zahamowanie laicyzacji.

Ewa Erlend

ZDJĘCIE TYGODNIA



Jurowlany, interwencja Straży Granicznej wobec uchodźców.

12,3 mln Polaków ma już profil zaufany.

Mimo antyimigranckiej retoryki coraz więcej cudzoziemców spoza Unii dostaje zezwolenie na pracę w Polsce. W 2020 r. było to: 8213 osób z Gruzji, 3885 z Indonezji, 2464 z Kazachstanu, 1033 z Etiopii, a nawet 554 z Nigerii.

Jessica Bruder, amerykańska reporterka, otrzymała Nagrodę im. Ryszarda Kapuścińskiego za „Nomadland. W drodze za pracą” (Wydawnictwo Czarne). Tłumaczenie Martyna Tomczak.

Jagoda Grondecka, bohaterka niedawnych wydarzeń w Afganistanie, **otrzymała tytuł Dziennikarki – Obywatelki 2021** przyznany przez Towarzystwo Dziennikarskie.

Grażyna Juszczak, emerytowana nauczycielka matematyki w szkole w Krapkowicach na Opolszczyźnie, która w 2013 r. zdjęła krzyż w pokoju nauczycielskim, mimo kolejnej interwencji prokuratora generalnego Zbigniewa Ziobry ma zostać przeproszona za dyskryminacyjne zachowania szkoły.

1 329 491 oświadczeń o zamiarze powierzenia pracy Ukraińcowi zarejestrowały w 2020 r. powiatowe urzędy pracy.

Liczba sklepów internetowych w Polsce zbliża się do 50 tys. Do lipca br. otwarto 5,2 tys. nowych.

Ponad 10 mln jaj kurzych dostarczanych na rynek daje Polsce szóste miejsce w Europie.



Najmniej zaszczepionych na początku września było w powiatach kolbuszowskim (25,87%) i ropczycko-sędziszowskim (28,80%) w Świętokrzyskiem, kolneńskim (30,50%), grajewskim (30,55%) i tomżyńskim (30,88%) w Podlaskiem oraz niżańskim (29,22%), strzyżowskim (30,91%) i leżajskim (31,59%) w Podkarpackiem.

Od ponad trzech miesięcy trwa czesko-polska wojna o skutki działalności kopalni Turów dla środowiska. Czesi żądają 5 mln euro dziennie, a rząd Morawieckiego liczy na łagodne podejście TSUE.

Konstanty Radziwiłł, wojewoda mazowiecki z PiS, który bezprawnie **przejął od Warszawy Szpital Południowy**, zadłużył go na ok. 20 mln zł, zatrudniając 116 osób. A w lipcu i sierpniu na jednego pacjenta przypadało tam kilkudziesięciu pracowników. Opłacanych o wiele lepiej od tych, którzy realnie walczyli z covidem. Szpital wrócił do miasta, ale czeka na audyt.

Ministerstwo Klimatu i Środowiska przygotowuje przekazanie **zakonowi oblatów**, który ma siedzibę na Świętym Krzyżu, cennego przyrodniczo terenu Świętokrzyskiego Parku Narodowego. Oblaci na działce o powierzchni 1,3 ha planują wybudować hotel.

PRZEBŁYSKI

Rycho nie odpuszcza

Szykuje się gruby numer. I nie jest to bynajmniej aluzja do sylwetki Rycha Czarneckiego. Jeśli ktoś myśli, że są granice bezwstydu, to jest w tzw. mylnym błędzie. Patrzysz na Czarneckiego i widzisz, jak wszystkie dotychczasowe grube numery spływają po nim jak po kaczce. I to też nie jest aluzja. Tenże Rycho jeszcze we wrześniu może zostać prezesem Polskiego Związku Piłki Siatkowej. Ma przecież cenny atut, którym się chwali działaczom: „Umiem pozyskiwać środki finansowe, wiem, jak to się robi”. I to akurat prawda. Czarnecki jako polityk zarobił tyle, że jest milionerem. Na siatkówce też zarobił. Siatkarzom kasę ma dawać Orlen, więc klękę przedwyborczą robi Rychowi prasa... orlenowska. Czy polskie siatkarki i siatkarze muszą dźwigać na swoich barkach takiego prezesa?



Rydz-Śmigły do skansenu

Co młodzi czytelnicy pytają, jak przerwać paranoję z nazwami ulic, przy których muszą mieszkać, a wiedzą, że to wstyd. W Łodzi zostali obdarowani aleją Marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego. Jedną z najważniejszych alei miasta upamiętnia człowieka, który zwał przed Niemcami za granicę. Zostawiając żołnierzy, którymi miał dowodzić. I cywilów, którzy próbowali walczyć z agresorem. Rydz-Śmigły to modelowy przykład zdrady i haniebnego postawy. A jednocześnie „bohater” mający setki ulic, placów itp. Chyba już najdłuższą pora kończyć tę paranoję. Z nim i wieloma innymi również „zastużonymi”.

Zieliński od konfetti plus milion

Gdy w listopadzie 2019 r. policja pozbyła się Jarosława Zielińskiego, który jako wiceminister MSWiA zrobił sobie z suwalskiej policji



„prywatny folwark”, radości nie było końca. Nie doceniono jednak bezczelności dojrzałej zmiany. Zielińskiego odwołano, ale ochronę SOP (dawny BOR) i wypasioną służbową furę mu zostawiono. I tak od 22 miesięcy bulimy na pisowskiego bonzę kilkadziesiąt tysięcy złotych miesięcznie! Licząc skromnie po 50 tys. zł, wychodzi ponad milion złotych za wogo. Nawet jak na standardy tej ekipy aczego więc bulimy? Bo w latach 90. Centrum. A w 2007 r. nawet sekreteddy po chamsku wygonił z gabinetu chima Brudzińskiego.

Przydacz czy Dzielski?

Kto kogo? Odwieczne pytanie w świecie dyplomacji. Frustruje ta kwestia obserwatorów wojny podjazdowej o placówkę w Kanadzie. Kandydatów jest wielu, ale poważnych dwóch. Niestety, obydwaj średnio kompetentni. A że teraz liczy się wyłącznie dojście do Nowogrodzkiej, zobaczymy, kto jest bliżej PiS. Kandydat prezydenta Dudy, a precyzyjniej eksviceprezydenta Krzysztofa Szczerskiego, Witold Dzielski, urzędnik z kancelarii Dudy, czy kandydat Morawieckiego, wiceszef MSZ Marcin Przydacz? Sam Przydacz chce jak najszybciej gdzieś wyjechać, bo jest skromnej wiary w długie rządy tej ekipy.





PYTANIE TYGODNIA

Najlepsze miejsce na pomnik Lema to...

BARBARA SCHABOWSKA,

dyrektor Instytutu Adama Mickiewicza

Najlepszym pomnikiem Lema byłaby trwała współpraca środowisk artystycznych i naukowych wokół kwestii związanych z kondycją człowieka i przyszłością naszej planety. Wspólne działania ludzi kultury i nauki, pod lemovskim szyldem, pomogłyby podtrzymać żywą pamięć o Stanisławie Lemie bardziej niż spiżowe pomniki. Na podobnej zasadzie budujemy nasze międzynarodowe projekty artystyczne, inspirowane twórczością tego genialnego pisarza i wizjonera. W setną rocznicę urodzin Lema udało nam się zrealizować serię wystaw poświęconych „Bajkom robotów”, seminaria inspirowane zbiorem esejów „Summa technologiae”, koncerty z premierowymi wykonaniami utworów polskich kompozytorów, a także projekty z zakresu nowych mediów, korzystające z wirtualnej i rozszerzonej rzeczywistości. Ale to nie koniec, bo dziedzictwo Lema i myślenie o przyszłości mają

strategiczne znaczenie w naszych planach na kolejne lata.

MAGDALENA ŚWIERCZEK-GRYBÓŚ,
*pisarka, badaczka twórczości Lema,
Polska Fundacja Fantastyki Naukowej*

Dla mnie odpowiedzią jest oczywiście Kraków, zwłaszcza po ostatnich wydarzeniach, czyli festiwalu Bomba Megabitowa i Kongresie Futurologicznym, a więc obchodach urodzin Lema, które odbyły się właśnie w mieście, gdzie Lem tworzył, mieszkał i umarł. Przede wszystkim jednak powinniśmy starać się upowszechniać jego utwory i filozofię, tak by czerpały z nich również kolejne pokolenia, bo Lem trafnie przestrzegał, podstawił nam lustro, uczył pokory. Bez pokory przyszłe pokolenia będą miały bardzo ciężko. I bez silnej inspiracji, motywacji do tego, by szukać, tworzyć, wynajdywać, sięgać coraz dalej. Według mnie powinno być dużo konkursów dla młodych fantastów i naukowców – bo tylko w twórczych ludziach nadzieja na to,

że najczarniejsze scenariusze Lema się nie spełnią.

Czytelnicy PRZEGLĄDU
ADAM JAŚKOW

Przed dawną cukiernią hotelu Cracovia. A w samym hotelu można by zrobić muzeum, bo minister kultury nie ma bladego pojęcia, co zrobić z zabytkowym budynkiem. A tak byłoby Muzeum Lema z pomnikiem Lema zmierzającego na ciastka. A w budynku Trurl, Kłapaucjusz i Elektrybatt.

JAN KOCHANOWSKI

W miejscu mającego powstać pałacu Saskiego. Lem ucieszyłby się pewnie, że mógł dla nas zaoszczędzić 2,5 mld zł.

WŁODZIMIERZ MYTNIK

Najlepiej wcale nie stawiać mu pomnika. Sam sobie go stworzył swoimi utworami, a poza tym w Polsce mamy nadmiar pomników.

Not. Michał Sobczyk



Czy jesienne strajki są zapowiedzią radykalnych zmian?

Dopóki ludzie postrzegają wszystkie problemy osobno, rządzący mogą spać spokojnie

Anna Brzeska

Mówi się, że nadchodzi jesień ludów. Przed Kancelarią Prezesa Rady Ministrów od 11 września – gdy ulicami Warszawy przemaszewowało ponad 30 tys. medyków – stoi założone przez nich białe miasteczko. Na skutek protestów ratowników medycznych w całym kraju, w pierwszych dniach września do pracy nie wyjechało 25% karettek. W Warszawie 1 września nawet połowa została na parkingach. Wypowiedzenia z pracy złożyło ok. 1,5 tys. przedstawicieli tego zawodu, tysiące jest na zwolnieniach lekarskich.

Protest medyków wspierają rolnicy zrzeszeni w Agrounii, którzy pod koniec sierpnia blokowali drogi w kilkunastu miejscach w Polsce. Domagają się m.in. pokrycia strat związanych z chorobami zwierząt oraz umorzenia kredytów. Reakcja rządu? W lipcu, jak twierdzi lider Agrounii Michał Kołodziejczak, policja użyła przeciw protestującym gazu łzawiącego, w sierpniu premier Morawiecki zapowiedział kolejne „zdecydowane reakcje” służb mundurowych na blokady. Rolnicy odgrają się, że protesty szybko im się nie znudzą, możemy zatem spodziewać się kolejnych.

Niezadowoleni ze swojej sytuacji zawodowej są też urzędnicy. 10 września przez stolicę przemaszewowali pracownicy sądów i prokuratur w tzw. czerwonym marszu. Domagają się adekwatnej waloryzacji wynagrodzeń

Obecnie w grupach zawodowych widoczna jest dość duża solidarność – i to ponad podziałami politycznymi.

(obecnie w ogromnej większości zarabiają mniej niż 4,5 tys. zł brutto) oraz zwiększenia liczby etatów w urzędach. Już w sierpniu duże centrale związkowe Ogólnopolskie Porozumienie Związków Zawodowych i Forum Związków Zawodowych zapowiedziały, że na jesieni ruszą z protestami, jeśli w ustawie budżetowej rząd nie zagwarantuje im 12% podwyżki. Rząd ugiął się nieco, ale zaproponował urzędnikom jedynie 4,4%, co w przypadku słabo zarabiającej grupy zawodowej dałoby grosze. Związkowcy już stwierdzili, że to stanowczo za mało, co może oznaczać jedno – będzie dym.

Wkurzeni są pracownicy ZUS, którym zapowiedziano niedawno przejście obowiązków związanych z wypłatami 500+. To już kolejne narzucone tej instytucji świadczenie do obsługi (po wypłatach w ramach tarczy covidowej),

za którym nie idą podwyżki dla pracowników. Urzędnicy domagają się co najmniej 1 tys. zł brutto więcej.

Czy te niezadowolone grupy obywateli zrobią władzy jesień średniowiecza? Ta ubiegłoroczna, choć absolutnie bezprecedensowa w historii III RP, w czarnych ciuchach i z aborcją na transparentach, wypaliła się w okolicy świąt. I chociaż z dreszczem na plecach śpiewaliśmy „Na ulicach, na balkonach, wszędzie osiem gwiazd / Pora się pakować, właśnie kończy się wasz czas” (to fragment utworu licealisty z Tychów, Karola Krupiaka) oraz brzydkie piosenki o PiS, potem rozeszliśmy się do domów. Na ulicach zostały najwytrwalsze działaczki.

Może teraz będzie inaczej? W historii III RP próżno szukać strajków generalnych i zatrzymania gospodarki na poważną skalę, nie było też sytuacji, w której protestowałyby tak wiele branż jednocześnie.

Czy jesienne strajki są zapowiedzią radykalnych zmian? O odpowiedź na to pytanie poprosiliśmy kilku ekspertów.

DR HAB. RAFAŁ MATYJA,
politolog, profesor Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie

Przed wieloma laty Jadwiga Staniszkis opisywała mechanizm przechodzenia od cząstkowych roszczeń i protestów do znaczącej fali społecznego niezadowolenia. Dopóki ludzie postrzegają wszystkie problemy osobno, dopóty rządzący mogą spać spokojnie, rozgrywając jedną grupę przeciw drugiej. Ustupując silniejszemu i lekceważąc słabszych. Jeżeli każda grupa koncentruje się na własnych problemach, nie sposób nadać takiemu ruchowi jakąś szerszą sprawczość. Dopiero gdy poszczególne grupy dostrzegą całość, a własny problem jako jej element – możliwe jest współdziałanie i wymuszanie szerszych zmian. Obecne protesty tylko sporadycznie przekraczają wąskie, partykularne interesy. Ale obecność szefa Agrounii na proteście środowisk medycznych może pokazywać pewien potencjał protestu przeciwko mechanizmom władzy.

Taki wspólny protest jest możliwy z trzech powodów. Po pierwsze – z powodu metod polemiki PiS z przeciwnikami, opartych na brutalnych atakach telewizyjnej propagandy, insynuacjach personalnych wobec liderów, traktowaniu opozycji jako wroga państwa. Grup, które doświadczyły takiego traktowania, jest z roku na rok więcej. Po drugie – ze względu na politykę podporządkowaną kalkulacjom sondażowym i ostentacyjne lekceważenie grup zawodowych i społecznych, w których poparcie dla PiS jest niewielkie. Po trzecie wreszcie – ze względu na świadomość, że działania rządu prowadzą do zapaści sektora publicznego.



Blokada zorganizowana przez rolników Agrounii w Rekorażu koło Piotrkowa Trybunalskiego, 4 sierpnia 2021 r.

propaganda sukcesu może jeszcze długo ukrywać wymowę protestów przed oczami społeczeństwa. Poza tym lojalność wobec partii jest wśród elektoratu PiS naprawdę ugruntowana. Zachodzi raczej proces powolnej zmiany, rewizja niektórych przekonań. Słyszałam wypowiedź wiernego wyborcy PiS, który stwierdził, że „w służbie zdrowia nigdy nie było tak jak teraz”. Zmieniająca się postawa opinii publicznej musi wywrzeć wpływ na rządzących. Ci jednak muszą najpierw dostrzec zmianę w sondażach.

Jakie czynniki mogą przyspieszyć zmiany? Istotne są: masowość protestów, determinacja

protestujących oraz, niestety, dotkliwość strajków dla innych grup społecznych. I solidarność wśród protestujących. Wiadomo, że gdy protesty są rozdrobnione, nie przebijają się w świadomości społecznej, a ich energia często zostaje zmarnowana. Stąd taktyka Kaczyńskiego: dziel i rządź – drobne grupy łatwo zignorować czy spacyfikować.

Jednak warunkiem koniecznym wyjścia poza doraźność i partykularyzm jest stworzenie w świadomości społecznej całościowego obrazu – nie tożsamego z tym, którym posługuje się od kilku lat opozycja, ale zbudowanego przez liderów społecznego sprzeciwu należących do różnych grup.

DR HAB. MARZENA CICHOSZ,

politolożka z Uniwersytetu Wrocławskiego

Jesienne protesty grup zawodowych – o ile odbędą się kolejne, bo wiele zależy tu od obostrzeń covidowych – zapewne będą miały wpływ na kształt polskiej sceny politycznej i dynamikę jej funkcjonowania. Wpłyną na rządzących, opozycję i opinię publiczną, w tym elektorat PiS.

Zacznijmy od rządzących. Obecny rząd od początku jest bardzo na „nie” wobec postulatów protestujących różnych grup zawodowych i ze skutkami takiej polityki musi się zmierzyć. Już dziś widać je w postaci coraz większych braków kadrowych w szkołach – co jest smutnym efektem m.in. odrzucenia żądań nauczycieli. Podobnie jest w przypadku medyków, też wcześniej protestujących – wszyscy widzimy już, że karetki stoją. Wobec aktualnych strajków może oczywiście przyjąć taką samą taktykę: żadnych ustępstw. Ma to swoje uzasadnienie, bo trzeba znaleźć środki na zaspokajanie postulatów protestujących. A pamiętajmy, że spełnienie żądań jednej grupy zapewne ośmieli kolejne i przyniesie lawinę protestów. Poza tym PiS ma po swojej stronie NSZZ Solidarność, który protestów nie popiera, i media publiczne z ich propagandą sukcesu.

Opozycja? Protesty są dla niej paliwem, więc ten problem będzie wciąż podnoszony w debacie publicznej. I wreszcie opinia publiczna, w tym elektorat PiS, którego nastawienie jest kluczowe – sytuacja staje się bolesna dla całego społeczeństwa, gdyż ochrona zdrowia to podstawa naszego biologicznego bezpieczeństwa. Zmieniają się także postawy wyborców partii rządzącej. Nie twierdę, że jest to diametralna zmiana, zwłaszcza że rządowa

Dopóki ludzie postrzegają wszystkie problemy osobno, dopóty rządzący mogą spać spokojnie, ustępując silniejszym i lekceważąc słabszych.

Istotną rolę w zmianie mogłaby też odegrać Solidarność. Teraz jest uznawana za przybudówkę PiS, inne duże centrale odchodzą zaś z niczym. Byłoby więc cenne, gdyby postawa tego związku zmieniła się, w interesie protestujących, w solidarności z nimi. Jego władze już dawno powinny zauważyć, że gdyby ich droga tzw. dialogu z rządem odniosła jakieś sukcesy, dzisiejszych protestów by nie było. Podsumowując, zmiany na pewno zostaną wywołane, ale ich zakres i tempo zależą od zbyt wielu czynników.

DR HAB. JAROSŁAW FLIS,

socjolog, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego

Po raz pierwszy po 14 latach rząd stracił większość sejmową, to ogromna zmiana. Przez ten czas wybuchały dziesiątki strajków, były wahania w poparciu wyborczym, ale przez ostatnie trzy kadencje to się nie zdarzyło. Możliwe, że teraz zaczyną się gnić różne elementy tej konstrukcji, bo rzeczywiście napięcie jest wiele.

Jeśli chodzi o generalne nastroje, to mamy do czynienia z podręcznikowymi okolicznościami sprzyjającymi rewolucji. Przez co najmniej siedem lat rosły wskaźniki zażyłości w społeczeństwie, jednak teraz przyszły wzrost

▶ stanął pod znakiem zapytania. To jest moment, który może być okazją do jakichś zmian, ale trudno powiedzieć, na ile są możliwe, bo opozycja jest rozbita i poszczególne jej nurty ciągną w zupełnie przeciwnych kierunkach. Utworzenie rządu przez Konfederację i Razem jest trudne do wyobrażenia. Przyspieszone wybory wcale nie tak łatwo przeprowadzić, a teraz są wręcz niemożliwe, bo mamy stan wyjątkowy.

Warto też pamiętać, że stan rozchwiania w Polsce i tak jest niewielki w porównaniu z tym, co się dzieje w innych krajach. W Kanadzie mamy właśnie przyspieszone wybory, a sondaże idą raz w jedną, raz w drugą stronę. W Czechach sytuacja nie jest klarowna, nie wiadomo, kto się utrzyma na pierwszym miejscu w nadchodzących wyborach. Chociaż więc mamy w Polsce jakieś wahania, trzeba pamiętać, że nasz system partyjny jest jednym z najstabilniejszych i najbardziej uporządkowanych w Unii Europejskiej. Te partie przetrwały już wiele prób,

Międzyludzka, społeczna czy zawodowa solidarność odeszła do lamusa.

są dostosowane do nowych podziałów politycznych, które właśnie kształtują się na świecie. Dlatego podejrzewam, że scena polityczna będzie rozedrgana, lecz nie spodziewam się wstrząsów. Czy strajki doprowadzą do wielkiego przesilenia, mam poważne wątpliwości. Na razie na błąd jednej strony błędem odpowiada druga i dlatego tak to się układa.

Polacy należą zresztą do najmniej chętnych do protestowania narodów w UE, skala materialnego dobrobytu polepsza się systematycznie. Ale wiemy, że to nie wystarcza, bo w budżetówce protestują pracownicy administracyjni, nie kierownicy, w sanepidzie i w sądach nie wiceministrowie, tylko urzędnicy, w ochronie zdrowia rejestratorzy medyczne i ratownicy, nie ordynatorzy. To są stanowiska, które najmniej skorzystały ze wzrostu płac, ten dotyczył raczej kasjerek w Biedronce czy innych tego typu stanowisk niż osób pracujących w sektorze publicznym. A warto pamiętać, że są to ludzie często bardziej zainteresowani sprawami publicznymi, niejednokrotnie lepiej wykształceni, aktywniejsi, łatwiej u nich o zapal do walki. Pytanie, czy ktoś z opozycji ma pomysł, skąd wziąć pieniądze, żeby im zapłacić. PiS też wspierało wszystkie protesty, kiedy było w opozycji.

Czy zaś Polacy wspierają strajkujących? Zawsze tak się mówi, pozostaje tylko pytanie, czy ktokolwiek zrezygnowałby z 500+, żeby podnieść pensje lekarzom.

KATARZYNA RAKOWSKA,
sociołóżka z UW, członkini związku zawodowego
Inicjatywa Pracownicza

Jest na to szansa, ale potrzeba czasu, dużej pracy, ogromnego wsparcia ogólnospołecznego i zmiany narracji wokół pracy i związków zawodowych. Zawsze podkreślam, że to pracownice i pracownicy mają największą siłę zmian społecznych, a strajk ma najsilniejszy wpływ na rzeczywistość społeczną. Żadne oświadczenia, listy, podpisy nawet setki najbardziej światłych i zacnych obywateli

nie mają takiej mocy jak ekonomiczna blokada kraju czy danego sektora.

Musimy jednak pamiętać, że protesty pracownicze mają podłoże ekonomiczne, że jest to walka o płace i warunki pracy, a nie np. walka z PiS. Bez uznania ekonomicznych interesów pracowniczych nie da się wykorzystać protestów do celów politycznych ani próbować za ich pomocą jednoczyć społeczeństwo przeciwko władzy. Tego typu próby ominięcia kwestii interesu ekonomicznego to zawsze pułapka, prowadząca do antagonizmu między kiepsko zarabiającymi osobami z prowincji, głoszącymi na PiS, a wielkomiejską inteligencją, walczącą o prawa człowieka. Choć to fałszywa przeciwstawność, bo przecież kobiety w małych miastach także występowały masowo przeciw władzy w protestach aborcyjnych – a jednocześnie wielu nauczycieli, a więc ludzi wykształconych, również z dużych miast, ma konserwatywne poglądy. W tej chwili jest jednak tak, że związki zawodowe działają w oderwaniu od ruchów społecznych, których liderki i liderzy z reguły nie uznają interesów ekonomicznych albo uważają, że będzie można je załatwić później, bo teraz ważniejsze są prawa człowieka, tak jakby prawem tym nie były godna praca i płaca czy prawo do strajku i zrzeszania się.

Obecnie w grupach zawodowych widoczna jest za to dość duża solidarność – ponad podziałami politycznymi. To bardzo ważne, że w ramach jednego związku zawodowego i wspólnych protestów są ludzie, którzy mają inny światopogląd. Nie zgadzają się ze sobą politycznie, ale wspólnie strajkują.

Drugą sprawą jest podział w społeczeństwie, bo wszystkie rządy przez ostatnie 30 lat oraz media głównego nurtu prowadziły ponadpartyjną kampanię nienawiści wobec związków zawodowych. Strajkujący byli traktowani jako wrogowie „szczęśliwego, liberalnego i demokratycznego społeczeństwa”. Dopiero w ramach strajków kobiet i konfrontacji z władzą słowo strajk odzyskało lepsze konotacje. Podobny efekt spowodowały ostatnie strajki pracowników sektora publicznego – tak bowiem się składa, że to wśród nich jest większe uzwiązkowienie, więc działalność strajkowa zyskuje poparcie dużej części społeczeństwa, kojarząc się z oporem przeciwko władzy.

Statystycznie zwiększenia natężenia protestów pracowników na razie nie obserwujemy. Widać za to zmianę pokoleniową – coraz młodsze osoby wstępują do związków zawodowych (lub zakładają nowe), te zaś otwierają działy rozwoju i dbają o rekrutację nowych ludzi. W młodym pokoleniu także widoczny jest już schyłek liberalnych mitów, że Polska oferuje każdemu szansę na karierę od pacybuta do milionera. Zauważalne jest też pojawianie się związków w sektorze prywatnym, przykładem jest choćby głośny strajk w fabryce Paroc w Trzemesznie. Jednak abyśmy zobaczyli efekty, musi minąć trochę lat – obecnie uzwiązkowienie w Polsce nadal jest bardzo słabe, zwłaszcza ze względu na ogromnie skomplikowane prawo i duże represje ze strony pracodawców, antyzwiązkową kulturę pracy, opieszałość sądów.

W dodatku rząd prowadzi bardzo antyzwiązkową politykę. Jest zdeterminowany, by zdusić protesty i wprowadzać własne reformy, przygotowane bez udziału pracowników – w efekcie z obecnym rządem właściwie nie da się rozmawiać.



Protest pracowników sądów,
Warszawa, 10 września 2021 r.

zamiana miejsc. Gdybyśmy teraz mieli takie wspólne „my”, być może jakaś zmiana by się dokonała.

Niestety, mam wrażenie, że obecnie wspólne pozostało wyłącznie to, co określamy jako „oni”. Owego „my” już nie mamy. Doprowadził do tego język neoliberalizmu, łamiący dotychczasowe schematy porozumienia. Przykład: na początku transformacji pojawiła się w naszym słowniku kategoria „roszczeniowci” – najczęściej w odniesieniu do bezrobotnych, ale też np. rodziców dzieci w szkołach, którzy czegoś się domagali. Gdy jakaś grupa próbowała protestować czy o coś walczyć, łamano solidarność społeczną, przedstawia-

jąc ją jako roszczeniową. Ta strategia bardzo się sprawdziła. W tej chwili każdą grupę zawodową łatwo w ten sposób złamać. Gdy dwa i pół roku temu strajkowali nauczyciele, telewizja publiczna i internet pełne były komunikatów, że nauczyciele nie mają prawa zostawiać uczniów itd. Tak samo było z medykami – mówiono im, że nie powinni odchodzić od łóżek pacjentów. Obecny rząd, jeśli chodzi o maszynę propagandową, jest naprawdę genialny. Wiele analiz mówi, że jest bardzo podobna do tej z czasów PRL.

O prawa pracownicze nie dba obecny rząd, nie dbały także poprzednie.

Co więcej, nawet reformy wprowadzane w kolejnych branżach sektora publicznego były antysolidarnościowe. Przykładem jest wprowadzenie stopni nauczycielskich czy różnicowanie pracowników ochrony zdrowia na etatowych i kontraktowych. Z perspektywy rządów to genialne posunięcie, bo pracownicy, zamiast stanowić jedną grupę zawodową, stali się wieloma – o różnych interesach.

I jeszcze jeden problem: protesty pracownicze w procesie transformacji stały się całkowicie nieistotne – o prawa pracownicze nie dba obecny rząd, nie dbały także poprzednie. Pierwszą rzeczą, jaką zrobiono po 1989 r., było podważenie idei praw pracowniczych – szybko stały się one tożsame ze szkodliwą siłą, z którą należy walczyć, i niewiele w tej kwestii się zmieniło. W Łodzi do dziś powszechnie chwali się prezydenta miasta Grzegorza Palkę, który „wsławił się” zmniejszeniem roli wielkopremysłowej klasy robotniczej. Co do potencjalnej zmiany, którą miałyby spowodować jesienne strajki, jestem więc pesymistką.

Anna Brzeska, współpraca Paula Leśniewska
a.brzeska@tygodnikprzeгляд.pl
p.lesniewska@tygodnikprzeгляд.pl

Nie sądzę więc, abyśmy w najbliższym czasie mieli do czynienia z masowymi zamknięciami zakładów pracy z powodu strajków. Prawo do tej formy protestów jest w Polsce bardzo ograniczone, dlatego raczej przyjmują one postać demonstracji, wystąpień publicznych czy wydarzeń typu Białe Miasteczko pod KPRM. Cała nadzieja w młodych, ale na realne zmiany musimy jeszcze trochę poczekać.

DR IZA DESPERAK,
socjolożka, Uniwersytet Łódzki

Zacznę od zastrzeżenia: socjologia nie odpowiada na pytania dotyczące przyszłości – nie dysponuję żadnymi narzędziami naukowymi, które pozwoliłyby ocenić, co się stanie. Spójrzmy jednak na to, co działo się do tej pory, np. czarne marsze z ubiegłego roku. Wydawało się, że tak niezwykle wydarzenie musi coś zmienić, w końcu tyle z nas spędziło całą jesień na ulicach. I co? Nic, ku mojemu rozczarowaniu. Podobnie było ze strajkami nauczycieli w 2019 r. Mimo że wszystkie szkoły stanęły, sytuacja tej grupy zawodowej nie poprawiła się, a niektórym nauczycielom udział w protestach wręcz zaszkodził.

Z drugiej strony przypomnę, że wybitni badacze społeczni i polityczni w latach 80. też wykluczali możliwość, że protesty Solidarności przyniosą jakąś zmianę, nie wierzyli w upadek Związku Radzieckiego. Zawsze więc może się zdarzyć, że przewidywania badaczy się nie sprawdzą. Tu jednak należy z kolei wspomnieć, że przed 1989 r. pojęcie solidarności coś jeszcze znaczyło – weźmy przykład łódzkich włókieniarek, które podjęły strajk, gdy dowiedziały się, że strajkują stocznioowcy. Niestety, ta międzyludzka, społeczna czy zawodowa solidarność odeszła do lamusa. Polityczno-ekonomiczno-społeczny kształt transformacji był absolutnie antysolidarnościowy.

W latach 80. socjolodzy obserwowali również wyraźny podział na „my” i „oni”. „My” byliśmy nauczycielami, stocznioowcami, szwaczkami, paniami w sklepie – a „oni” to władza i ci, którzy stali po jej stronie. To ten podział doprowadził do wybuchu konfliktu, w którym nastąpiła

Paula Leśniewska

W Białym Miasteczku 2.0 zatrzymuje się niewielu przechodniów, większość przyspiesza kroku albo przebiega między namiotami podczas porannego joggingu. W końcu obok Łazienki, Ogród Botaniczny, przemiła spacerowa okolica. Trochę psują ją plastikowe kościotrupy na wózkach inwalidzkich. Ludzie mijają je bez mrugnięcia okiem. Tylko nieliczni odważają się zmierzyć sobie ciśnienie w jednym z namiotów albo posłuchać specjalistów, którzy opowiadają o swojej codziennej pracy.

Białe Miasteczko 2.0 powstało przed siedzibą KPRM w Alejach Ujazdowskich zaraz po wielkim proteście medyków 11 września. Ulicami Warszawy przeszło wiele tysięcy ludzi. Przyjechali ze Śląska, z Podkarpackiego, z Pomorskiego, bo wszędzie medycy mają dość. Chcą m.in. zmian w ustawie o wynagrodzeniach pracowników ochrony zdrowia, wyrównania płac do średniej Unii Europejskiej i lepszej opieki zdrowotnej dla pacjentów. Bo teraz na wizytę u endokrynologa w ramach NFZ można czekać i 10 lat. Medycy muszą pracować na kilka etatów i zdarza się, że są na dyżurach nawet 36 godzin. 30 godzin pracy w miesiącu to dla wielu norma.

– Będziemy tutaj siedzieć, aż zostaną spełnione wszystkie nasze postulaty – powiedzieli na otwarciu Białego Miasteczka 2.0. Mieszkają w namiotach, stale są na miejscu. Każdy dzień strajku poświęcili innemu problemowi polskiej ochrony zdrowia – były rozmowy o psychiatrii, chirurgii, ortopedii, chorobach wewnętrznych i medycynie rodzinnej, onkologii, ratownictwie medycznym, fizjoterapii i diagnostyce laboratoryjnej. Wszystko po to, by tworzyć kontakt między ludźmi a medykami, bo obie strony są poszkodowane przez obecny system.

Pierwsze Białe Miasteczko zorganizowały pielęgniarki w 2007 r. Jak



Miasteczko protestu

Ile wytrzymają medycy?



mówią, w ciągu 14 lat na lepsze nie zmieniło się nic. „Średnia wieku pielęgniarek to 53 lata”, czytamy na transparentach rozwieszonych na namiotach.

– Raport Naczelnej Izby Pielęgniarek i Położnych pokazał, że pielęgniarka żyje przeciętnie 61 lat, podczas gdy średnia życia kobiet to 81 lat. Myślę, że pielęgniarki bardziej w poczuciu odpowiedzialności za pacjentów biorą drugi etat, ale pieniądze też nie są bez znaczenia. Czas skończyć z heroizmem i zacząć dbać o siebie, o swoje zdrowie – mówi Iwona Barchulska, rzeczniczka prasowa Ogólnopolskiego Związku Zawodowego Pielęgniarek i Położnych. Wiele pracujących pielęgniarek jest już w wieku emerytalnym, a młodych nie widać. W Polsce na tysiąc mieszkańców przypada pięć pielęgniarek. Średnia Unii Europejskiej to ponad osiem.

„W Polsce na 10 tys. mieszkańców przypada 24 lekarzy. Nie ma medyków, nie ma leczenia”, informuje jeden z transparentów powieszonych na płocie Ogrodu Botanicznego. Co czwarty pracujący chirurg jest emerytem. Dramatycznie brakuje psychiatrów dziecięcych i młodzieżowych, a tylko w zeszłym roku aż 107 młodych ludzi w wieku szkolnym popełniło samobójstwo – to więcej, niż zmarło na nowotwory wieku dziecięcego. Brakuje również innych lekarzy – szacuje się, że nawet ok. 70 tys. Efekt? Przymusowa praca, przemęczenie, a więc i wyższe ryzyko popełnienia błędów medycznych.

– Mój chłopak Szymon jest chirurgiem – mówi Karolina, studentka II roku medycyny na Warszawskim Uniwersytecie Medycznym. Ubrana w biały kitel stoi pod niewielką sceną, na której przemawiają protestujący. – Jestem tutaj, żeby go wesprzeć. Codziennie widzę, jak ciężko pracuje, zwyczajnie dlatego, że w szpitalach brakuje kadr, a lekarze są zmuszeni do brania gigantycznych nadgodzin, bo nie chcą zostawić chorych w potrzebie. Szymon śpi

po cztery godziny, często mniej, i to nie we własnym łóżku, tylko gdzieś na dyżurze. Kiedy był świeżo po studiach, zarabiał średnią krajową. Teraz więcej, ale jakim kosztem.

Pytam Karolinę, czy chce wyjechać z Polski, kiedy skończy studia. Odpowiada po chwili zawahania, że nie chce. Ma nadzieję, że protest coś zmieni. Zapada cisza, obie wiemy, że są na to nikłe szanse.

Tymczasem pensja Piotra Brombera powołanego na wiceministra zdrowia w celu „prowadzenia dialogu ze wszystkimi grupami zawodowymi” wynosi 16 tys. zł miesięcznie. Tyle pieniędzy przeznacza się co miesiąc na opiekę lekarską i pielęgniarską dla 900 pacjentów w podstawowej opiece zdrowotnej w Polsce.

p.lesniewska@tygodnikprzeglad.pl

POLSKA PROTESTUJE, DUDA BUMELUJE

Prezydent z dala od problemów Polaków

Paula Leśniewska

W środku kryzysu społeczno-politycznego Andrzej Duda przeżywał chwile bez troski nad morzem. W lipcu i sierpniu większość czasu spędził w luksusowej rezydencji Mewa na Półwyspie Helskim. Nie przerwał urlopu ani gdy talibowie przejęli władzę w Afganistanie, ani gdy na polsko-białoruskiej granicy zatrzymano uchodźców. Prął za to po Bałtyku swoim ulubionym skuterem wodnym, spacerował po plaży, a w międzyczasie poleciał do Tokio na igrzyska olimpijskie, podpisał ustawę o odbudowie za 2,4 mld zł pałacu Saskiego w Warszawie, odwołał Jarosława Gowina i wziął udział w dożynkach gminy Tarnów. Z wakacji wrócił prawdopodobnie dopiero na przełomie sierpnia i września.

Sztab prezydenta robił co w jego mocy, by przekonać ludzi, jak ciężko Andrzej Duda pracował podczas wakacji. Kalendarz głowy państwa dostępny na stronie Prezydent.pl obfituje we wpisy typu „Życzenia dla Anny Dymnej” lub „List z okazji Dnia Energetyka 2021 w Bełchatowie”. Według kalendarza zatem codziennie prezydent zrobił COŚ. Efekt psuły tylko rozchodzące się w internecie zdjęcia Dudy odpoczywającego na plaży w kąpielówkach Tommy’ego Hilfigera, tych samych, które miał na sobie w 2015 r. podczas legendarnych już zabaw z ogromnym dmuchanym krabem w Toskanii.

Biuro prasowe Kancelarii Prezydenta zapewnia, że każda willa głowy państwa jest wyposażona w gabinet i można z niej wykonywać wszystkie prezydenckie obowiązki. Poza tym rezydencje służą jako miejsca spotkań o charakterze międzynarodowym. Jest więc gdzie rozmawiać. Oprócz Mewy na Półwyspie Helskim prezydent ma do dyspozycji zamek



Prezydent Andrzej Duda z żoną w ośrodku prezydenckim w Juracie.

w Wiśle oraz rezydencje w Klarysewie, Promniku i Ciechocinku. A w środku? Baseny, jacuzzi, korty, siłownie. W każdej chwili wille są gotowe, żeby przyjąć gości.

Latem prezydent ochoczo wybiera Półwysep Helski, a zeszłej zimy można go było spotkać na stoku Cieńków w Wiśle, bo narciarstwo to jego ulubiony sport. Do Warszawy Duda wracał na sygnale, żeby uniknąć męczących korków. Wszyscy inni stali. Tymczasem według sondażu CBR BioStat ponad połowa Polaków nie pojechała w tym roku nawet na jedne wakacje. Dane Eurostatu z 2019 r. pokazują, że 34,6% Polaków nie stać nawet na tygodniowy urlop.

Teraz wszystkie nieruchomości, w których urzęduje Duda, i inne

posiadłości podległe kancelarii czeka duży remont. Centrum Obsługi Kancelarii Prezydenta przeznaczycie na niego... 22 mln zł. Od kilku lat wydatki na Kancelarię Prezydenta – czyli głównie płace urzędników – rosną. W 2022 r. mają pochłonąć prawie 209 mln zł. A jeszcze w roku 2015 wynosiły 163,5 mln zł. Między innymi dzięki ustawie o podniesieniu pensji najwyższych urzędników w Polsce, którą Sejm uchwalił 11 sierpnia, wydatki na utrzymanie władzy wzrosną nawet o 1,5 mld zł. A pensja Andrzeja Dudy skoczyła o 40% i teraz wynosi 20 tys. zł miesięcznie. Nic dziwnego, że tak ochoczo poparł ustawę.

Niestety, na takie podwyżki mogą liczyć tylko politycy. „Chcemy, aby zarządzili nami ludzie kompetentni ▶

► i nie żałujemy im wysokich pensji. Ale nie rozumiemy, dlaczego w tym samym czasie zamraża się płace ponadpółmilionowej rzeszy pracowników sfery budżetowej: nauczycieli, pracowników ochrony zdrowia, policjantów, strażaków, pograniczników, żołnierzy, urzędników, asystentów sądowych i przedstawicieli wielu innych zawodów,

od początku lipca 2020 r. do lipca 2021 r. spędził w Krakowie ponad 20 weekendów. Jedna podróż embraerem 175 trwa niecałą godzinę i kosztuje ok. 35 tys. zł.

Jak nie samolot, to samochód. „Na bombach” jadą przynajmniej dwa samochody SOP i limuzyna prezydenta. Do tego doliczyć trzeba jeszcze lokalne radiowozy.

Tymczasem prezydent Austrii Alexander Van der Bellen na szczycie klimatyczny COP24 w Katowicach w 2018 r. przyjechał pociągiem. Żeby było ciekawiej, PKP nie podstawiały na trasie z Wiednia wagonu I klasy. Rzeczniczka prasowa kolei tłumaczyła wtedy, że do PKP Intercity nie dotarła żadna informacja o planowanej podróży prezydenta Austrii. A więc... można skromnie.

Wielu zagranicznych polityków jeździ po prostu rowerem. Premier Wielkiej Brytanii Boris Johnson jest regularnie fotografowany przez brytyjskie tabloidy podczas rowerowych przejazdów przez Londyn. Na Johnsona spadła nawet krytyka, gdy podczas jednego z lockdownów przyłapano go na przejażdżce 11 km od Downing Street. Również Mark Rutte, premier Holandii, zamiast limuzyny wybiera rower. Jeździ nim m.in. na rozmowy z królem Wilhelmem-Aleksandrem.

Paula Leśniewska

Współpraca Kornel Wawrzyniak

p.lesniewska@tygodnikprzeglad.pl

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

W 2022 r. wydatki na Kancelarię Prezydenta mają pochłonąć prawie 209 mln zł. A jeszcze w roku 2015 wynosiły 163,5 mln zł.

bez których polskie państwo nie byłoby w stanie funkcjonować”, napisały w liście do premiera Mateusza Morawieckiego trzy główne centralne związki – Ogólnopolskie Porozumienie Związków Zawodowych, NSZZ Solidarność i Forum Związków Zawodowych.

Na weekendy prezydent często wybiera się do rodzinnego Krakowa, zazwyczaj państwowym samolotem. Z danych Centralnego Rejestru Lotów wynika, że

W 2020 r. prezydencką maszyną było bmw 760Li High Security. Model nieoficjalnie kosztuje przynajmniej 350 tys. dol. Zwykła siódemka spala 13 litrów na 100 km. Jednak samochód prezydenta ze względu na pancerz waży cztery tony. Możemy więc ostrożnie założyć, że samochody w prezydenckiej kolumnie spala przynajmniej 25 litrów na 100 km każdy. Przy cenie paliwa 5,75 zł za litr i trzech pancernych autach 100 km kosztuje 450 zł.



**KONCERTY JUBILEUSZOWE
LAUREATÓW TEATRALNYCH
NAGRÓD MUZYCZNYCH
IM. JANA KIEPURY**

25 WRZEŚNIA 2021 R., GODZ. 19:00
SOLIŚCI: ANNA LASOTA, EWA MAJCHERCZYK, OLGA SZOMAŃSKA, JOANNA WOŚ,
JANUSZ KRUCIŃSKI, STANISŁAV KUFLYUK, ARNOLD RUTKOWSKI
TANCERZE: YUKA EBIHARA, MAŁGORZATA KOWALSKA,
PATRYK WALCZAK, MATEUSZ WRÓBLEWSKI

26 WRZEŚNIA 2021 R., GODZ. 18:00
SOLIŚCI: ANNA LASOTA, AGNIESZKA PRZEKUPIEŃ, IWONA SOCHA, JOANNA WOŚ,
JANUSZ KRUCIŃSKI, STANISŁAV KUFLYUK, ARNOLD RUTKOWSKI
TANCERZE: YUKA EBIHARA, MAŁGORZATA KOWALSKA,
PATRYK WALCZAK, MATEUSZ WRÓBLEWSKI

Orkiestra Teatru pod dykcją TOMASZA SZYMUSIA

UL. JAGIELLOŃSKA 26 (KINO PRAHA) WARSZAWA
KASA / REZERWACJE BILETÓW
+48 22 243 54 84, +48 795 127 921
email: kasa@mteatr.pl

M
HAZOWIECKI
TEATR MUZYCZNY
IM. JANA KIEPURY

WWW.MTEATR.PL

Sam strach przed wyższymi cenami może je nakręcać

Kto raz przeżył hiperinflację, nie zapomina jej nigdy

Rozmawia Jakub Dymek

Choć przez ostatnie kilkanaście miesięcy obawialiśmy się w Polsce i na świecie kryzysu wywołanego pandemią, dziś w naszym kraju rzuca się w oczy tak naprawdę jeden aspekt tego zjawiska – inflacja. Boimy się rosnących cen i kosztów życia, podwyżek opłat za niezbędne usługi, szalejącej drożyzny. Słusznie?

– Inflacja jest dziś zagrożeniem i w Polsce, i w wielu innych krajach, także w strefie euro. Dlaczego jednak w krajach naszego regionu inflacja może się okazać problemem poważniejszym? Ano dlatego, że każdy obywatel powyżej 50. roku życia pamięta hiperinflację lat 90., obawy inflacyjne wracają szybciej. W Ameryce np. mniej osób pamięta inflację z lat 70. i początku 80. Zresztą i tak była ona niższa niż ta, którą my pamiętamy. A jeśli ludzie spodziewają się inflacji, to ona będzie.

Na czym polega ten mechanizm?

– Jeżeli oczekuję, że inflacja do końca roku wzrośnie, a podpisuję umowę na sprzedaż towarów czy usług, w moim interesie jest zawrzeć w takim kontrakcie klauzulę, że będę mogła tę cenę podnieść. Analogicznie, gdy wynajmuję biuro czy mieszkanie. Jeśli ceny idą w górę,

Jeśli ludzie spodziewają się inflacji, to ta inflacja będzie.

niechętnie wynajmę lokal na długi okres. A jeśli tak, to z zastrzeżeniem, że należność za wynajem może wzrosnąć. Ludzie, którzy oczekują wyższych cen, zaczynają się zachowywać, jak gdyby te wyższe ceny już obowiązywały. Bo nikt nie chce na tym zjawisku stracić i podpisać kontraktu, który mógłby być niekorzystny. Sam strach przed wyższymi cenami może więc je nakręcać.



PROF. BEATA JAVORCIK

– główna ekonomistka Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju, specjalizuje się w zagadnieniach handlu międzynarodowego. Jest profesorem ekonomii na Uniwersytecie Oksfordzkim (aktualnie na urlopie naukowym) i członkinią Royal Economic Society.

Część publicystów, ekonomistów i ekspertek – tak się składa, że zarówno młodszych, jak i bardziej lewicowych – przekonuje jednak, że inflacja nie jest takim problemem, jak się wydaje, i mamy poważniejsze zmartwienia. To spór ekonomiczny czy pokoleniowy?

– Badania naukowe pokazują, że wspomnienia o inflacji znikają po ok. 10 latach. Ale wspomnienia

Ale za kryzys lub drożyznę wyborcy i tak będą winić polityków i rządzących, a nie banki centralne.

– Oczywiście, wiemy z wielu krajów, także ze Stanów Zjednoczonych, że łatwiej o reelekcję, gdy jest dobra koniunktura. Prawdą jest, że wyborcy nie zawsze odróżniają instytucje niezależne, takie jak banki centralne, od polityki rządów. Podobnie jak niekoniecznie wiedzą, że recesja może zostać wywołana czynnikami zewnętrznymi.

A czy to, jak dziś wygląda gospodarka, mieści się w granicach prognoz EBOiR, czy przeciwnie – skutki lockdownów połączone z inflacją dają więcej powodów do zmartwień?

– Odbicie gospodarcze w Polsce, przynajmniej kiedy spojrzymy na liczbę i prognozy, idzie całkiem nieźle. Prognoza wzrostu gospodarczego dla Polski wynosi w tym roku 5%, w przyszłym 4,8%. Jakie mamy zagrożenia dla tego odbicia? O pierwszym, czyli inflacji, już powiedzieliśmy. Drugie ▶

► to wariant delta – czyli kolejna fala koronawirusa. Rządy będą rozliczane za to, jak sobie poradzą – lub nie poradzą – z kolejną falą pandemii. Widzimy przecież stosunkowo mały odsetek zaszczepionych. I to mimo że szczepionki są. Odsetek zaszczepionych w Polsce jest dużo mniejszy niż w Wielkiej Brytanii czy Hiszpanii.

Ale czy istnieje zależność między tym, ilu ludzi się zaszczepiło, a tym, jak wygląda odbicie gospodarcze w poszczególnych krajach?

Obywatele nie zaakceptują wyższych podatków dla siebie, jeśli będą wiedzieć, że wielkie koncerny nie płacą tyle, ile powinny.

– Jeszcze za wcześniej, by taką zależność było widać. Spójrzmy więc na coś prostszego. Nie chcemy dopuścić do sytuacji, w której służba zdrowia nie będzie w stanie pomóc chorym. Niewielki procent zaszczepionych oznacza, że więcej ludzi będzie wymagało respiratorów, hospitalizacji. A służba zdrowia nie będzie w stanie sobie poradzić. By zapobiec kolejnemu lockdownowi, trzeba zaszczepić jak najwięcej osób. Na razie wzrost liczby zachorowań w Wielkiej Brytanii nie przekłada się na tak samo duży wzrost hospitalizacji, a liczba zgonów jest stosunkowo mała. Chodzi

o prewencję – o to, by nigdy nie znaleźć się w sytuacji, w której trzeba gospodarkę zamknąć.

To jasne.

– Jeśli zaś chodzi o korelację między lockdownem a gospodarką, to według naszych badań wygląda ona następująco: spadek mobilności ludzi o 10% obniża wzrost PKB o ok. 2%. Istnieje więc duża korelacja między tym, jak długo trzeba utrzymywać *lockdown*, a tym, jak wygląda wzrost gospodarczy. Co więcej, widzimy, że

ta korelacja obowiązywała również w kolejnych miesiącach i przy kolejnych odstonach wprowadzanych obostrzeń. Dlaczego to ważne? Bo można było sądzić, że niejako nauczymy się funkcjonować w nowych realiach – kupować online itd. – że negatywny efekt lockdownu dla gospodarki zostanie zminimalizowany. To jednak się nie ziściło. Uniknięcie lockdownu jest więc najprostszym sposobem, by nie zaprzepaścić też wzrostu gospodarczego.

Ale największymi zwycięzcami czasów pandemii i tak są platformy cyfrowe oraz dostawcy usług inter-

netowych, którzy następnie robią wszystko, by nie zapłacić podatków w krajach, gdzie świadczą usługi. Nie wszyscy będą też zwycięzcami gospodarczego odbicia.

– Platformy są pośrednikiem, nie producentem dóbr. Jeśli polski popyt nakręca np. eksport z Chin, to z kolei większy popyt w Niemczech nakręca eksport polskich towarów. A w Polsce eksport bardzo ładnie się odbił.

Ale gdy przenosimy zakupy z naszej księgarni do Amazona, a zamiast pójść do kina i kupić tam popcorn, oglądamy filmy i kupujemy gry na platformach cyfrowych, to więcej pieniędzy trafia do gospodarki amerykańskiej niż do polskiej.

– Tak, pandemia zmieniła bardzo wiele zachowań konsumenckich. Przykłady księgarni i kina są bardzo uzasadnione, bo w czasie lockdownu i ta pierwsza, i to drugie były nieczynne. Najbardziej boją się rzeczywistości małe i średnie firmy. Jednak badania, które przeprowadzaliśmy, pokazały, że nawet w gospodarkach wcześniej bardzo mało scyfryzowanych biznesy szybko się dostosowały i zaadaptowały do sprzedaży online. W tym wymiarze pandemia tylko wymusiła przyspieszenie postępu technologicznego, który i tak miał miejsce.

Inne pytanie, to czy platforma cyfrowa, która jest pośrednikiem w sprzedaży towarów czy usług, powinna płacić podatki tam, gdzie osiąga przychody.

A pani uważa, że powinna?

– Na ten temat trwają negocjacje w gronie OECD, czyli krajów rozwiniętych. Dużo też mówi się o tym, że wprowadzony zostanie minimalny podatek globalny, który uniemożliwi międzynarodowym firmom ucieczkę od zobowiązań. I biorąc pod uwagę, że coraz więcej krajów szuka dodatkowych źródeł przychodów, należy się spodziewać, że w końcu jakiś postęp na tym polu osiągniemy.

A jak pani się odnosi do tych nowych podatków – cyfrowego, minimalnego globalnego podatku korporacyjnego?

– Praktycznie wszystkie kraje zadłużyły się w trakcie pandemii. Wpływy podatkowe będą musiały wzrosnąć, żeby rządy były w stanie spłacać ten dług. To będzie nie- rzadko związane z koniecznością



PROGRAM

24 września, godz. 18.00

Jak wypowiedzieć konkordat – instrukcja dla polityków

Udział wezmą: Dariusz Kędziora (Koalicja Ateistyczna), Piotr Szumlewicz, Andrzej Ławeczki. Prowadzenie: Adam Jaśkow (SWOR).

25 września

godz. 11.00

Oczekiwanie osób wierzących wobec państwa

Udział wezmą: prof. dr hab. Fryderyk Zoll, dr Dominika Jaźwiecka. Prowadzenie: Adam Jaśkow (SWOR).

godz. 14.00 Manifestacja Świeckości pod hasłem Koniec z konkordatem. Rynek Główny w Krakowie

godz. 17.00

Model relacji państwo-Kościół-społeczeństwo po ewentualnym wypowiedzeniu konkordatu

Udział wezmą: Bożena Przyłuska (Kongres Świeckości), dr Paweł Sękowski (Stowarzyszenie Kuźnica). Prowadzenie: Dariusz Kędziora (Koalicja Ateistyczna).

26 września, godz. 11.00

Nieoczywisty spacer po krakowskich śladach Tadeusza Boya-Zeleńskiego

Zgłoszenia do udziału w spacerze należy wysłać do 25 września do godziny 11.00 pod adresem swor@swor.pl.

Debaty odbędą się w lokalu Stowarzyszenia Kuźnica w Krakowie, przy al. Słowackiego 44.

podniesienia stawek podatkowych, składek na ZUS, opiekę zdrowotną i innych. Aby społeczeństwo zaakceptowało wyższe podatki, potrzebne jest jednak poczucie sprawiedliwości. Obywatele nie akceptują wyższych podatków dla siebie, jeśli będą wiedzieć, że wielkie koncerny nie płacą tyle, ile powinny. Stąd bierze się presja na międzynarodowe korporacje i platformy cyfrowe. I ten nacisk będzie coraz większy.

Pamiętajmy natomiast, że żaden kraj nie jest w stanie rozwiązać tego problemu w pojedynkę. Do wprowadzenia form opodatkowania sięgających międzynarodowych firm konieczna jest międzynarodowa współpraca. W przeciwnym wypadku bowiem firmy przeniosą się z krajów o wysokich podatkach do krajów, gdzie podatki są niższe.

Po dotarciu nowego koronawirusa do Europy i Stanów, media załaty prognozy na temat tego, co się zmieni. Była pokusa, by mówić, że zmieni się wszystko, a w ekonomii i międzynarodowych relacjach handlowych i gospodarczych trzeba będzie pogrzebać stare paradygmaty. Chciałbym zapytać o te przepowiednie, które okazały się nieprawdziwe i przedwcześnie. Słowem, co się nie zmieniło?

Biznes bardzo szybko dostosował się do sprzedaży online.

– Na początku pandemii prognozowano, że praca zdalna pomoże kobietom. Pozwoli połączyć życie zawodowe i obowiązki rodzinne. To się nie sprawdziło. Widać to w liczbach. Gdy spojrzymy na dane – np. z Wielkiej Brytanii – okaże się, że kobiety, opiekując się dziećmi, spędzały na tym dwa razy więcej czasu niż ich mężowie, choć oboje pracowali z domu. **Ale to zjawisko nie pojawiło się tylko w konserwatywnych albo liberalnych społeczeństwach.**

– Mówiono, że pandemia zmieni podział ról w domu, a nowe obowiązki zostaną rozłożone mniej więcej po równo między kobiety i mężczyzn. No i rzeczywiście, mężczyźni robią więcej w domu niż wcześniej. Ale to kobiety zaczęły jeszcze więcej czasu poświęcać na opiekę nad dziećmi czy organizację nauki zdalnej. Dane amerykańskie pokazują też, że podczas gdy 13% kobiet musiało skrócić swoje

godziny pracy w związku z zamknięciem szkół czy przedszkoli, zmian takich dokonało jedynie 3% mężczyzn.

Dlaczego o tym mówię? Bo chodzi nie o tradycyjne role, ale o kwestie ekonomiczne. Jeśli mężczyzna zarabia więcej, to jego kariera w czasie kryzysu staje się jeszcze większym priorytetem.

Czyli zadziałała surowa rynkowa logika?

Pandemia uderzyła nie tylko w te kobiety, które straciły pracę, ale i w te, które ją miały.

– Badania pokazują, że nawet w tych gospodarstwach domowych, gdzie to partnerka zarabia więcej, kobiety spędziły więcej czasu, zajmując się dziećmi, niż ich partnerzy. W tym, że kariery mężczyzn traktowano priorytetowo, nie byłoby nic złego, gdyby nie to, że istnieje szklany sufit i że kobiety często zarabiają mniej niż mężczyźni, nawet jeśli wykonują tę samą pracę. Cały postęp kobiet na rynku pracy może zostać cofnięty.

W czasie recesji dużo mówiło się o tym, że COVID-19 uderzy w kobiety. Ale w tych wypowiedziach chodziło przede wszystkim o sektor usług – restauracje, hotele, kosmetykę – gdzie wymagany jest kontakt z klientem.

handlu zagranicznego była dla wszystkich zaskoczeniem. Skutkiem tego szybkiego odbicia są natomiast wysokie ceny kontenerów – koszt wysyłki kontenera z Chin do Europy jest dziś większy niż kiedykolwiek.

Czy to nie napędza przypadkiem inflacji?

– Oczywiście. Inflację napędza również to, że popyt się odbił. Nie wszyscy lubią kupować w internecie,

niektórzy wolą w sklepach stacjonarnych. Producenci np. samochodów nagle stwierdzili, że powinni wyprodukować więcej aut, a nie zamówili tyle półprzewodników, ile było trzeba. Inny powód – ludzie chcieli znów chodzić do restauracji, ale w czasie mniejszego ruchu te restauracje straciły pracowników i ponownie musiały ich zatrudnić, nierzadko na lepszych warunkach. Kolejny czynnik napędzający inflację to wzrost cen surowców – najpierw spadły, ale potem mocno się odbiły. No i wreszcie w przypadku niektórych krajów należy do tego dopisać słabą walutę. Aż tyle rzeczy – nie licząc tych cen kontenerów i międzynarodowego transportu – napędza dziś inflację.

A jest jeszcze po stronie popytu jedna kwestia. Wszyscy chcemy coś sobie odbić po czasie obostrzeń i zakazów – pójść na masaż, do fryzjera, na siłownię, do terapeuty. Ale przecież liczba osób świadczących te usługi się nie zwiększyła, za to zapotrzebowanie na ich usługi w pewnym momencie bardzo wzrosło. To też może wpływać na skok cen, który ludzie utożsamiają z pandemią.

Jakub Dymek

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

Tam też pracuje proporcjonalnie więcej kobiet. I rzeczywiście, był to pierwszy znany nam kryzys od czasów wielkiego kryzysu, gdy bezrobocie wśród kobiet wzrosło bardziej niż wśród mężczyzn – bo zamknięto część gospodarki, usługi czy gastronomię, która zazwyczaj była względnie odporna na recesję. Dla mnie jednak ważniejsze jest to, że pandemia uderzyła nie tylko w te kobiety, które straciły pracę, ale i w te, które pracę miały.

A co z prognozami na temat całej światowej gospodarki?

– Stosunkowo szybko odbił się handel międzynarodowy. Z tego względu, że wirus uderzał w różne regiony z największym natężeniem w innym czasie. Gdy jedna gospodarka właśnie się zamykała, druga mogła już wracać do pełnych mocy produkcyjnych – i to pomogło uniknąć najczarniejszych scenariuszy. Odporność



Dominikanie: nic nie widzieli, nic nie słyszeli

BEZPRECEDENSOWY RAPORT KOMISJI TERLIKOWSKIEGO

Roman Kurkiewicz

Pięćdziesięcioparoletni, „charyzmatyczny” dominikanin Paweł M. od kilku miesięcy przebywa w areszcie śledczym, czekając na proces, w którym zostanie oskarżony o wielokrotne zgwałcenie zakonnicy. Co najmniej kilkadziesiąt podobnych i innych zarzutów wobec niego przedawniło się – zawdzięcza to tuszowaniu przestępstw i nadużyć przez jego przełożonych, w tym przez jedną z najważniejszych i najbardziej wpływowych postaci polskiego Kościoła czasów transformacji i ostatnich 30 lat – zmarłego 31 grudnia 2020 r. byłego prowincjała (najwyższego przełożonego zakonu w kraju) Macieja Ziębę.

W marcu tego roku, decyzją obecnego prowincjała Pawła Kozackiego, dominikanie powołali niezależną komisję do zbadania faktycznej skali przestępstw, ich przyczyn, kontekstu, skali odpowiedzialności przełożonych i innych zakonników oraz do zaproponowania rekomendacji na przyszłość, by zapobiegać podobnym horrorom. Jej celem „jest opisanie działania br. Pawła, reakcji i zaniedbań władz Prowincji oraz mechanizmów, jakie w tej sprawie zadziały. Komisja w podsumowaniu sformułuje sugestie i zalecenia, które pomogą uniknąć podobnego zła w przyszłości”. Komisja, której pracom przewodniczył dr Tomasz Terlikowski, katolicki filozof, teolog i publicysta, opublikowała właśnie 260-stronicowy raport o enigmatycznym tytule: „Komisja Ekspercka dotycząca działania Pawła M. oraz instytucji Prowincji w jego sprawie”.

Opublikowany raport zarówno w intencjach, jak i w realizacji (oraz sam fakt jego publikacji – nie licząc fragmentów utajnionych) miał być wypełnieniem oczekiwań samych



Komisja ogłosiła swój raport 15 września.

dominikanów. Dla autora jego omówienia, czyli dla mnie, Romana Kurkiewicza, lektura raportu, jej odbiór i próba zreferowania wydarzeń i przestępstw Pawła M. są skrajnie trudnym doświadczeniem. Ponad 40 lat temu, w czasach licealnych, poznałem Pawła M. W sierpniu 1981 r., w tym samym momencie co Maciej Zięba, założyłem dominikański habit i przez dwa lata żyłem z nim pod jednym klasztornym dachem, przyjaźniliśmy się, jak sądziłem. Miałem wówczas niespełna 19 lat. Po dwóch latach opuściłem zakon, dzisiaj jestem ateistą. W ciągu ostatnich 20 lat rozmawiałem z Maciejem Ziębą jeden raz, spotkałem go dwa-trzy razy, nie utrzymywaliśmy żadnych relacji. Pawła M. od 1983 r. nie spotkałem już nigdy, niczego też nie słyszałem o jego dokonaniach. Wiosną tego roku dopiero po jakimś czasie uświadomiłem sobie, że znam człowieka, o którym czytałem

kryminalne doniesienia i informacje o aresztowaniu.

Dominikanie powstałi w XIII w. jako jeden z dwóch tzw. zakonów żebraczych (obok franciszkanów), wywodzili się głównie ze środowisk wielkomijskich i uniwersyteckich, tę legendę „intelektualistów” pielęgnują do dziś. Na polecenie papieża prowadzili debaty teologiczno-filozoficzne z przedstawicielami „heretyckich” ruchów religijnych ówczesnej Europy: katarami, albigensami, waldensami, niewiele później papież Innocenty III powierzył im misje inkwizycyjne. Dla niedawnych adwersarzy „psów pańskich” (*Domini canes*) oznaczało to aresztowania, konfiskaty majątku, tortury i w końcu – śmierć.

Bezwzględny despota, ale lider

Jak na instytucję o takim dorobku dochodzeniowo-śledczym współcześni polscy dominikanie

w przypadku działań Pawła M. nie zdali egzaminu. Większość zarzutów wobec niego dotyczy wydarzeń sprzed ponad 20 lat, zakonem kierował wówczas Maciej Zięba, który darzył Pawła M. zaufaniem i otaczał opieką, gwarantując właściwie nietykliwość. Dopiero po ujawnieniu kolejnych nadużyć na Pawła M. nakładano takie kary jak kilkutygodniowy pobyt w zamkniętym klasztorze kamedułów czy zawieszanie prawa do udzielania spowiedzi (bo tu rozpościerało się gigantyczne pole do nadużyć – spowiedzi trwały niejednokrotnie wiele godzin, niektóre kończyły się seksem ze spowiadającymi się kobietami, gdyż w przekonaniu Pawła M. w ten sposób mogły one zwalczyć swoją „grzeszność”). Jedną z naznaczonych przez Pawła M. kobiet rozebrano do naga i batożono ciężkim skórzanym pasem, elementem zakonnego habitu, zadano jej kilkadziesiąt razy, jej plecy były jedną krwawą miazgą. Paweł M. był na zmianę wyznaczany do pracy z młodzieżą i środowiskami studenckimi (w Poznaniu i we Wrocławiu) i tylko co jakiś czas – po ujawnieniu patologii – odsuwany od nich. „Paradoksem całej tej sytuacji było też to, że stosując metody właściwe sekcie – na co wskazywał w tamtym czasie w cytowanym liście OP 27 (to symbol zanonimizowanego świadka raportu, który jest dominikaninem – przyp. aut.) – sam Paweł M. był we Wrocławiu (a wcześniej w Poznaniu) twórcą i szefem lokalnych ośrodków Dominikańskiego Ośrodka Informacji o Nowych Ruchach Religijnych

setki, tysiące wiernych, w przeważającej mierze młodych, inteligentnych ludzi. Te doniesienia na kryminalne, a z całą pewnością naganne praktyki Pawła M. datowane są na drugą połowę lat 90. I nic. Parasol Macieja Zięby był pancerną osłoną. Ukrywanie Pawła M. w kolejnych klasztorach, odsuwanie go od kontaktu ze świeckimi mimo ciążących na nim zarzutów

Maciej Zięba jako prowincjał zakonu dominikanów darzył Pawła M. zaufaniem i otaczał opieką, gwarantując właściwie nietykliwość.

wciąż mogłoby trwać. Zakon nie był w stanie skonfrontować się jako wspólnota z tym przypadkiem, a jeszcze bardziej z byłym, demokratycznie wybranym, a jakże, prowincjałem.

Tuszowanie i przemilczanie

Maciej Zięba osobiście i bezpośrednio groził ofiarom Pawła M., które się do niego zgłosiły z prośbą o pomoc i interwencję – żeby nie ważyły się iść z tą historią do mediów czy na policję, bo on ma prawników i jeśli zdecydują się upublicznić sprawę, on to starcie wygra. Dopiero zgłoszenie się do prokuratury siostry zakonnej, która zeznała, że około roku 2011 była wielokrotnie gwałcona przez Pawła M., oraz śmierć Macieja Zięby przerwały tamę niemożności. Dominikanin został aresztowany, a zakon powołał komisję. I obecnie czytamy ten przerażający raport

gwarantuje jeszcze funkcjonowania demokratycznych, transparentnych reguł. U dominikanów w ostatnich 30 latach żywioł autorytarny, model korporacyjny, ocena efektów o charakterze ilościowym i patologiczna osobowość najwybitniejszego (bo najbardziej rozpoznawalnego, doskonale osadzonego w establishmentie politycznym III RP) dominikanina

doprowadziły do trwającego dekady paraliżu wobec jednostki krzywdzącej dziesiątki, być może setki osób, gwałcącej fizycznie kobiety i sumienia innych. Wszystko pod okiem „wyrozmiałego i wyrachowanego ojca Macieja”.

Kto ochrzcił kapitalizm w Polsce?

Maciej Zięba urodził się w 1954 r. we Wrocławiu, w inteligenckiej, katolickiej rodzinie, skończył fizykę na Uniwersytecie Wrocławskim, specjalizował się w badaniach *nomen omen* nieba, czyli ruchu i fenomenu chmur. Od połowy lat 70. zaangażowany w działalność KIK i opozycyjną, bliską środowiskom korowskim, od lata 1980 r. wciągnął się bez reszty w działalność Solidarności, został redaktorem naczelnym periodyku „Solidarność Dolnośląska”, był dziennikarzem pierwszego „Tygodnika Solidarność” (pod redakcją Tadeusza Mazowieckiego), szefem kampanii wyborczej i przyjacielem Władysława Frasyniuka. Ku zaskoczeniu wielu w sierpniu 1981 r. wstąpił do zakonu dominikanów, co też niewątpliwie ochroniło go przed internowaniem 13 grudnia 1981 r. czy późniejszym aresztem. Działał w podziemnej Solidarności, studiował filozofię i teologię, w 1987 r. przyjął święcenia kapłańskie, wyjeżdżał na stypendia naukowe, m.in. do USA. Był coraz bardziej aktywny politycznie, pisał, występował w mediach, został szefem dominikańskiego wydawnictwa W drodze, współpracował krótko z „Gazetą Wyborczą”, piął się w górę w hierarchii zakonu, został wykładowcą akademickim, założył katolicki *think tank* Instytut Tertio Millennio, obronił doktorat pod znaczącym

Jak na instytucję o dorobku dochodzeniowo-śledczym z czasów inkwizycji polscy dominikanie w przypadku działań Pawła M. nie zdali egzaminu.

i Sektach”, czytamy w raporcie. Osobą o największych zasługach w obnażeniu prawdy o istocie i skali psychicznego, fizycznego i seksualnego mobbingu, którego sprawcą byli Paweł M. albo podpuszczana przez niego grupa, był inny dominikanin, Marcin Mogielski. Kiedy spisał on relacje pokrzywdzonych, bitych, upokarzanych, uzależnionych psychicznie osób z najbliższego kręgu Pawła M., usłyszał od prowincjała Zięby, że jest zawistny, bo tamten jest wybitnym duszpasterzem, który przyciąga do dominikanów

o patologii nie jednego człowieka, ale nobliwej, cieszącej się we własnych oczach wielkim poważaniem instytucji zakonnej, mającej aspiracje do sprawowania rządu dusz.

Dominikanie są zapewne najdłużej działającą instytucją demokratyczną w Polsce. Od samego początku jako jeden z nielicznych organizmów w Kościele rządzi się swoją konstytucją i wszystkie władze wybiera demokratycznie na kilkuletnie kadencje. Ale demokratyczny z istoty system wyborczy, jak wiemy skądinąd, nie

► tytułem „Kościół wobec demokratycznego kapitalizmu w świetle encykliki *Centesimus annus*” – „chrzcząc” polski kapitalizm, wydając i propagując amerykańskich, katolickich ideologów wolnego rynku. Na zakon patrzył jak na sztandarowy model kapitalistycznej instytucji końca XX w., korporację – i tak nim zarządzał. Do cech charakterologicznych, które Stanisław Obirek i Artur Nowak opisują w wydanej właśnie książce „Gomora”, takich jak mizoginizm, homofilia, despotyzm, skrajna apodyktyczność, zdolność do manipulowania grupami podwładnych oraz podejrzliwość (inwigilowanie i piętnowanie tych, których uznał za wrogów), doszło jeszcze uzależnienie alkoholowe. A obok – wieloletnia zażyłość z Janem Pawłem II, który darzył go sympatią i zaufaniem. „Problemy rozjeżdża jak czotąg”, mówił

zauważyć, że w skład komisji, która publikacją raportu zakończyła działalność, wchodziły wyłącznie osoby wywodzące się z duchowieństwa lub bardzo mocno związane z Kościołem. Obok dr. Terlikowskiego byli to: dr Sebastian Duda (teolog i publicysta), Bogdan Stelmach (lekarz seksuolog), Wioletta Konopa-Stelmach (psycholog kliniczny), dr Sabina Zalewska (pedagog i psycholog rodziny), o. Jakub Kołacz SJ (prowincjał Prowincji Polski Południowej Towarzystwa Jezusowego w latach 2014-2020), ks. dr Michał Wieczorek (prawnik kanonista, wiceoficjał sądu biskupiego), dr hab. Michał Królikowski (profesor UW, adwokat, w latach 2011-2014 wiceminister sprawiedliwości). Ma to oczywiście ogromny wpływ na cały raport, jego założenia, cele i przede wszystkim język. Reguła

z działalnością jednego z braci, który po tym, jak dopuścił się poważnych nieprawidłowości w relacjach z członkami duszpasterstwa, w sprawowaniu sakramentu pokuty i który stosował formy manipulacji duszpasterskiej, rodzącej następnie przemoc fizyczną i nadużycia seksualne, przez następne lata przebywał w kolejnych wspólnotach klasztornych, okresowo sprawował sakramenty i nauczał, brał czynny udział w życiu zakonu, jak się później okazało, nie porzucając zachowań, które ostatecznie ponownie doprowadziły do wykorzystania seksualnego kolejnej osoby przy sposobności, jaką dało mu bycie kapłanem i dominikaninem. Nastąpiło to w określonych okolicznościach wyznaczonych postępowaniem przełożonych oraz sposobem życia wspólnot braci, w których przebywał Paweł M. (...) Wystuchani, choć nie dotknęła ich przemoc fizyczna ani seksualna, zostali skrzywdzeni przez głębokie techniki przemocy emocjonalnej, psychicznej i duchowej, a także psychomanipulacji i wymuszania pewnych działań, które prowadziły ich do decyzji czy działań niszczących całe ich życie. Komisja ma wreszcie świadomość, że część z pokrzywdzonych nadal nie zaufała ani Zakonowi Kaznodziejskiemu, ani Komisji i w związku z tym nie zdecydowała się na złożenie swoich świadectw ani na kontakt z nami. Z tej perspektywy niemożliwe jest ułożenie pełnej i wiarygodnej listy osób pokrzywdzonych przez Pawła M.”.

Raport komisji kończy się wieloma rekomendacjami, zarówno pod adresem samych dominikanów, jak i procesu rozliczenia się z win i odpowiedzialności za krzywdy i przestępstwa nie tylko Pawła M. Jest tu także mowa o odszkodowaniach i zadośćuczynieniu dla ofiar. Czyli dokładnie o tym, przed czym wciąż ucieka polski Kościół. Czy raport przetrze tu jakąś nową drogę? Dla samych dominikanów? Dla Kościoła w Polsce? Trudno być optymistą, nie należałoby chyba do nich nawet autorzy i autorki tego jednak wyjątkowego opracowania. Czas na ruch państwa polskiego (podczas procesu sądowego Pawła M.), Watykanu i polskich katolików. Teraz milczenie jest już naprawdę niemożliwe.

Roman Kurkiewicz
r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Raport jest dokumentem bezprecedensowym dla całego Kościoła w Polsce, który nie skonfrontował się nawet w takiej formie z nadużyciami i przemocą seksualną osób duchownych.

o nim jeden ze współbraci. Paweł M. był w oczach Macieja Zięby gwiazdą zakonu. Miał „sukces”. Przyprawiał klientów. Budował „nowoczesną” markę zakonu. Dlatego Zięba wszystko mu wybacział i zapominał. Był prawdziwym i jedynym z tego pokolenia liderem dominikanów w Polsce – próba zaważenia o przywództwo globalne, zostania generałem całego zakonu, spaliła na panewce. Podobnie jak szefowanie Europejskiemu Centrum Solidarności w Gdańsku (2007-2010), gdzie w oparach skandalu alkoholowego musiał podać się do dymisji. Jego rola w zakonie co prawda słabła, ale wytworzone sieci zależności i podporządkowania były potężne i nienaruszalne aż do jego śmierci. W ich cieniu dobrze się miała także nietykalność Pawła M.

Raport to pierwszy krok

Raport z jednej strony jest dokumentem bezprecedensowym dla dominikanów, ale także dla całego Kościoła w Polsce, bo ten nawet w takiej formie nie skonfrontował się z upublicznianymi w ostatnich latach faktami nadużyć i przemocy seksualnej, których sprawcami są osoby duchowne. Z drugiej strony należy

prawnicza *Nemo iudex in causa sua* (Nikt nie może być sędzią we własnej sprawie) w tym wypadku nie została zachowana, a sprawa Pawła M. nie jest przecież tylko wewnętrzną kwestią dominikanów, zredukowaną do odpowiedzialności jednego człowieka, byłego prowincjała Macieja Zięby. Jednak wciąż, kiedy mowa o przestępstwach ludzi Kościoła (w tym wypadku głównie wobec osób pełnoletnich, choć młodych), króluje wariant czarnej owcy, wyparcia się odpowiedzialności zarówno instytucji kościelnej, jak i wiernych, tworzących wspólnotę.

Paweł Kozacki, obecny prowincjał dominikanów, poinformował, że wszczął kanoniczny proces karny. „Ciągłe poznajemy nowe fakty z przeszłości ojca Pawła M., dlatego wszcząłem kanoniczny proces karny, a zebrane dokumenty zostaną w trybie pilnym wysłane do Rzymu do Kurii Generalnej Zakonu, a przez nią do Watykanu”. Paweł M. wciąż jest księdzem i dominikaninem.

Przyjrzyjmy się w skrócie ustaleniom komisji w jego sprawie. Ona sama tak widziała swoją rolę: „Powodem powołania Komisji była decyzja o zmierzeniu się z trudną przeszłością polskich dominikanów związana

Dziennikarze na granicy

Oświadczenie mediów

Wprowadzony przez rząd RP stan wyjątkowy na całej długości granicy Polski z Białorusią wyklucza działalność mediów. Przepisy dopuszczają swobodne poruszanie się tam osób i podmiotów świadczących szereg usług i prowadzących działalność gospodarczą – z wyłączeniem dziennikarzy i organizacji społecznych. Musi to budzić sprzeciw.

Stwierdzamy, że działania władz są sprzeczne z zasadą wolności słowa, stanowią też przejaw niezgodnego z prawem prasowym utrudniania pracy dziennikarzom i tłumienia krytyki prasowej.

Informujemy władze Rzeczypospolitej i opinię publiczną, że nie zgadzamy się z zakazem pracy dziennikarzy w terenie przygranicznym. Oznacza on odebranie nam możliwości wypełniania misji naszego zawodu, a społeczeństwu konstytucyjnego prawa do informacji.

1

Jednym z motywów zakazu jest – jak wynika wprost z wypowiedzi polityków – większy „komfort pracy” przedstawicieli władz i służb, co jednak oznacza działanie bez kontroli czwartej władzy i pozbawienie społeczeństwa niezależnych od polityków informacji.

Opieramy się tu na opiniach, jakie na naszą prośbę przygotowało grono wybitnych prawników i prawniczek (dr Anna Rakowska-Trela, prof. Ryszard Piotrowski, prof. Ewa Łętowska, a także Helsińska Fundacja Praw Człowieka). Przypominamy też, że rzecznik praw obywatelskich 6 września 2021 r., oceniając rozporządzenie o stanie wyjątkowym, podkreślił, że obecność mediów jest szczególnie uzasadniona w sytuacjach, które „wiążą się bezpośrednio z podstawowymi prawami człowieka”, a wyłączenie dostępu do informacji publicznej dla dziennikarzy „zwiększa ryzyko niekontrolowanego rozprzestrzeniania się nieprawdziwych i niezwyfikowanych informacji lub spekulacji, w szczególności w mediach społecznościowych”.

Zgodnie z podpisaną przez Polskę Europejską Konwencją Praw Człowieka „każdy człowiek ma wolność otrzymywania informacji bez ingerencji władz publicznych, zaś rolę dziennikarzy w państwie demokratycznym jest informowanie społeczeństwa o sprawach budzących istotne zainteresowanie społeczne”.

Władze przekonują, że sytuacja na granicy niesie zagrożenia dla Polski. Tym bardziej konieczna jest obecność mediów (i organizacji społecznych), które mają obowiązek przedstawienia społeczeństwu niezależnej oceny wydarzeń, w tym postępowania władz, m.in. informując, czy cudzoziemcy, którzy znaleźli się na granicy, są traktowani zgodnie z zasadami humanitaryzmu oraz prawa międzynarodowego.

2

Nawet jeżeli uznać, że pas przygraniczny jest rejonem potencjalnego konfliktu militarnego, to właśnie w takich obszarach najbardziej pożądana jest obecność mediów i organizacji pomocowych. Eliminowanie ich jest niedopuszczalne i niezgodne ze standardami demokratycznego państwa.

Apelujemy do rządu, by zmienił zapis i dopuścił media do rejonu objętego stanem wyjątkowym.

Media uczestniczące w akcji – niezależnie od wybranej przez siebie formy pracy – deklarują solidarność w reakcji na działania władzy ograniczające nasze zawodowe prawa.

3

Protestujemy przeciw działaniom komendanta policji z Białegostoku wobec dziennikarzy Onetu, którzy 3 września 2021 r. wjechali na teren objęty stanem wyjątkowym. Niezatrzymywani przez służby, dojechali aż do Usnarza Górnego. Kiedy Onet wyemitował nagrany materiał, z dziennikarzami skontaktował się rzecznik, a następnie komendant policji z Białegostoku i zaprosił do siebie, żeby „po cichu załatwić sprawę”. Okazało się, że był to „podstęp” ośmieszający służby państwowe. Dziennikarzom zarekwirowano nagranie i usłyszeli zarzuty karne.

4

Prosimy opinię publiczną o zrozumienie i poparcie naszych działań. Celem inicjatywy nie jest przeciwdziałanie decyzji o wprowadzeniu stanu wyjątkowego. Jednak nawet gdyby ta decyzja była w pełni uzasadniona, nie oznacza to, że jej realizacja ma się odbywać bez kontroli społecznej.

Naszym celem jest – tylko i aż – realizacja prawa dziennikarzy do pracy na rzecz opinii publicznej, zadbanie o to, by prawda o wydarzeniach, zwłaszcza budzących tak duże zainteresowanie i kluczowych dla demokracji, dotarła do społeczeństwa.

Opublikowane oświadczenie podpisały 42 redakcje mediów ogólnopolskich i lokalnych oraz dziennikarskich organizacji. Wszystkie obywatelki i wszystkich obywateli prosimy o rozpowszechnianie informacji o niej.

Onet, Wirtualna Polska, Gazeta.pl, OKO.press, TVN 24, Fakty TVN, Gazeta Wyborcza, Fakt, Super Express, Rzeczpospolita, Dziennik Gazeta Prawna, Polityka, Newsweek, Tygodnik Powszechny, Wprost, Przegląd, Angora, Forum, Polityka Insight, Liberte!, Trybuna, RMF FM, Radio ZET, TOK FM, Press, Fundacja Grand Press, Towarzystwo Dziennikarskie, Stowarzyszenie Dziennikarzy RP, Reporterzy bez Granic, Fundacja Reporterów, Pismo, NaTemat.pl, Strajk.eu, Portalmedialny.pl, Dziennik Wschodni, Super Nowości, Nowiny Jeleniogórskie, Miesięcznik Kraków, Wirtualny Chelme, Związek Zawodowy Dziennikarzy, TV ASTA, Tygodnik „Super Brodnica”

Sz. P.

Ireneuszowi Bilowi

Szczere wyrazy głębokiego współczucia
oraz słowa otuchy z powodu śmierci

Ojca

Józefa Bila

składają

Jolanta i Aleksander Kwaśniewscy

wraz z Zarządami, Pracownikami i Współpracownikami

Fundacji Amicus Europae oraz Fundacji Porozumienie Bez Barier

Rozmawia Beata Igielska

Wisały na wierzbie jak dwie porcelanowe lalki, ubrane odświętnie na czarno, w przerysowanym makijażu. Wcześniej 13-latki w Dobczynie niosły duże donice – na swoją śmierć.

– Niestety, wygląda to na zaplanowane samobójstwo, a nie impulsywne. Samobójstwa dzielimy na samobójstwa być, być albo nie być i nie być. Ta ostatnia grupa samobójców nie daje znaków otoczeniu, że chce odebrać sobie życie. Dwie pozostałe czynią nieudane próby rozwiązania problemów. W przypadku nastolatków rzadko jest intencja odebrania sobie życia, najczęściej działają impulsywnie. Wysyłają informacje otoczeniu, że źle się czują. Te dziewczynki raczej nie działały impulsywnie – historia ich cierpienia na pewno była długa.

Najprawdopodobniej poznały się na oddziale psychiatrycznym. Sołtys wsi Dobczyn w wypowiedzi dla mediów pozwolił sobie na mniej więcej taką ocenę sytuacji: wariatki były, to się zabiły. Obawiam się, że wyraził podejście części społeczeństwa do problemu samobójstw ludzi młodych.

– Utożsamia chorobę psychiczną z chorobami somatycznymi. Jeśli zapadam na malarię, to ugryzł mnie komar, który ją przenosi, jeśli zapadam na covid, zostałem zarażony.

Ilekróć będziemy chronić mityczną polską rodzinę, a nie młodego człowieka, tylekróć efekty będą optakane, np. samobójstwa.

Natomiast jeśli bierzemy pod uwagę zaburzenie psychiczne, jakim jest depresja prowadząca do próby samobójczej, to jest ono wielopłaszczyznowe i bardzo wiele składa się na to, co może spowodować tak duże cierpienie człowieka, że będzie chciał odebrać sobie życie. To nie jest tak, że dziewczynki zobaczyły film albo przeczytały mangę i targnęły się na życie. Takie sugestie są głupotą. Jeśli akceptuję siebie, wychowywałem się w środowisku, które mnie akceptuje, to naprawdę zobaczenie filmu czy przeczytanie mangi nie spowoduje, że będę chciał odebrać sobie życie. Z jakiego powodu miałbym to robić?

bo mama mi tego nie powiedziała” albo: „Ojciec chleje w domu i bije matkę”. Takim celom powinna służyć szkoła. A co do chłania w domu: ilekróć będziemy chronić mityczną polską rodzinę, a nie młodego człowieka, tylekróć efekty będą optakane, np. w postaci samobójstwa. Takie mam doświadczenia.

Dzieci na oddziałach psychiatrycznych leżą na zakrwawionych materacach na korytarzu i wymieniają się sposobami, jak sobie odebrać życie, jak pociąć się plastikową zakrętką. Pielęgniarka, jedna na 40 dzieci, może jedynie przypiąć je pasami. To samo psychiatra – może wypisać tabletkę.

Nie moralizuj, nie bagatelizuj, wysłuchaj, zrozum

Czy w danej szkole dojdzie do kolejnego samobójstwa, zależy od tego, czy dorośli będą bardziej uważni na młodych

– To problem systemowy. Co może jeden wypalony lekarz i jedna pielęgniarka? Jeśli sami nie dostają współczucia, nie mogą go dawać innym. Nasze zasoby są wyczerpywalne.

Jeżeli chcemy walczyć z samobójstwami, to raczej nie przez stworzenie kolejnej infolinii, choć i one są ważne. Żeby ludzie czuli się bezpiecznie, ważne jest, gdzie i jak mieszkają, czy mają dostęp do szpitali psychiatrycznych i do ochrony zdrowia. W Polsce cała tkanka społeczna jest chora, więc nie dziwny się, że dzieci są chore.

– Socjolodzy pokazują, że im bardziej nie ma pewności w świecie społecznym, im słabiej działają pewne reguły życia społecznego zapewniające zaufanie, tym większa jest skala samobójstw.

Ostatnio dyrektor ukarał nauczycielkę z Torunia, bo rozmawiała z dziećmi na podstawie tekstu z podręcznika o depresji i anoreksji. Dziewczynka się pocięła, a dyrektor, zarządzający szkołą przez konflikt, stwierdził, że to nauczycielka nieumiejętnie rozmawiała na trudne tematy. Kto będzie pomagał dzieciom pokaleczonym zdalnym nauczaniem, jeśli dzieją się takie historie? Nauczyciele będą się bać.

– To ogromny, niedoceniany problem systemowy. Jeżeli nauczyciele boją się, są zastraszeni, że popełnią błąd i ktoś ich oskarży, jeśli dyrektor boi się popełnić błąd, bo ukaże go kurator, to jasne jest, że w tej atmosferze strachu rozmawiania z młodymi nie będzie, będzie się unikać



KONRAD AMBROZIAK

– superwizor terapii poznawczo-behawioralnej. Pracuje z dziećmi i młodzieżą po traumie. Współautor książek „Depresja nastolatków. Jak ją rozpoznać, zrozumieć i pokonać”, „Nastolatek a depresja. Praktyczny poradnik dla rodziców i młodzieży”. Prowadzi Fundację Psycho-Edukacja.

trudnych tematów. Sytuacja z Torunia pokazuje, jak łatwo można wpaść w bezrefleksyjne ocenianie i szukanie winnych. Zaburzenia psychiczne i samobójstwa są zlepką różnych przyczyn, musi nastąpić kumulacja wielu powodów, żeby dostać depresji czy chcieć odebrać sobie życie. Złą postawą jest szukanie winnych, ważne, żeby nauczyciel umiał wyciągać wnioski z tego, co się stało. Konieczna jest atmosfera wsparcia. Podejrzewam, że rada pedagogiczna szkoły w Dobczynie jest w traumie podobnie jak cała reszta społeczności. Ważne więc teraz jest nie szukanie winnych, lecz pochylenie się nad cierpieniem wokół samobójcy. Nauczenie się, jak być otwartym na potrzeby dzieci, na to, co mówią i sygnalizują.

Czyli nawet jeśli nauczyciel nie ma wykształcenia psychologicznego, powinien rozmawiać z dziećmi o depresji i poruszać trudne tematy? Bo nauczyciele na swoich grupach w mediach społecznościowych zaczęli pisać: nie wiemy, jak rozmawiać, nie umiemy pomóc, możemy zaszkodzić. Chyba nie tędy droga.

– To zbyt dramatyczne postrzeganie psychologii, która naprawdę nie jest fizyką kwantową niezrozumiałą dla większości z nas. Większość

z nas, jeśli doświadczyliśmy choć jednej dobrej relacji w życiu, jest w stanie pomagać poprzez bliskość, wysłuchanie, zrozumienie. Pomaga komunikat: nie wiem, co masz zrobić, ale słyszę cię, jestem z tobą. To, co przeżywasz, faktycznie jest trudne. Nie musimy od razu rozwiązać tego problemu, ale i tak będę z tobą. Twój smutek, lęk jest dla mnie całkowicie zrozumiały. Pozwól, że przejdę go razem z tobą, będę ci towarzyszył. To naprawdę nie jest wyszukana forma pomocy. Boimy się emocji innych ludzi, szczerości, swojej niekompetencji, tego, że nasz umysł mówi: muszę zaraz rozwiązać problem. Boimy się mitów, że rozmową możemy kogoś rozwalić. Nie jest rozwaleniem, gdy w naszej obecności ktoś zacznie przeżywać nieprzyjemne emocje: rozpłaczę się, zdenerwuje. Te emocje są częścią nas. Nie wierzymy w mity, że jak ktoś płacze, to zrobiliśmy coś złego i teraz musimy go pogłaskać po głowie lub rozśmieszyć. Nie, kiedy ktoś opowiada o smutnych sprawach, płacz jest normalną reakcją. Osoba dorosła, zwłaszcza w kontakcie z dziećmi, powinna wytrzymać płacz.

Z jednej strony, mamy skłonność do bagatelizowania problemów

młodych ludzi, z drugiej – do poszukiwania prostych rozwiązań. To też nie jest droga do nawiązania kontaktu. Jeśli przychodzi do mnie nastolatek i mówi: „Rozstałam się z chłopakiem”, to jest dla niej dramat. Często zaś pojawia się reakcja: „E, będzie następny, co to była za miłość, byłaś z nim dwa tygodnie”. Zapominamy, jak to jest być nastolatkiem.

Takie reakcje rodziców są wspominanymi prostymi rozwiązaniami?

– Tak: „Będzie następny, weź się w garść, nie przejmuj się. Jutro, jak wstaniesz, będzie lepiej”. Takie rady służą szybkiemu naprawieniu sytuacji, ale całkowicie unieważniają przeżycia młodych ludzi. Pokazują im, że smutek, lęk i inne emocje nie są ważne, ale głupie czy nieadekwatne. To pogłębia problem. Nie dość, że młoda osoba źle się czuje, bo przeżywa te trudne emocje, to jeszcze dostaje od otoczenia przekaz, że coś jest z nią nie tak, skoro czuje, tak jak czuje. Wtedy przeżywane emocje są jeszcze silniejsze.

Czyli powinniśmy normalnie rozmawiać z młodymi, nie bagatelizując ich problemów.

– Oczywiście. Częsty błąd, który popełniamy w rozmowach, to nienazywanie rzeczy wprost. Przychodzi młoda osoba i mówi, że myśli o samobójstwie, a my: „Na pewno nie chcesz tego zrobić”. Słowo samobójstwo zastępujemy słowem to. My, dorośli, wysyłamy sygnał, że są sprawy, o których lepiej nie mówić, bo one nas mogą przerażać. Przez to dla młodych ludzi stają się jeszcze trudniejsze do udźwignięcia. Gdy widzą, że dorosły się boi, oni mają prawo bać się jeszcze bardziej. Jak bohaterowie horroru, którzy wiedzą, że za drzwiami jest potwór, ale ich nie otwierają, bo się boją. Ważne, jak widz odbiera horror. Przeważnie najbardziej się boi, gdy jest groźna muzyka, kiedy zbliża się „to” niewypowiedziane, a jeszcze „tego” nie zobaczył. Natomiast jak już zobaczy potwora, niezależnie od tego, jak on jest straszny, lęk opada. Gorsze jest wyobrażenie tego, co może nastąpić. Dziecku zmagającemu się z myślami samobójczymi warto powiedzieć, że każdy z nas choć raz w życiu miał takie myśli. Jeśli w ten sposób znormalizujemy myśli samobójcze, damy do nich prawo na zasadzie: „Nie jesteś wariatką, że tak myślisz, że

► tak czujesz”, jest szansa, że dziecko nie podejmie decyzji o popełnieniu samobójstwa.

W Dobczynie 13-latkę popełniły „to” i co dalej? Szkoła nie celebrowała pogrzebu szpalerem z białych róż, żeby nie wywołać efektu Wertera.

– Ten efekt z jednej strony na pewno występuje, ale z drugiej żaden XIX-wieczny młodzieniec romantyczny, który był szczęśliwy, nie popełniał samobójstwa, bo przeczytał książkę. Jak już wspominałem, do tej decyzji popycha bardzo silne cierpienie, które przeżywa dana osoba, plus przekonanie, że nie jest ona w stanie sobie z tym cierpieniem poradzić. Do samobójstwa prowadzi brak osoby, której można zaufać na tyle, żeby pomogła przejść przez cierpienie. Osoby mocno cierpiące mogą oczywiście wzorować się na samobójcach. W tym sensie dochodzi do efektu Wertera. Ale nie przeceniałbym jego skali. Zwracałbym uwagę na osoby, które żyją i cierpią, a nie denerwował się, czy szpaler róż nieświadomie „zachęci” kolejne dzieci do samobójstwa.

Skupiłbym się na pomocy i edukacji psychologicznej, tłumaczeniu

systemowa odpowiedź na nią: teraz będziemy nadrabiać braki z edukacji zdalnej, to jest najważniejsze. Do tego dorzuciłbym straszenie groźną pedagogicznym niechcianymi zmianami systemowymi w szkołach. To wszystko zwiększa niepewność, nauczyciel nie będzie reagować na potrzeby młodych, bo będzie skupiony na swoim lęku, niepewności. Ma do tego prawo. MEN reprezentuje myślenie zaściankowe, podążając tropem XIX-wiecznego pomysłu na edukację. To prawda, że jeszcze w XVIII w. szkoła dawała gotowy światopogląd, ale żyjemy w wieku XXI i to nie szkoła go daje. Trzeba bardzo się zaprzeć, żeby tego nie widzieć.

Pogłębimy zapaść psychologiczną młodych, jeżeli będziemy trzymać się ściśle dyrektywy, że mamy przekazać wiedzę sformatowaną ideologicznie, a jednocześnie będziemy zapominać, że szkoła jest podstawowym miejscem, w którym dokonuje się proces socjalizacji, że trzeba na niego zwrócić uwagę, uczyć umiejętności społecznych, psychologicznych. Gdy słyszę o pomysły, żeby wyprowadzić ze szkół organizacje pozarządowe

– Trochę to łączę z narastającymi tendencjami autorytarnymi. Autorytaryzm jest nieskutecznym sposobem na poradzenie sobie z lękiem, on go wzmacnia. Jesteśmy rządzani przez autorytarystów, przelewających swoje lęki na innych, z którymi im nie po drodze ideologicznie. Głoszą, że dany styl życia jest czyjaś „wina”. Uczą społeczeństwo lęku, że ludzie, w których jest „wina”, odpowiadają za całe zło tego świata. Jednocześnie skutecznie zniechęcają do współdziałania, budowania zaufania wobec „innych”, a to są jedne z podstawowych czynników zabezpieczających przed rozwijaniem poczucia wyobcowania, wyalienowania, cierpienia. I mamy to, co mamy.

Pesymistyczna ta nasza rozmowa.

Co zrobić, żebyśmy nie mieli tego, co mamy? Nie mówię o pieniądzach na psychiatrię dziecięcą.

– Na poziomie indywidualnym warto kultywować w sobie cnoty współczucia i uważności, otwartości na drugą osobę. Nie musimy zgadzać się ze wszystkim, doceniać wszystkich wyborów innych. Ale musimy pamiętać, że podstawą życia społecznego są wzajemny szacunek i akceptacja. Jeśli ich brakuje, nie ma wzajemnego zaufania. Na poziomie systemowym polska edukacja musi zadbać o dobrostan psychiczny nauczycielek

i nauczycieli. Z drugiej strony pogardzanie tą grupą zawodową w społeczeństwie jest dramatyczne. Musimy przestać poddawać nauczycieli naciskom, przestać bez przerwy kontrolować to, co robią, narzucać im wartości, bo człowiek zniewolony źle działa. Należy zmienić podstawy programowe – wprowadzić edukację psychologiczną. Zniechęcać do stawiania jedynek i złych ocen. W prawie oświatowym nie jest nigdzie zapisane, że nauczyciele muszą stawiać masę ocen. Wystarczy, że wystawią ocenę końcową, a jak to zrobią – ich sprawa. Należy ograniczyć liczbę klasówek. Jeśli jednak dziś priorytetem państwa polskiego jest nadrobienie braków edukacyjnych z pandemii, nauczyciele robią sprawdzian za sprawdzianem. Nie widzę tu ich złej woli.

Częstym błędem, który popełniamy w rozmowach, jest nienazywanie rzeczy wprost. Słowo samobójstwo zastępujemy słowem to.

dzieciom, czym są emocje, jaki mają sens ewolucyjny, jak ważne są dla nas. Uczylbym, że nie ma złych emocji i mamy prawo do przeżywania każdego; o tym, że to nie emocje prowadzą do problemów, ale zachowania. To proste prawdy psychologiczne, znane od starożytności. Czy w danej szkole dojdzie do kolejnego samobójstwa, czy nie, zależy od tego, czy dorośli będą bardziej uważni na młodych, czy będą starali się wcześniej wychwytywać sygnały ostrzegawcze i reagować empatycznie.

Czytałam poruszający wywiad z lekarką ze szpitala dziecięcego w Warszawie. Kiedyś mieli jedno dziecko na dwa tygodnie po próbie samobójczej, teraz mają codziennie. Jakby pandemia uwolniła demony drzemące w polskich rodzinach.

– Pandemia to na pewno jeden z czynników. Drugim jest drastyczna

uczące psychologii, to naprawdę płakać mi się chce.

Dziewczynki z Dobczyna mogą być cichymi ofiarami owej ideologizacji. Odkryły najprawdopodobniej, że są lesbijkami.

– Jednym z czynników prowadzących do ich samobójstwa mogło się stać nieradzenie sobie z nietolerancją wobec ich orientacji seksualnej. Dziś z jednej strony rośnie świadomość młodych odnośnie do tożsamości seksualnej. Jest więc naturalna chęć bycia akceptowanym. Z drugiej strony rośnie społeczne przyzwolenie na nietolerancję wobec tych osób. Staje się ona powodem do chwały. Napięcie w młodych LGBT będzie zatem rosło i powodowało coraz gorsze skutki. **Ilekość rozmawiam z psychologiem lub psychiatrą dziecięcym, nie macie czasu, bo ciągle przyjmuje cie pacjentów. To znaczy, że coś z nami, dorosłymi, dzieje się złego, że dzieci nie chcą żyć.**

Beata Igielska
b.igielska@tygodnikprzeglad.pl

Z Galicji



Jan Widacki

Ojciec chrzestny

Na wrześniowym Forum Ekonomicznym w Karpaczu pojawił się wicepremier, minister aktywów państwowych, Jacek Sasin. To on podczas gali wręczał nagrodę Firmie Roku, za którą uznano KGHM Polska Miedź SA. Wicepremier nawet przemówił. Mówił o KGHM z taką samą dumą jak kiedyś Edward Gierek o Hucie Katowice. Cóż, jest to zawsze jakiś postęp. Kaczyński mówi Gomułką, a Sasin przynajmniej Gierkiem. Nie wykluczam, że KGHM jest nadzieją rządu. Skoro Obajtkowy Orlen kupił rządowi prasę lokalną, może też KGHM coś kupi. Nic dziwnego, że rządzący tak lubią bogate mołochy państwowe. A ileż to członków rodziny i wiernych towarzyszy partyjnych można w nich zatrudnić!

Spójrzmy na taką dużą firmę państwową racjonalnie. To znaczy jako na zbiór posad. Im firma większa, tym posad do obsadzenia więcej. Im bogatsza, tym posady lepiej płatne. No i przy okazji może coś zasponsorować, a nawet – jak już wiemy – wykupić lokalne media. Może Orlen wydawać gazety, to niby czemu KGHM nie mógłby kupić jakiejś telewizji? Najlepiej dużej i niezbyt przychylniej rządowi. O mały włos, a jedna taka byłaby może na sprzedaż. Zresztą jeszcze nic do końca nie wiadomo.

Nikogo w zasadzie nie dziwiło, że KGHM dostał nagrodę, ani to, że wręczał ją Sasin. Zwrócono uwagę na coś innego. Gdy wicepremier i minister aktywów państwowych w jednej osobie się pojawił, tłem muzycznym była melodia z „Ojca chrzestnego”. Nie wiadomo, czy minister sam sobie takiego tła zażyczył, czy był to wybór jego dworu, czy organizatorów. Melodia, owszem, niczego sobie. Ale czy w tej sytuacji *à propos*?

Zaczęto się zastanawiać, o co mogło chodzić. Skojarzenia z mafią sycylijską oczywiście, ale czy uprawnione?

Zgadywano, czy za kulisami prezes KGHM nie całował Sasina w rękę.

A może z wyborem melodii ani sam minister, ani jego otoczenie nie mieli nic wspólnego? Może to właśnie wybór organizatorów? Jeśli tak, to czy świadomy? Czy to miał być hołd, czy prowokacja? Oj, na pewno sprawdzą to służby.

A jeśli wymyślił to minister? Czym w takim razie się kierował? Mafia sycylijska mu imponuje? Może jej sprawną organizacją, a może metody działania? Świadomy to byłby wybór czy podświadomy? Jeśli już, to raczej stawałbym na podświadomy. A wiecie dlaczego? Nie? To poczytajcie dzieła Freuda.

Ale chyba mimo wszystko za współczesnego Don Corleone Sasina się nie uważa. Chyba mu nawet nie wolno. On dobrze wie, kto jest jego ojcem chrzestnym i kogo

trzeba w rękę ucałować.

Teoretycznie można by przyjąć, że ministrowi nie o film chodziło, lecz o aktora grającego w nim główną rolę. O Marlona Brando. Ta-

ką ma do niego słabość? Może uważa, że jest do niego podobny? No, aż tak to chyba nie. Może to tylko jego idol? Ale jeśli tak, jeśli tu nie o mafię szło, tylko o Brando, to dlaczego melodia z „Ojca chrzestnego”, a nie chociażby z „Ostatniego tanga w Paryżu”? Przecież też mogłaby być. I też by się kojarzyło. Z czapkowaniem (dawniej zwanym wazeliniarstwem). A tego ostatniego na Forum Ekonomicznym nie brakowało. I nawet nie trzeba było do tego, jak sądzę, specjalnej zachęty. Takie subtelne podsuflowanie nie było widać potrzebne. Wybrano „Ojca chrzestnego” i wszystkie wynikające z tego faktu znaki zapytania.

j.widacki@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

BEZPŁATNY

NEWSLETTER



ZAPRASZAMY

Kto już się zapisał? Jeśli nie, można to zrobić na stronie www.tygodnikprzeglad.pl, podając swój adres e-mail lub dzwoniąc do redakcji, tel: 22 635 84 10 wew. 111.

Dostając newsletter, co tydzień otrzymasz informacje o najnowszym wydaniu PRZEGLĄDU, komentarze do aktualnych wydarzeń oraz newsy o naszych książkach.

BĄDŹMY
W KONTAKCIE!





Polski patrol na ulicach Ghazni. Na drugim planie wozy typu MaTV należące do kategorii MRAP.

Po co byliśmy w Afganistanie?

Politycy kłamali, mówiąc o misji stabilizacyjnej czy wręcz pokojowej

Marcin Ogdowski

Świat nadal rozwodzi się nad okolicznościami i skutkami klęski Zachodu w Afganistanie. Z uwagi na nasze zaangażowanie militarne podobne dyskusje toczono są również w Polsce. Większość opiera się na błędnym wyobrażeniu na temat charakteru działań Wojska Polskiego. Z jednej strony, pokutuje mity misji pokojowej, za drugiej – wyłania się obraz przypominający kadry z rosyjskiego filmu „9. Kompania”. Tymczasem codzienność „polskiego Afganistanu” ani nie sprowadzała się do dystrybucji pomocy humanitarnej, ani nie była naznaczona częstymi, spektakularnymi starciami. Na czym więc polegała służba naszych żołnierzy i w jakich przebiegała warunkach? Czy wysyłano ochotników, ilu i za jakie pieniądze? I wreszcie jak ginęli i w jakich okolicznościach odnosili rany wojskowi z Polski?

W czasie największego zaangażowania – w latach 2010-2011 – Wojsko Polskie utrzymywało w Afganistanie kontyngent liczący 2,6 tys. osób. Drugie tyle przygotowywało się do misji w kraju, staliśmy bowiem żołnierzy do

Azji na półroczne tury. Letnia zaczynała się w kwietniu, zimowa w październiku. Rotacje nie odbywały się płynnie. Polska nie dysponowała (i nadal nie dysponuje) lotnictwem transportowym zdolnym do działań o charakterze strategicznym, międzykontynentalnym. W tym zakresie zdani byliśmy na Amerykanów, a ci często mieli własne priorytety. Największy „korek” utworzył się wiosną 2010 r. Zamieszanie wywołane kata-

Ajdiki zabiły 31 naszych żołnierzy, co odpowiada 70% wszystkich strat.

strofą smoleńską oraz warunki atmosferyczne (erupcja wulkanu na Islandii zamknęła na wiele dni korytarze powietrzne nad Europą) sprawiły, że wojskowi z VI zmiany Polskiego Kontyngentu Wojskowego (PKW) wracali do kraju ponad miesiąc.

Jedną ze specyficznych cech afgańskiej wojny było jej sztywne powiązanie z kalendarzem. Zimą aktywność rebeliantów mocno spadała – twarda ziemia utrudniała zakładanie min pułapek, śnieg poruszać się, a niska temperatura wyganiała

z prowizorycznych kryjówek. Oczywiście nie oznaczało to całkowitego wygaszenia walk, zwłaszcza że druga strona starała się uniemożliwić talibom zimowy odpoczynek i przegrupowanie. Generalnie jednak ci – wchodząc w „hibernację” na przełomie listopada i grudnia – rozkręcali się dopiero w okolicach tamtejszego Nowego Roku, czyli święta Nowruz, które wedle naszych rachunków przypada 21 marca. Polskie dowództwo także zaakceptowało reguły pół roku – na zimowe zmiany wysyłano kontyngenty oparte na słabszych jednostkach. Elitarne formacje naszego wojska – przede wszystkim oddziały powietrznodesantowe – zawsze obstawiały lato.

Jedno z największych oszustw

Podstawowym zadaniem Polaków było sprawowanie kontroli nad prowincją Ghazni. Przez region przebiegała autostrada łącząca Kabul z Kandaharem, najważniejszy w Afganistanie trakt, którego drożność miała znaczenie zarówno dla wojska, jak i dla ludności cywilnej.

Talibowie regularnie go minowali, urządzali zasadzki, stawiali swoje posterunki, na których pobierali myto od cywilów. Tamtędy szły też ich własne transporty z opium i bronią. „Bitwa o hajtej” (od ang. *highway* – autostrada) i odnogi traktu angażowała dużą część polskiego kontyngentu. Ale istotna była również demonstracja siły w miasteczkach i wioskach prowincji. Krajem administrowały lokalne struktury, jednak w zakresie

się nie da, więc i w „polskiej” prowincji frekwencja wyniosła niemal 100%. Ba, niejednokrotnie była wyższa niż liczba uprawnionych do głosowania. W punktach wyborczych mężczyźni nagminnie oddawali głosy za kobiety, a do komisji trafiały niezłożone karty do głosowania. Pytanie, jak przedstawiały się przez otwory w urnach, byłoby oczywiście nie na miejscu.

Za równie „niegrzeczne” uznano moje dociekania z jesieni 2010 r.,

21 grudnia 2011 r. wybuch IED zabił całą pięcioosobową załogę wozu opancerzonego. Była to największa jednorazowa strata Wojska Polskiego w Afganistanie.

bezpieczeństwa w dużej mierze polegały one na siłach koalicji. Mówiąc wprost, przez lata ostatecznym gwarantem władzy Kabulu nad regionem był polski żołnierz. Gwarantem nie-rzadko iluzorycznym, bo liczący maksymalnie 2,6 tys. osób kontyngent, choć wsparty tysiącem Amerykanów, nie był w stanie upilnować częściowo górzystego obszaru o powierzchni 23 tys. km kw. (prawie dwa razy więcej, niż ma województwo śląskie). Wioski, w których za dnia zjawiali się Polacy, nocą nawiedzali talibowie. Tak naprawdę o kontroli można było mówić wyłącznie w miejscach, w których obecność Polaków miała stały charakter. Takimi obszarami były... bazy.

Uwikłanie w politykę – związane z koniecznością zabezpieczenia miejscowych struktur władzy – oznaczało także udział w niechlubnych przedsięwzięciach. „Mamy znów obstawiać tę farsę?!” – reagowali żołnierze na wieść o tym, że w październiku 2009 r. odbędzie się druga tura wyborów prezydenckich w Afganistanie. I w związku z tym opóźni się rotacja kontyngentu – by głosowanie ochraniać ludzie, którzy znali teren od kilku miesięcy. Roześlonych wojaków zapewniano wtedy, że wrócą do domów w terminie, a druga tura – jeśli w ogóle dojdzie do skutku – przeprowadzona zostanie wiosną. Po pierwszej w polskich bazach pozostał niesmak, nasze wojsko brało bowiem udział w jednym z największych oszustw początku wieku. Afgańczycy, głównie zwolennicy ówczesnego prezydenta Hamida Karzaja, fałszowali głosy na potęgę. On sam w wywiadzie dla jednej z francuskich agencji przyznał, że w młodej demokracji oszustw uniknąć

kiedy zorientowałem się, że gubernator prowincji Ghazni regularnie gości u siebie przywódców rebelii. Afgańczycy w swoim stylu – w trakcie wielogodzinnych, wypełnionych dygresjami rozmów – usiłowali się dogadać. Co na to Polacy? Nie przeszkadzali. Czasami wręcz dyskretnie zabezpieczali przejazdy talibskich przywódców. Takie działania wynikały z dyrektyw dowództwa ISAF (ang. International Security Assistance Force – Międzynarodowe Siły Wsparcia Bezpieczeństwa), które już na przełomie 2009 i 2010 r. uznało, że tylko wchłonięcie przez legalny system części ruchu oporu może zakończyć wojnę. „Ale tym, którzy bezpośrednio odpowiadają za śmierć naszych żołnierzy, nie odpuszczimy”, usłyszałem w dowództwie PKW. Te słowa, choć brzmiały groźnie, w istocie były dowodem porażki. Nikt już wtedy (!) nie mówił o nowym Afganistanie, równych prawach dla kobiet, demokracji. Po kilku latach wojny podjazdowej wielki sojusz skupił się na odławianiu ewidentnych łajdaków.

Szwadrony śmierci

Zajmowały się tym jednostki specjalne – TF-49, utworzona na bazie żołnierzy GROM, i TF-50, w skład której wchodził komandos z Lublińca. Polowanie na ludzi pokroju Mullahi Janana, Bashira Ahmada czy Abdula Manana wpisane było w strategię określaną mianem *capture or kill* (ang. dopaść lub zabić). Janan był odpowiedzialny nie tylko za planowanie i organizowanie ataków na żołnierzy ISAF – to on stał za porwaniem i zabójstwem kilku afgańskich inżynierów

w 2008 r. Parę dni przed zatrzymaniem zastrzelił dwóch pracowników prywatnej firmy afgańskiej, zajmującej się eskortą i konwojami. Z kolei Bashir Ahmad specjalizował się w konstruowaniu min pułapek. Abdul Manan, odpowiedzialny za liczne ataki na Polaków, był też współorganizatorem porwania kilkudziesięciu południowokoreańskich wolontariuszy w lipcu 2007 r. Warto przypomnieć, że wówczas – w wyniku żądań porywaczy – rząd Korei Południowej wycofał z Afganistanu część swoich wojsk. Manan w alternatywnej administracji talibskiej pełnił funkcję głównego sędziego dla prowincji Ghazni.

Wspomniana trójka – tak jak setki talibskich dowódców różnego szczebla – znajdowała się na tzw. JPEL (ang. *join prioritized effective list* – priorytetowej liście celów). Jej tworzeniu przyświecało przekonanie, że likwidacja bądź uwięzienie wskazanych osób doprowadzą do przynajmniej częściowego paraliżu rebelianckich struktur. Bo miejsce dotychczasowych komendantów będą zajmować coraz mniej doświadczeni ludzie. Taka argumentacja brzmiała logicznie, choć sama strategia miała wielu przeciwników. Zachodnie media donosiły o zabijaniu cywilów wciągniętych przez pomyłkę na JPEL. Co bardziej radykalne tytuły nazywały oddziały realizujące te zadania „szwadronami śmierci”.

Znacznie mniej kontrowersji budziły działania szkoleniowe, w teorii nakierowane na stworzenie wydolnych afgańskich sił bezpieczeństwa. Zwłaszcza po 2010 r. – kiedy NATO ogłosiło, że nie zamierza tkwić w Afganistanie po wsze czasy – nadano im priorytetowy charakter. Wraz z końcem 2014 r. Afgańczycy mieli przejąć obowiązki sił ISAF – i tak się stało. Mijsię formalnie rozwiązano, większość zachodnich oddziałów wróciła do domów. Ale kilkanaście lat temu była to pieśń przyszłości. By scenariusz wycofania uczynić możliwym, także w ramach polskiego kontyngentu, powołano zespoły OMLT (ang. Operational Mentoring and Liaison Team – Zespoły Doradczo-Łącznikowe) i POMLT (czyli z dodatkiem Policyjne). Afgańskie jednostki – mimo niedostatków – zaliczały certyfikacje. Panowało przekonanie, że jakoś dadzą sobie radę. Patrząc z perspektywy czasu – gdy wiemy już, jak marnej jakości okazały



► się armia i policja w konfrontacji z talibami – proces szkolenia (i wyposażenia) można uznać za największą składową porażkę NATO. A dodajmy dla porządku, że w sumie koalicja przeznaczyła na ten cel 80 mld dol.

Zyski i straty

Skoro zaś jesteśmy przy finansach, misja w Afganistanie kosztowała polski budżet – w zależności od roku – od 300 mln do 1 mld zł. Łącznie z pieniędzy polskiego podatnika wydano 6,5 mld zł. Projekty pomocowe i humanitarne angażowały najwyżej kilkadziesiąt osób z konkretnej zmiany, wydawano na nie po 20 mln zł rocznie. Patrząc całościowo, stanowiło to 120 mln zł. Zestawienie kosztów operacji militarnych oraz działań, jak mówią wojskowi, „o charakterze niekinetycznym”, nie przeszkadzało politykom mówić o misji stabilizacyjnej czy wręcz pokojowej.

I o misji ochotniczej, bo tzw. oświadczenia woli, potwierdzające dobrowolność decyzji o wyjeździe, od początku były fikcją. „Spróbuj się nie zgodzić, to ciekawe, czy przedłużą ci kontrakt?”, pytał retorycznie wielokrotny „misjonarz”, gdy rozmawialiśmy zimą 2009 r. Nie znaczy to, że mieliśmy do czynienia z powszechnym przymusem – większość wojskowych wyjeżdżała z własnej woli. „Pojechałem, bo taki był rozkaz, bo jechali koledzy, bo kariera, przygoda, chęć sprawdzenia się”, mówiono. Bo wreszcie „niezła kasa”. Jaka? Zakładając maksymalne stawki – od 10 tys. zł w przypadku szeregowca do ponad 21 tys. zł dla generała. Do tego pensja

w kraju oraz darmowy wikt, opiekuńcza kwaterunek. Porównując do średnich zarobków w Polsce, nawet obecnych – dużo. Ale czy te korzyści warte były ponoszonej ceny?

W 2009 r. ponad 60% zabitych żołnierzy ISAF padło ofiarą improvisowanych ładunków wybuchowych (ang. *improvised explosive device*, IED). Był to najwyższy podczas całej afgańskiej wojny wskaźnik zgonów wywołanych IED. Wcześniejsze i późniejsze statystyki dotyczące zabitych z powodu min pułapek oscylowały w granicach 50% wszystkich zgonów. IED wykonywano z bomb, pocisków czy granatów bądź tworzone od podstaw z materiałów wybuchowych, z wykorzystaniem rozmaitych nośników: wiader, garnek, rur itp. Zamaskowane, najczęściej wkopane w ziemię, detonowały pod wpływem nacisku lub poprzez zdalne odpalenie – z użyciem kabla i wiązek elektrycznej bądź fal radiowych. Wśród Polaków przyjęła się nazwa ajdik, będąca spolszczeniem akronimu IED. Ajdiki zabiły 31 naszych żołnierzy, co odpowiada 70% wszystkich strat.

Śmiertelna profesja

Większość polskich ofiar IED zginęła w pojazdach, których nie projektowano z myślą o przetrwaniu wybuchu miny pułapki. Wozami, które z założenia miały lepsze możliwości w tym zakresie, były różnego rodzaju MRAP (ang. *mine resistant ambush protected* – o zwiększonej odporności na miny i ataki z zasadzki). Istotą ich konstrukcji stanowiło podwozie w kształcie litery V, które powodowało, że

Projekty pomocowe angażowały najwyżej kilkadziesiąt osób ze zmiany. Np. Polacy rozdający żywność afgańskim dzieciom. Dystrykt Moqur, zima 2012.

znaczna część energii wybuchu rozchodziła się na boki. Stacjonujące w Afganistanie kontyngenty – w tym polski – dysponowały kilkoma typami takich pojazdów. I choć zasadniczo wozy te ocaliły życie wielu żołnierzy, i one zawodziły. 21 grudnia 2011 r. wybuch IED zabił całą pięcioosobową załogę jednego z MRAP. W historii afgańskiej misji była to największa jednorazowa strata Wojska Polskiego.

Nie wszyscy ginęli od razu. Trafiony elementem zniszczonego pojazdu w głowę Artur Pyc w maju 2009 r. został ewakuowany z Afganistanu. Zmarł w Polsce, trzy miesiące później. Z dala od pola walki umierał też Paweł Staniaszek. 9 października 2009 r. ubezpieczał konwój logistyczny, gdy doszło do eksplozji ajdika. Na miejscu zginęli saperzy Radosław Szyszkiewicz i Szymon Graczyk, a czterech żołnierzy zostało rannych. Jadący na wiezyczce jako strzelec Staniaszek stracił nogi (zmiażdżone po przewróceniu się wozu). Przez wiele miesięcy leczono go w amerykańskim szpitalu w Ramstein i w Wojskowym Instytucie Medycznym w Warszawie. W marcu 2011 r. znów trafił do WIM, gdzie zmarł kilkanaście dni później. Bezpośrednią przyczyną śmierci osłabionego organizmu było zapalenie płuc.

W opisanym zdarzeniu kryje się istotna prawda o afgańskim konflikcie, który był przede wszystkim wojną na miny. IED mogły kryć się wszędzie: pod mostkiem, przez który musiał przejechać patrol, w stercie kamieni na poboczu, w leżących tam zwłokach psa czy ośła. Każdy taki punkt musieli sprawdzić saperzy, zanim kolumna ruszyła dalej. Tymczasem talibowie znali wartość saperów i na nich polowali. Często ajdiki miały skomplikowaną konstrukcję – jeden krył się pod drugim, niektóre wystawiano na wabia, tylko po to, by wciągnąć żołnierzy w pole rażenia właściwych ładunków. W efekcie co trzeci poległy w Afganistanie żołnierz był saperem, choć stanowili oni zaledwie ułamek poszczególnych kontyngentów.

Marcin Ogdowski
m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Suknia masowego rażenia

Kiedy ostatni raz z taką intensywnością przewalił się przez cały globalny ekran mediów radykalny, lewicowy, socjalistyczny przekaz? Zobaczyli go „wszyscy”, poruszył równie wielu; czy sprowokował, czy zachwycił – bez znaczenia, medium jest przekazem. Sprawiała to najmłodsza w historii amerykańska kongresmenka, demokratka i socjalistka, Alexandria Ocasio-Cortez, zakładając białą suknię z czerwonym napisem *Tax the rich* (Opodatkować bogatych) na Met Gali 2021 w Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku. 32-letnia nowojorska gwiazda lewicowej polityki, która – jak głosi miejska legenda – swoją działalnością zapoczątkowaną pracą w sztabie Berniego Sandersa doprowadziła do wzrostu o 1500% zainteresowania wyszukiwaniem hasła socjalizm, jest mistrzynią korzystania z mediów społecznościowych; na nich opierała swoje niemal bezkosztowe kampanie wyborcze. Podobnie było teraz, kiedy jej kreacja – i ona sama – natychmiast trafiła pod ostrzał krytyków. Republikańska kandydatka do Kongresu z Nowego Jorku, Tina Forte, zażądała nawet od Komisji Etyki wszczęcia dochodzenia w sprawie biletu na Met Galę i sukienki AOC. Twitterem walczysz, od Twittera giniesz – mogłaby jej odpowiedzieć AOC, która na imprezę z biletami za 30 tys. dol. została zaproszona za darmo jako kongresmenka z Nowego Jorku, a suknię wypożyczyła od projektantki Aurory James, „czarnej imigrantki, która zaczynała od sprzedawania ciuchów na pchlim targu na Brooklynie, a dziś z powodzeniem prowadzi biznes oparty na zrównoważonym rozwoju. Projektantka towarzyszyła Ocasio-Cortez na czerwonym dywanie”, jak opisuje to Justyna Grochal.

Do chóru wybrzydzczy doskoczył, co odnotowuję z niejaką przykrością, Jan Śpiewak, aktywista miejski, osoba zasłużona w obronie praw lokatorów w Warszawie, rzucając w przestrzeń pogardliwe: „Ocasio-Cortez nie osiągnęła praktycznie niczego w Kongresie, nie

dotrzymała żadnej swojej obietnicy, wspiera Bidena, który złamał już chyba wszystkie swoje obietnice wyborcze. Jej sukienka to definicja pojęcia sygnalizowanej cnoty”. Zostawmy na boku niepohamowaną męską potrzebę krytykanckiego oceniania wyglądu, ubioru, zachowań kobiet w polityce, ale Śpiewak jakby zapomniał, że ta kongresmenka, której politycznymi hasłami są m.in. likwidacja urzędu imigracyjnego ICE, bezpłatne szkolnictwo, rozszerzenie opieki zdrowotnej Medicare, reforma prawa o dostępie do broni palnej i systemu prywatnych zakładów karnych, budownictwo publiczne, gwarantowane urlopy rodzinne oraz polityka energetyczna oparta w 100% na źródłach odnawialnych, wciąż nie rządzi w Kongresie; nie jest w większości, a nawet we własnej grupie politycznej tworzy wyraziste, ale niewielkie środowisko.

Choć bywam bezradny wobec potęgi społecznościówek, a może właśnie dlatego, jestem zachwycony umie-

jętnością ich wykorzystania w takim celu i przytomnością polityczną AOC. Demokratyczna kongresmenka potrafi politycznym „radykalnym” hasłem rozwibrować świat komentatorski i polityczny, a przy tym przystość gwiazdy światowej rozrywki, takie jak obecne na gali Billie Eilish, Anna Wintour, Rihanna, Jennifer Lopez, Zoë Kravitz, Gillian Anderson czy Anja Rubik. AOC skradła *show* w najpiękniejszym stylu anarchistycznych ekspropriacji, nie musząc napaść na bank czy – jak Piłsudski – na pociąg pocztowy.

AOC założyła suknię *Tax the rich* w pełni świadoma, jak świat może przyjąć ten spektakl. Dała równocześnie szansę wykazania się hipokryzją i zawiścią swoim krytykom i krytyczkom ze zróżnicowanych, odmiennych kręgów. Ona tą suknią ich pozamiatała. I jak przystało na portorykańską wiedźmę w białych szatach, niech tak zamiata aż do skutku. Tego jej i nam, światu, w zachwycie życzę. *Tax the rich!*

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl



W Berlinie mieszkanie prawem, nie towarem

Niemcy to nadal państwo socjalne i jeśli kogoś nie stać na czynsz w budynku, który został sprywatyzowany, może dostać pomoc od państwa

Rozmawia Roman Kurkiewicz

26 września odbędzie się w Berlinie, wraz z wyborami do Bundestagu, referendum w sprawie wywłaszczenia korporacji mieszkaniowych. Do jego organizacji doprowadziła inicjatywa Deutsche Wohnen & Co. enteignen (Wywłaszczyć Deutsche Wohnen i Spółkę). Jesteś jej działaczką. Wasi przeciwnicy z kręgów wielkiego biznesu mówią, że w tym referendum chcecie przegłosować komunizm.

– Wydaje się, że korporacje takie jak Deutsche Wohnen czy Vonovia operują na rynku mieszkaniowym. Natomiast tak naprawdę ich pierwotnym rynkiem jest rynek finansowy. Mieszkania są tylko aktywami, za pomocą których mogą uczestniczyć w grze na rynku finansowym. Porównajmy taką korporację ze zwykłym właścicielem, jakimś panem Müllerem, wynajmującym mieszkania czy całą kamienicę. Dla niego klientem jest lokator. Między nimi oczywiście istnieje konflikt interesów. Właściciel chce zarobić jak najwięcej, lokatorowi zależy, aby czynsz był niski. Mimo wszystko jest tu pewna współzależność charakterystyczna dla klasycznego kapitalizmu. Właściciel potrzebuje tego klienta.

A spółki zarządzające nieruchomościami ich nie potrzebują?

– Jeśli chodzi o spółki giełdowe, to ich głównymi klientami są akcjonariusze, a nie lokatorzy. Głównym celem firmy notowanej na giełdzie jest zaś podniesienie zysku z kapitału tych akcjonariuszy. To wobec nich zarząd spółki jest odpowiedzialny,



JOANNA KUSIAK

– socjolożka miasta, badaczka w King's College Uniwersytetu Cambridge oraz aktywistka Deutsche Wohnen & Co. enteignen (DWE).

oni rozliczają go z zysków i strat. Mechanizm strukturalny popycha do tego, by maksymalizować zyski z mieszkań. Nie dlatego, że w zarządach spółek zasiadają jacyś z natury źli ludzie. Tu nie chodzi o żaden wymiar moralny. Ze strukturalnego punktu widzenia oni nie mają innego wyboru. My chcemy, aby mieszkania wróciły do sektora publicznego, aby zostały uspołecznione.

Mieszkańcy zostaną zapytani, czy chcą uspołecznienia mieszkań należących do podmiotów prywatnych, w których posiadaniu pozostaje ponad 3 tys. lokali? Na jakiej podsta-

wie można było sformułować takie pytanie?

– Podstawą prawną jest art. 15 niemieckiej ustawy zasadniczej, który mówi: „Ziemia, zasoby naturalne i środki produkcji mogą zostać przeniesione na własność wspólną lub inne formy gospodarki publicznej w celu uspołecznienia”. W przypadku berlińskiego referendum mowa o 250 tys. mieszkań. Największym podmiotem w stolicy w sektorze zarządzania nieruchomościami jest spółka giełdowa Deutsche Wohnen, stąd nazwa kampanii.

Jak firmy zarządzające nieruchomościami zwiększają „produktywność mieszkań”?

– Można to zrobić na dwa sposoby: podnosząc maksymalnie czynsze oraz redukując koszty utrzymania i remontów. Od kiedy te spółki pojawiły się na berlińskim rynku mieszkaniowym, faktycznie widzimy ofensywę agresywnego podnoszenia cen, a jednocześnie obniżające się nakłady na remonty i utrzymanie tych mieszkań. Na co lokatorzy bardzo narzekają.

Zamiast typowego Hausmeistersa (gospodarza domu) jest *call center* i zanim się tam dodzwonisz w kwestii naprawy czy remontu, musisz wysłuchać godzin muzyki, a potem i tak nikt nic nie robi.

Tego od nich wymaga giełda we Frankfurcie?

– To, że są to mieszkania, jest w pewnym sensie przypadkiem. Tam jest po prostu kapitał. W Niemczech funkcjonuje określenie *Betongold*, betonowe złoto. Mieszkania są instrumentalnie używane do celów spekulacyjnych. Wcześniej w kapitalizmie taką rolę odgrywało złoto. Teraz są

to nieruchomości, w tym mieszkaniowe. Fundamentalna różnica polega na tym, że złoto nie jest dobrem pierwszej potrzeby, a mieszkania są. Konsekwencje społeczne takiego działania są więc zupełnie inne. Ludzie wydają coraz większą część dochodów na mieszkanie. Istnieją badania pokazujące, że przy obecnej dynamice cen wielu berlińczyków, którzy są teraz między 30. a 40. rokiem życia, nie będzie stać na pozostanie w mieście, gdy przejdą na emeryturę. Należy też pamiętać, że na tle innych miast niemieckich Berlin jest miastem średnio zarabiającym.

Dlaczego niemiecki rynek mieszkaniowy stał się podatny na tego typu praktyki?

– W Niemczech najemcy to ponad połowa społeczeństwa. Wynika to z uwarunkowań historycznych. Najem mieszkań przy różnego rodzaju zabezpieczeniach i regulacjach był po prostu korzystniejszy od kupna, także dla klasy średniej. W Berlinie lokatorzy stanowią 85% ludności. Znajdziemy wśród nich pełny przekrój społeczny. Jednak gdy rozpoczęto proces prywatyzacji, a szczególnie po pojawieniu się spółek gigantów, tempo wzrostu czynszów stało się zawrotne. W atrakcyjnych dzielnicach, takich jak Kreuzberg czy Mitte, mamy do czynienia ze wzrostami trzy-, a nawet czterokrotnymi. Korporacje mieszkaniowe są znacznie sprytniejsze niż zwykli właściciele wynajmujący mieszkania detalicznie. Mają rozbudowane działy prawne wyspecjalizowane w wykorzystywaniu luk prawnych.

Czy są jakieś inne konsekwencje zdominowania rynku najmu przez korporacje sektora finansowego?

– Z punktu widzenia ekonomii całego miasta obecnie mamy do czynienia z wyciekami pieniędzy. Po pierwsze, pieniądze z czynszów, które pochodzą z pensji osób mieszkających w Berlinie, nie cyrkulują w lokalnej gospodarce jak wtedy, gdy płaci się indywidualnemu wynajmującemu. Wyciekają przez akcjonariuszy korporacyjnych w odległe miejsca: Nowy Jork, Dubaj czy Chiny. Do tego część tych firm „optymalizuje” sobie zobowiązania podatkowe gdzieś na Kajmanach.

Po drugie, Niemcy to jednak nadal państwo socjalne i jeśli kogoś nie stać na czynsz w budynku, który dawniej

był komunalny, a potem został sprywatyzowany, może otrzymać pomoc od państwa. To znaczy, że pieniądze, które pochodzą z kasy publicznej, za pośrednictwem czynszów trafiają ostatecznie na konta koncernów. Gdyby zasoby mieszkaniowe należały do miasta, nie tylko czynsze byłyby niższe. Pieniądze wydawane na pomoc ludziom wychodziłyby z kieszeni miasta jedną drogą, ale wracały drugą, napędzając lokalną gospodarkę materialną. Teraz *de facto* państwo subsydiuje w ten sposób koncerny. Im bardziej one podnoszą czynsze, tym bardziej miasto jest zmuszone podnosić subsydia.

Jakie środowiska popierają akcję wywłaszczeniową?

– Mamy oczywiście poparcie organizacji lokatorskich. Referendum popiera również DGB, największa

W Niemczech najemcy to ponad połowa społeczeństwa. Najem był po prostu korzystniejszy od kupna, także dla klasy średniej.

centrala związków zawodowych, w tym reprezentujący pracowników przemysłu ciężkiego IG Metall, a także związek pracowników oświaty i nauczycieli GEW czy Ver.di, związek z sektora usług. Ale też aktywiści klimatyczni z Fridays for Future. Za uspołecznieniem przemawiają bowiem argumenty ochrony środowiska. Można by taniej i sprawniej przeprowadzić termomodernizację budynków. Dla wielu osób wspierających referendum jest to ważne. Grupy działaczek i działaczy FFF przyjeżdżały m.in. z Frankfurtu, by prowadzić zbiórkę podpisów pod inicjatywą referendalną. To był politycznie bardzo poruszający moment.

A co z poparciem partyjnej sceny politycznej?

– Prawica jest przeciwko. Lewica z Die Linke popiera nas całkowicie. Co do SPD i Zielonych, obie partie były wewnętrznie podzielone, bo mają zarówno lewicowe, jak i liberalne skrzydła. Jeśli chodzi o ostateczną opinię, to u Zielonych zdecydowała baza organizacyjna i establishment partyjny nas w końcu poparł, przynajmniej oficjalnie. Natomiast w SPD było na odwrót. Sprzymierzeńców znaleźliśmy w młodzieżówce SPD i w jednym z wewnętrznych

lewicowych skrzydeł, ale opcja establishmentowa wygrała. Dlatego obecny burmistrz Berlina oraz nowa kandydatka na burmistrznię bardzo nas nie popierają. Jak zresztą cała elita partyjna. Co nie jest zaskoczeniem, bo część tych osób była zamieszana we wcześniejszą prywatyzację zasobów mieszkaniowych.

Zakładamy, że referendum zostaje wygrane. Co dalej?

– Wszystko może się zdarzyć. Referendum jest wiążące politycznie, ale nie prawnie. Uspołecznienie nie nastąpi automatycznie. Senat Berlina musi napisać ustawę. Nie jest to obligatoryjne, ale referendum jest najsilniejszym narzędziem demokracji bezpośredniej i nie zdarzyło się do tej pory, żeby jakkolwiek senat kompletnie zignorował wynik takiego głosowania.

Bardzo dużo może się wydarzyć w trakcie pisania ustawy. Wiadomo, że to moment, kiedy łatwo wybić zęby progresywnym projektom. W związku z tym inicjatywa Deutsche Wohnen & Co. enteignen pisze swoje własne propozycje ustaw, by stworzyć pewien wzór, do którego później inni będą musieli się odnieść. I by dyskusji nie zaczynać od zgniłego kompromisu.

Mówimy o 250 tys. mieszkań. To są miliardy euro, nie należy więc oczekiwać, że kapitalizm odda je bez walki. Z pewnością ciąg dalszy przeniesie się do sądów. Oczywiście lobby finansowo-nieruchomościowe robi wszystko, żeby zdyskredytować ruch, padają klasyczne oskarżenia o komunizm. Jeśli zaś spojrzeć na sondaże, to poparcie dla nas waha się w okolicach 50%.

Jednym z argumentów przeciwników jest suma odszkodowania. Oraz że te pieniądze można by wydać lepiej.

– Trzeba pamiętać, że odszkodowanie będzie też decyzją polityczną. Rozpiętość kwoty z prawnego punktu widzenia rozciąga się od symbolicznego jednego euro po pełną wartość rynkową uszczuploną o jedno euro. Jedno euro może się wydawać ▶

► nierealistyczne, ale podczas prywatyzacji Niemiec Wschodnich mieliśmy do czynienia z precedensami transakcji za jedną markę, warto o tym pamiętać.

Robiono różne kalkulacje, zależne oczywiście od zajmowanej pozycji. Z prawnego punktu widzenia odszkodowanie oblicza się, ważąc interes wywłaszczanego – czyli w tym przypadku korporacji – oraz interes ogółu. Interes wywłaszczanego łatwo określić i będzie on dążył do maksymalizacji sumy odszkodowania, tak aby była w okolicach wartości rynkowej.

Jak zatem zdefiniować i zważyć interes ogółu?

– Jest to pytanie politycznie otwarte. My definiujemy interes ogółu w ten sposób: wartość odszkodowania powinna być możliwa do sfinansowania z kredytów spłacalnych czynszami, o wysokości nieprzekraczającej 30% dochodów gospodarstw domowych.

Kredyty nie zrujniają miasta?

– Takie pytanie to ideologiczny argument bez podstawy materialnej.

Mieszkania przynoszą dochód. Przecież dlatego w końcu te spółki je posiadają. Nawet jeśli czynsze zostaną obniżone, nadal będą go przynosić. W sposób stabilny, co miesiąc. W związku z tym, nieważne jaka byłaby kwota odszkodowania, można ją spłacić z długoterminowego kredytu. To normalna praktyka w przypadku innych inwestycji.

Co więcej, po spłaceniu kredytów, z dochodu z czynszów można finansować budowę nowych mieszkań. To jest kolejny ideologiczny argument używany przeciwko nam: że nie będzie już budowy nowych mieszkań. Jednak jeśli spojrzymy, kto historycznie więcej budował, czy miejskie spółki mieszkaniowe, czy prywatne korporacje, to absolutnie nie ma porównania. W Berlinie budowało się zawsze najwięcej w okresach, kiedy były regulowane czynsze, i najwięcej budowali aktorzy publiczni. Dziś wydaje się nam, że w ostatnich latach mieliśmy do czynienia z bumem mieszkaniowym. Ale to nic w porównaniu ze skalą budownictwa z publicznych pieniędzy, np. w latach 20.

XX w. To mīt, że rynek prywatny buduje dużo mieszkań.

Można zatem powiedzieć, że już dziś referendum służy poszerzaniu granic wyobraźni?

– Tak i widać to zarówno w Niemczech, jak i poza granicami kraju. Niezależnie od tego, czy referendum wygramy, ono już poszerzyło pole dyskusji. Rzeczy, które wydawały się radykalne, nagle okazały się umiarkowanym centrum, tylko dlatego, że realna opcja wywłaszczenie-uspołecznienie pojawiła się w grze.

Referendum jest niezwykle istotne nie tylko dla Berlina czy Niemiec, ale również dla świata. Dzieje się bowiem w jednym z centrów globalnego kapitalizmu. Gdyby udało się odnieść sukces w głosowaniu, byłby to ogromny precedens. Nie w tym sensie, że dokładnie to samo można w innym miejscu. Tutaj podstawą jest niemiecka ustawa zasadnicza. Ale sam fakt, że to w ogóle jest do pomyślenia, robi różnicę.

Roman Kurkiewicz
r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl



**12. Festiwal
Muzyki
Filmowej
Krzysztofa
Komedy**

26-28 września 2021
www.fmfkk.pl
**Studio Koncertowe PR
im. W. Lutosławskiego
Kino Atlantic**

Organizator: **JAZZ ART FUNDACJA**
Partnerzy: **Kultura** (Ministerstwo Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu), **MAZOWSZE** (Urząd Marszałkowski Województwa Mazowieckiego), **zł'KS** (Związek Literatów Polskich), **DAZZ** (Dziennik Artyści), **jazz forum**, **jazzPULSE**, **P** (Prymat), **Przebieg** (Przebieg)

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Wyciskarka do cytryn

Legnica nie została zniszczona przez wojnę, to po wojnie burzono stare kamieniczki, zastępując je w latach 70. blokami. Nie było gorszej architektury niż ta w latach 70. i 80., można ją tylko wyburzać z powodów estetycznych. Stare miasto legnickie jest więc stare w połowie, ładna jest promenada zwieńczona z dwóch stron starymi kościołami. Jest potężny zamek, ale niezintegrowany ze starym miastem, co za pole do popisu dla urbanistów. Lubię pić ładne fragmenty miasta razem z kawą, więc piję kawę, patrząc na katedrę. Czym byłyby polskie miasta bez kościołów? Wyobrażam je sobie całkiem dobrze bez religii, ale bez starych kościołów nie mieszczą się w głowie.

Jechałem do Legnicy z przesiadką, inaczej się nie da; nie znoszę przesiadek w Polsce, bo pociągi się spóźniają i jest stres. Wieczór w bibliotece, zabytkowy budynek, spotkanie wokół mojej książki „Dom pisarzy w czasach zarazy”, bardzo udane. I wszędzie to prerażenie polskiej inteligencji tym, co się dzieje – najazd barbarzyńców, wyłonił się z otchłani tego narodu jak demony.

•
Odchudzam się od dwóch tygodni i odnoszę wielkie sukcesy. Nie da się odchudzić bez poczucia misji, to musi być wojna. Spóźniłem się na śniadanie w hotelu, więc na kawę do pobliskiej pączkarni. Raj pączków, dziesiątki gatunków z różnymi nadzieniami, wszystko pachnie rozkosznie, wszystko się rumieni. A ja patrzę pączkom w oczy i nie odwracam wzroku, nie dam się skusić. Można odnieść sukces w odchudzaniu, jeśli heroiczna odmowa jedzenia sprawia taką przyjemność jak jedzenie.

•
Wracam znowu z przesiadką, teraz we Wrocławiu, i znowu pociąg spóźniony, ale słyszę komunikat, że ten z Krakowa do Berlina ma opóźnienie 120 minut, więc nie narzekam. We Wrocławiu mało czasu, by się przesiąść, nie wiem, z jakiego peronu odjeżdża pociąg. Okropny tłok na wrocławskim dworcu, bo piątek po południu, na tablicy nie ma mojego pociągu, informacji kolejowej nie ma na dworcu, a gdy tak się szamocę, wpadam na napis ze strzałką – kaplica. No tak, do kaplicy to u nas każdy trafi.

Złe zniósłbym tyle godzin podróży, gdyby nie Albert Speer, tak, to ten architekt Hitlera i minister zbrojeń, który z niezwykle talentem mnożył czołgi, armaty i samoloty, używając do tego milionów robotników przymusowych, też więźniów obozów koncentracyjnych, a przy okazji projektował wielkie budowle dla Rzeszy. Uniknął

w Norymberdze kary śmierci, dostał tylko 20 lat, odsiedział je co do roku. Miałem jego „Dzienniki ze Spandau”, pisane po kryjomu, bodaj na skrawkach papieru toaletowego. Niezwykle ciekawy dokument. Straciłem tę książkę. Gdy mi się jakaś bardzo podoba, to chcę się nią podzielić z innymi, pożyczam więc, a ludzie nie oddają. Tak straciłem wojenny tom dzienników Nałkowskiej, który tak uwielbiam. Dzienników Speera nie ma od dawna w księgarniach, a w antykwariatach są wariackie ceny. Chciałem sobie teraz tę książkę przypomnieć. Nie ma tego złego... w zastępstwie pożyczyłem wspomnienia Speera, nie wiedziałem, że istnieją, gruby tom, też fascynująca lektura. Speer jest inteligentny, wrażliwy, a nawet ma empatię. Można powiedzieć, że był dobrym i wrażliwym zbrodniarzem. To jeden z najbliższych ludzi Hitlera, nie przyjaciel, Hitler, może oprócz Ewy Braun, nie miał przyjaciół. Książka pulsuje od niezwykłych faktów, opisów wydarzeń

i osób, ciekawe są portrety Hitlera w różnych okresach jego życia, a był z nim Speer związany już w połowie lat 30.

Najciekawsze oczywiście są ostatnie miesiące i dni Hitlera. Speer odwiedza go tuż przed samobójstwem w ber-

lińskim bunkrze. Próbuje zrozumieć nie tylko innych, ale przede wszystkim siebie. Jak mógł dać się zaczarować Hitlerowi? Dopiero pod koniec wojny zorientował się, że Hitler jest pusty w środku, jest martwy. Dlatego nie ma prawie ludzkich uczuć. Prawie? Rozmawiałem przed laty z Alanem Bullockiem, słynnym biografem Hitlera i Stalina, na moje naiwne pytanie, kto z nich był gorszym potworem, zawahał się powiedzieć, że wedle miar piekielnych chyba jednak Stalin. Niezwykła scena opisana przez Speera, gdy Ribbentrop wrócił z drugiej konferencji moskiewskiej, gdzie przypieczętowano, jak pisze Speer, czwarty rozbiór Polski: „Minister opowiadał Hitlerowi, że jeszcze nigdy nie czuł się tak dobrze jak pomiędzy współpracownikami Stalina. »Jak gdybym był wśród naszych starych towarzyszy partyjnych, *mein Führer!*«. Mówił to z wielkim entuzjazmem, on, zwykle opanowany”.

•
Beatyfikacja Stefana Wyszyńskiego, zgromadzone relikwie, a też cuda, jako niewierzący widzę to jako czyście barbarzyństwo i kpinę ze zdrowego rozsądku. A nad wszystkim stoi okrzykiem Świątynia Opatrzności Bożej, betonowa wyciskarka do cytryn. Symbol polskiego współczesnego Kościoła.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

Chrystian Ślusarczyk

Żaden inny kraj na świecie nie przyjął takiej liczby imigrantów jak Turcja. Szacuje się, że w ciągu pięciu-sześciu lat zgodziła się na przyjęcie ok. 5 mln osób. Zdecydowanie największy odsetek to uciekinierzy z sąsiedniej Syrii. W różnych miejscach Turcji tymczasowe schronienie znalazło 3,7 mln Syryjczyków. Choć Zachód „zasilił” Ankarę kwotą 6 mld euro, by zatrzymała uchodźców u siebie, ta coraz głośniej wyraża niezadowolone. Uważa, że pieniądze nie są przekazywane bezpośrednio rządowi tureckiemu. Skarży się też na brak liberalizacji reżimu wizowego dla obywateli Turcji w strefie Schengen.

Turecki minister spraw zagranicznych Mevlüt Çavuşoğlu dał ostatnio jasno do zrozumienia, że Turcja nie może przyjąć większej liczby imigrantów. „To Europa musi wyciągnąć wnioski z tego, co działo się w roku 2015, i nie dopuścić do kryzysu”, mówił Çavuşoğlu. Dodął, że jego kraj wywiązał się już z podjętych zobowiązań, a rozwiązanie problemu afgańskich imigrantów pozostawia Zachodowi. Prezydent Erdoğan oświadczył z kolei, że Turcja „nie jest krajem bez charakteru i nie pozostanie obojętna na tych, którzy pukają do jej drzwi”. Podkreślił jednak, że w kwestii tureckiej polityki migracyjnej świat musi się liczyć ze znaczącymi zmianami: „Nie jesteśmy »magazynem dla imigrantów«. Nie możemy ich przyjmować w nieskończoność”.

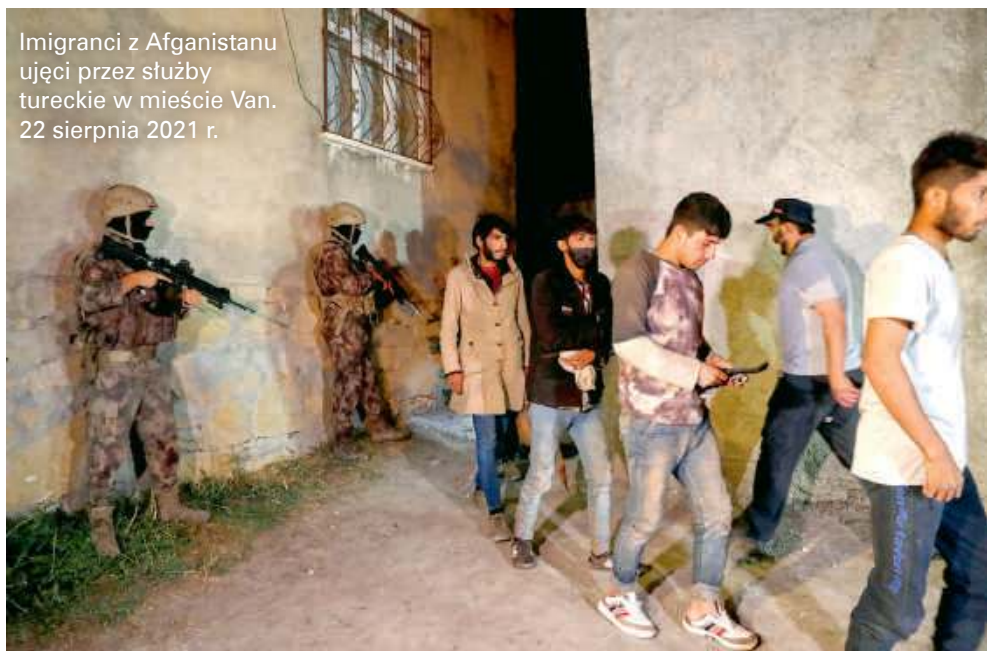
Cierpliwość się kończy

Według statystyk ONZ w roku 2020 o azyl w Turcji ubiegało się 125 tys. Afgańczyków. Jednak badania wiarygodnych tureckich instytucji wskazują, że liczba ta zbliżona jest do pół miliona!

W ostatnich tygodniach – jak pokazują kamery dronów – granicę turecko-irańską przekracza ok. 1 tys. Afgańczyków dziennie. Ankara robi, co może, by zatrzymać tę niekontrolowaną ludzką rzekę. Na polecenie Erdoğan powstaje 300-kilometrowy płot. Ale czy nie jest już za późno?

O tym, że administracja wschodnich prowincji coraz niechętniej patrzy na obcych, świadczy sytuacja w Antiochii. To pierwsze tureckie

Imigranci z Afganistanu ujęci przez służby tureckie w mieście Van. 22 sierpnia 2021 r.



Koniec z „magazynem dla migrantów”

Czy Turcja ugnie się pod naporem ze wschodu?

miasto, w którym po przekroczeniu granicy legitymowani są Syryjczycy, Irakijczycy, a ostatnio także Afgańczycy. Obywatele tych państw są odsyłani z powrotem do ojczyzn bez podania powodów i dostają pięcioletni zakaz wjazdu do Turcji.

Ci, którym jednak udaje się przedostać w głąb kraju, podejmują się każdego zajęcia, nie bacząc na mizerne wynagrodzenie. Z tego powodu Turcy z przygranicznych rejonów mają duże trudności w znalezieniu pracy, a jeżeli już ją znajdują, to płaca jest kilkakrotnie niższa niż w regionach centralnych. „Mamy coraz większy problem z wyżywieniem naszych rodzin – żali się Selami Kiye, właściciel sklepu z Wan. – To wszystko przez imigrantów. Powinni stąd zniknąć, nie obchodzi mnie gdzie”.

Jak wynika z sondażu agencji Aksoy, aż 85% Turków wyraża głębokie zaniepokojenie obecnością Afgańczyków w ich kraju. „Te negatywne emocje odczuwamy coraz wyraźniej. Obojętnie, czy jedziemy autobusem, czy idziemy na spacer, ludzie

wskazują nas, mówiąc: »Afgańczycy już tu są!«, niepokoi się Habib Uzbek, afgański handlowiec ze stambulskiej dzielnicy Zeytinburnu.

Altındağ – małe Aleppo czy nowy Kabul?

Mając w pamięci doświadczenia syryjskie, Ankara ma prawo obawiać się uciekających na zachód Afgańczyków. Wielu imigrantów, głównie z Syrii, choć nie tylko, po wielomiesięcznej tułaczce po Turcji dociera do stolicy. Rozwijająca się gospodarczo, rosnąca jak na drożdżach wielomilionowa Ankara dla imigrantów staje się drugim domem, choć początkowo miała być jedynie „przystankiem w drodze do lepszego świata”. Dziś to ona jest tym lepszym światem.

Syryjczycy opanowali ankarški handel. Bazarowe sklepiki i kramy w wielu dzielnicach przeszły już w ręce imigrantów z Syrii. Leżąca na północy stolicy dzielnica Altındağ zamieszkała jest dziś niemal wyłącznie przez Syryjczyków. Powoduje to

ciągłe napięcia. Co prawda, mieszkańcy Ankary próbuje się przekonać, że imigranci podobnie jak oni są wyznawcami islamu, a reżim Asada zmusił ich do szukania nowego miejsca na ziemi, ale taka argumentacja kompletnie do ankarczyków nie trafia. A ciągłe nawiązywanie do tej samej wiary wywołuje reakcje dalekie od zrozumienia. Szczególnie że społeczeństwo stolicy – podobnie jak Stambułu czy Izmiru – błyskawicznie się laicyzuje.

Mieszkańcy tureckich metropolii, coraz bardziej przypominających zachodnioeuropejskie, obawiają się, że miejsce Syryjczyków wkrótce zajmą Afgańczycy. Od kilku tygodni najmodniejszym słowem stała się w Ankarze deportacja. W tej chwili w Turcji znajduje się 25 ośrodków deportacyjnych. Największy w szybko rozwijającym się Wan na wschodzie. Wszystkie są tak przepełnione, głównie Afgańczykami, że władze w Ankarze planują zbudowanie ośmiu nowych.

Na początku września Turcja zaprosiła zagranicznych dziennikarzy, by zapoznali się z warunkami panującymi w ośrodkach dla imigrantów. Amerykańscy korespondenci donosili o świetnie przygotowanych, pełnych zabawek salach dla dzieci i klasach, w których młodzi Afgańczycy będą mogli uczyć się tureckiego.

Nowe stare łęki południa Europy

Jasnym sygnałem dla Erdoğan, że będzie musiał się liczyć z antyimigranckim niezadowoleniem zarówno swojego elektoratu, jak i skrajnej prawicy oraz lewicy, były wydarzenia z połowy sierpnia. Wiadomość o zastrzykaniu młodego Turka przez syryjskich imigrantów wywołała falę protestów. Tysiące mieszkańców Ankary skierowało się do „małego Aleppo”. Gniew wyładowali na wszystkim, co napotkali na drodze. Zamiast po płytach chodnikowych chodziło się w Altındağ po szkle z witryn sklepów (często należących do Turków!). Palono samochody, dewastowano miejską infrastrukturę. W efekcie trwających całą dobę zamieszek do szpitala w stanie ciężkim trafił syryjski chłopak, a kilku jego rodaków zostało rannych. Ucierpieli też Turcy – mieszkańcy innych dzielnic oraz znajomi zabitego. Policja zatrzymała

66 osób. W kolejnych dniach Syryjczycy z Altındağ, bojąc się odwetu, nie mieli odwagi wyjść z domów.

Sytuacja Syryjczyków w Turcji pogarsza się z dnia na dzień. Prezydent Erdoğan jest zdania, że ci, którzy nauczyli się tureckiego i przystosowali do życia w kraju, do którego dotarli, pozostaną. Inni będą musieli wrócić do Syrii, gdy tam poprawi się sytuacja. Dodaje, że ok. 450 tys. Syryjczyków już powróciło do ojczyzny.

W ostatnich tygodniach granicę turecko-irańską przekracza ok. 1 tys. Afgańczyków dziennie.

Najbliższe tygodnie pokażą, na ile obliczalne w kontekście afgańskiego zagrożenia są dalsze poczynania Ankary. Wkrótce dowiemy się, czy pojawią się ze strony Zachodu nowe zachęty do przyjmowania Afgańczyków. Lider kemalistowskiej partii CHP, Kemal Kiliçdaroğlu oznajmił bez ogródek, że oczekuje, iż Zachód zaproponuje zawarcie kolejnej umowy z Turcją w zamian za gotówkę. Umowy podobnej do porozumienia Turcja-Unia Europejska z 2016 r. Ale bez względu na to, co zrobi Zachód, Turcja i tak może się ugiąć pod naporem zdesperowanych, uciekających przed talibami

Afgańczyków przekraczających nie do końca kontrolowaną wschodnią granicę z Iranem. A próbujący przejechać się z Turcji *via* Bułgaria, Grecja czy drogą morską uchodźcy mogą wywołać poważny kryzys migracyjny.

Za nową, „uspokajającą” Turków ofertą Zachodu dla Ankary opowiedzą się najprawdopodobniej Włosi. Tamtejsze media od pewnego czasu donoszą o lękach mieszkańców regionu Apulia – najbardziej wysuniętej w stronę Bałkanów i Turcji części włoskiego buta.

Grecy, którzy szczytą się nowym ogrodzeniem na lądowej granicy z Turcją, też spodziewają się przybyszów z Afganistanu. W portach zachodniej Turcji za 5 tys. dol. można się dostać na statek płynący do Grecji. Za mniejsze kwoty Afgańczycy załatwiają sobie przedostanie się do Unii Europejskiej graniczną rzeką Evros.

Bruksela wierzy w skuteczność pomocy na miejscu, mając nadzieję zapobiec katastrofie humanitarnej u siebie. Unijni politycy wciąż liczą, że obietnicami finansowymi będą mogli wpływać na nowe władze Afganistanu. Z kolei ONZ podkreśla, że „trzeba utrzymać dialog z nowym rządem talibów”. Wszyscy zgodnie twierdzą, że nie można dopuścić do powtórki z roku 2015. Ale jak tego dokonać – na to pytanie wciąż nie ma jasnej odpowiedzi. ■



Komuś kto ma niewiele, ale tak naprawdę niewiele – wydawałoby się, że już nic nie można zabrać. Jednak Mania i jej córeczka Muszka patrzą dziś w obiektyw i błagają Cię, abys powstrzymał świat. Bo świat chce je ograbić z jedynego co im zostało. Z ich życia. Nie opowiem Ci ich historii. Bo jej nie znam. Opowiem Ci finał. Bo ten jest jak tysiące finałów. Minie kilka dni i Mania wdrapie się po trawie jakiejś ciężarówce albo wrzuci ją na żuka. Za nią posłusznie, na swoich krótkich jeszcze nóżkach, podrepcze Muszka. Bo dziecko zawsze tam, gdzie mama.

Nikt o nich nie usłyszy. Nikomu nie będzie żal. Nikt się nie sprzeciwi, że świat je zabiera w ostatnią podróż. Bo wszyscy ten świat tworzymy. Świat nierównych szans.

Bo człowiek dostał te Planety, aby nią mądrze zarządzać. Ale pomylił zarządzanie z eksploatacją. I zamiast dbać i traktować z szacunkiem – zwyczajnie bierze co chce. Bierze, bo może. A konsekwencje dosięgną kolejnych pokoleń.

Wszyscy mamy dzieci. Ale jakoś te ludzkie – wedle naszego mniemania – zasługują na dużo więcej, niż wszelkie inne. Muszka jest przecież dzieckiem, ale dzieckiem innego gatunku. To sprawia, że jej śmierć nikogo nie bulwersuje. A świat odprowadził ją pod drzwi rzeźni niewzruszony i wrócił do swoich spraw. Matka zaś nie może nic. Może tylko patrzeć i cierpieć z bezsilności. I modlić się, aby ją pierwszą ubito. Bo matki, żadnego gatunku, nie powinny patrzeć na śmierć swoich dzieci.

Muszka patrzy w obiektyw i przewraca oczami. Mania stoi dumnie i spokojnie, próbując ukryć przerażenie w swoich wielkich, ciemnych oczach. Jakby to miało coś zmienić i odwrócić koleje losu.

Musimy zebrać 5600 zł, aby wykupić Manię i małą Muszkę przed ubojnią. Czas upłynie 10 października. Pomożesz?

Jeśli chcesz i możesz pomóc, prosimy dokonać darowizny z tytułem MANIA na konto 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350.

Możesz też pomóc wysyłając SMS o treści **MANIA** na numer **7412** (koszt SMS 4,92 zł z VAT), **7910** (koszt SMS 11,07 zł z VAT) lub **91950** (koszt SMS 23,37 zł z VAT) i kupić tapetę.

ul. Walbrzyska 6-8, 52-314 Wrocław
tel. 518 569 487, tel. 518 569 488

Akcja prowadzona w ramach Kampanii Kochej Mądrze
Regulamin: <http://content.us.org.pl/nkm>

Szczepionkowy sukces w Hiszpanii

Wysoki odsetek zaszczepionych uzyskano bez szczególnej zachęty. Nie ma tu żadnych przepustek, losowania nagród ani nakazów rządowych

Tomasz Skowronek

Fernando Vizcaíno zdecydował, że przestaje „wychodzić na ulicę” i angażować się w organizowanie marszów. Był sfrustrowany małą frekwencją. Ten nauczyciel jogi jest jednym z najbardziej znanych koronaseptyków w Hiszpanii. Samą pandemię uważa za przekręt, twierdzi, że szczepienia nie chronią, testy PCR „niczego nie wykrywają”, a za wszystkim stoi Bill Gates, który „pociąga za sznurki”.

Vizcaíno do tej pory zorganizował protesty w kilku miastach i opublikował filmy na swoim kanale na YouTube (obecnie zamkniętym przez platformę) oraz artykuły na blogu. Bez większego sukcesu.

W Hiszpanii ruchy antyszczepionkowe nie są zbyt popularne ani liczne.

„Zdałem sobie sprawę, że moje protesty nie mają sensu, ponieważ tutaj ludzie nie podzielają mojej opinii na temat pandemii”, ubolewa w rozmowie z katalońskim dziennikiem „El Periódico”.

Największa mobilizacja na apel Vizcaína miała miejsce na Plaza de Colón w Madrycie w sierpniu 2020 r. Według policji zgromadziło się tam ok. 2,5 tys. osób. „Ale to nie był sukces – przyznaje Vizcaíno. – Powinniśmy mieć 100 tys. To byłoby

zgromadzenie. Prawdziwym sukcesem jest to, co się dzieje we Francji. Tam ludzie naprawdę wychodzą na ulice. Tutaj nie”. Na koniec dodaje: „W Hiszpanii nie ma masy krytycznej”.

I na szczęście koronaseptyk ma rację. W Hiszpanii ruchy antyszczepionkowe nie są zbyt popularne ani liczne. Dodatkowo kraj ten może się pochwalić jednym z najwyższych wskaźników szczepień w Unii Europejskiej. W pełni zaszczepił prawie 75% ogólnej liczby 47 mln mieszkańców, wyprzedzając Włochy – z wynikiem 63%, a także Francję i Niemcy – 62% (dane z 13 września według Our World in Data).

„W porównaniu z pozostałymi czterema najbardziej zaludnionymi krajami w UE Hiszpania zajmuje pierwsze miejsce we wszystkich wskaźnikach, co również plasuje nas na pierwszym miejscu wśród krajów G20 zarówno pod względem szczepień pierwszej dawki, jak i pełnych”, chwali się hiszpańskie Ministerstwo Zdrowia. Należy wspomnieć, że Hiszpanii udało się uzyskać taki procent szczepień bez szczególnej zachęty – nie ma tutaj żadnych przepustek, losowania nagród ani nakazów rządowych. Jakże są więc powody udanej kampanii przeciw COVID-19?



„Antyszczepionkowcy są u nas marginalnym zjawiskiem, mamy więcej zdrowego rozsądku niż inne kraje”, powiedział dziennikowi „El Mundo” dr Jaime Jesús Pérez, członek Hiszpańskiego Stowarzyszenia Szczepień.

Strategia polegała na podziale populacji na grupy zawodowe i wiekowe, z ustaleniem dla każdej z nich kalendarza. Ścisły priorytet nadano szczepieniu medyków i osób najstarszych. Myślenie stojące za tym planem było takie samo jak w przypadku innych państw europejskich – najpierw należy chronić najsłabszych.

„W styczniu, po zatwierdzeniu pierwszych dwóch szczepionek w Wielkiej Brytanii, pomyśleliśmy, że nasza sytuacja jest w rzeczywistości bardzo zła – powiedział w Euronews klinicysta Vicente Soriano. – Wszyscy zdawali sobie sprawę z katastrofy w domach opieki, w których zmarło wiele osób. Wtedy to, co wydarzyło się później, było

zdecydowaną reakcją rządu i wspólnot autonomicznych”.

Soriano dodał, że Hiszpania i Włochy znalazły się wśród krajów UE najbardziej dotkniętych pierwszą falą pandemii, co doprowadziło do „nadmiernej reakcji” na szczepienia wśród ludności. „W lutym wszystko się zmieniło i wszyscy pracownicy służby zdrowia zostali zaszczepieni w mniej niż dwa miesiące”, podkreślił dr Soriano, powołując się również na sukces kampanii szczepień wśród policji i pracowników socjalnych. Potem w ich ślady poszły domy opieki. „Prawie wszyscy starsi ludzie, ponad 95%, zostali zaszczepieni”, kontynuował klinicysta. Wśród osób starszych akcja odnosi wielki sukces. Na ten moment zaszczepionych jest 100% osób powyżej 80. roku życia, 98% w przedziale 70-79 lat, 93% w wieku 60-69 lat, a 89% w wieku 50-59 lat. W grupie 40-49-lat 80%. Jedynie wśród najmłodszych liczby są mniejsze: 56% w przedziale 30-39-lat i 31% w grupie 20-29-lat.

W całym kraju powstały ogromne ośrodki szczepień. Na przykład w stolicy szczepienia przeprowadzono na stadionie piłkarskim Atlético de Madrid, aktualnych mistrzów Hiszpanii. Każdego dnia podawano tu ok. 5 tys. dawek. Przed stadionem, a także przed innymi stacjami szczepień ustawiały się długie kolejki. Bywało, że w stołecznym punkcie szczepienia przeprowadzano nawet w nocy.

Jak zauważa europejska prasa, solidarność międzypokoleniowa i twardy lockdown mogą stanowić kolejne kluczowe czynniki w przezwyciężeniu

Solidarność międzypokoleniowa i twardy lockdown mogą przezwyciężyć sceptycyzm wobec szczepionek.

sceptycyzmu wobec szczepionek. Trzy czwarte ankietowanych w badaniu OCU (Organización de Consumidores y Usuarios – Organizacja Konsumentów i Użytkowników) potwierdza, że „szczepienie jest ważne, aby chronić innych”. Jak informuje EFEsalud, portal specjalizujący się w tematyce medycznej, aż jedna trzecia Hiszpanów w różnych ankietach podaje, że bardzo ucierpiała psychicznie z powodu pandemii.

Szkody miały także wymiar ekonomiczny w kraju, który właśnie wychodził ze strasznego kryzysu z 2008 r. Obowiązujący w większości państw model turystyki pokazał swoje ograniczenia. Produkt krajowy brutto spadł w 2020 r. o 11 pkt, a stopa bezrobocia wzrosła z 13,78% na koniec 2019 r. do 16,13% rok później. Jedna czwarta Hiszpanów twierdzi, że „bardzo ucierpiała” ekonomicznie z powodu COVID-19.

Prawie 75% ogólnej liczby 47 mln mieszkańców kraju jest w pełni zaszczepionych.

Nie sposób nie wspomnieć również o zaufaniu Hiszpanów do szczepionek. Według badania przeprowadzonego przez Imperial College London w czerwcu 79% ludzi w Hiszpanii ufa szczepionkom przeciw SARS-CoV-2, w porównaniu z 62% w USA i 56% we Francji.

Prezes hiszpańskiego stowarzyszenia wakcynologii Amós García powołuje się na pewną kulturę szczepienia się na Półwyspie Iberyjskim. Wskaźniki szczepień przeciw kilku chorobom, takim jak grypa czy odra, są tu wyższe niż w innych krajach europejskich. Szczepionki i publiczny system opieki zdrowotnej są też kojarzone z postępem i nowoczesnością w kraju, który cierpiał z powodu różnych opóźnień pod rządami dyktatury gen. Franco.

Specjaliści przytaczają zwłaszcza jeden historyczny epizod, aby zilustrować tę sytuację: uraz pozostawiony przez epidemię polio. Szczepienia nie rozpoczęły się w tym kraju na początku lat 50. jak w innych miejscach, ale około dekady później. Miało to poważne

konsekwencje dla dzieci urodzonych w tym czasie. Ulga związana z nadejściem szczepionki była tak wielka, że nawet dzisiaj działa jako hamulec dla ruchu antyszczepionkowego.

„Wszystkie ruchy antyszczepionkowe w Europie i Stanach Zjednoczonych zaczęły być modne pod koniec lat 70., ale w Hiszpanii nie trafiły na podatny grunt, ponieważ właśnie dzięki szczepionce wyszliśmy z epidemii polio”, wyjaśnia w „El País”

dr Alberto Infante, emerytowany profesor zdrowia międzynarodowego w Instytucie Zdrowia Carlosa III.

Pomimo dotychczasowych dobrych wyników w zakresie szczepień Hiszpania nie chce i nie może jeszcze spocząć na laurach. Pojawienie się nowych wariantów wirusa i nawrót epidemii skłaniają rząd do stwierdzenia, że 70% zaszczepionych nie będzie punktem docelowym. Władze zawarły już umowy z koncernami Pfizer i Moderna na dwuletnie dostawy ich preparatów. Planowane jest również podawanie trzeciej dawki szczepionki.

Premier Pedro Sánchez ogłosił 2 września najnowszy cel obrany podczas wizyty w środkowo-wschodniej prowincji Guadaluja, gdzie mówił o „zbiorowym sukcesie” kraju podczas akcji szczepień. „Sukces kampanii szczepień jest lekcją naszego najlepszego patriotyzmu – podkreślił i dodał: – Zjednoczeni odpowiedzieliśmy na tę pandemię i zjednoczeni ją pokonamy”. „Gratulacje dla Hiszpanii, ponieważ osiągnęliśmy te 70%, a teraz idziemy po 90%, to jest nasz nowy cel na najbliższe miesiące”, powtórzył w domu opieki w Guadalajarze, gdzie 27 grudnia 2020 r. podano pierwszą w Hiszpanii szczepionkę przeciw COVID-19. ■

**Był „Kler”, jest „Ekler”.
Rozmowa z twórcami serialu
w najnowszym numerze
tygodnika „NIE”.**



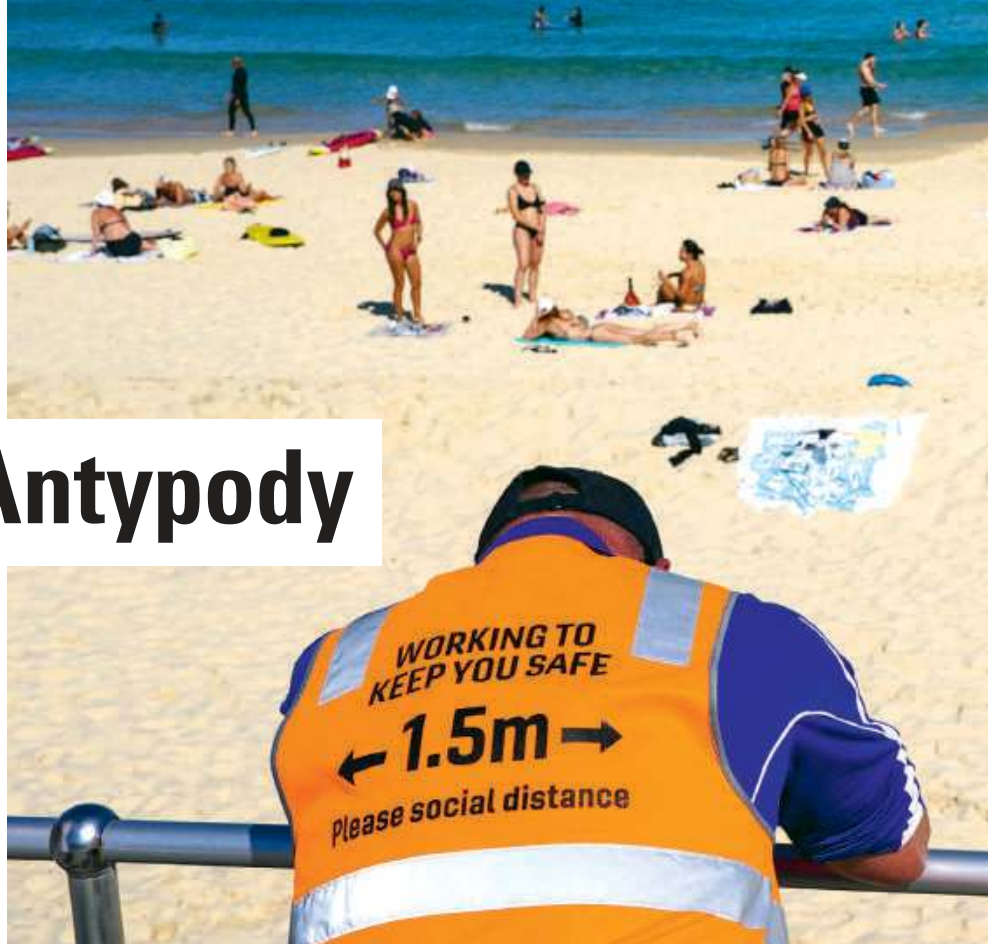
Tysiącom obywateli
Nowej Zelandii
i Australii pandemia
wciąż uniemożliwia
powrót do domu

Twierdza Antypody

Mateusz Mazzini

Przez długie miesiące poprzedniego roku liderzy wielu krajów patrzyli w tym kierunku z podziwem. Rządy w Wellington i Canberze uznawane były za wzory do naśladowania pod względem zarządzania kryzysem pandemicznym. Postępowanie nowozelandzkiej premier Jacindy Ardern wskazywano jako modelowy format przywództwa w czasach zarazy. Chwalono ją za zdecydowaną i konsekwentną strategię, częstą i płynną komunikację z obywatelami oraz wyjątkową w zawodowej polityce zdolność uspokajania nastrojów społecznych i unikania podsycania paniki. Sąsiadów z Australii doceniano z kolei za szybkość reakcji, zdecydowanie we wprowadzaniu izolacji niemal natychmiast po wykryciu ognisk zachorowań na covid i za wysiłki dyplomatyczne wywierające presję na Chiny, by wpuścić do siebie śledczych WHO badających źródła pandemii. W pewnym momencie oba kraje ogłosiły się nawet strefami wolnymi od koronawirusa, i to wtedy, gdy reszta świata nie była w stanie powstrzymać kolejnych fal zachorowań paraliżujących życie społeczne. Długo wydawało się więc, przynajmniej z europejskiej czy amerykańskiej perspektywy, że w kwestii polityki pandemicznej liderzy na antypodach nie mogą mieć sobie nic do zarzucenia.

O ile świat patrzył z zachwytem, o tyle zdanie obywateli było już często odmienne. W miarę zrozumiałą postawą było kontestowanie kolejnych lockdownów, ogłaszanych niekiedy z powodu nawet pojedynczych pozytywnych wyników,



a zamykających w domach całe wielkie ośrodki miejskie. Z kolei obce Europejczykom czy Amerykanom było uczucie, które zwłaszcza w Australii szybko stało się główną osią sporu na linii obywatele-rząd. Przymusowa izolacja była uciążliwa, ale dla wielu wcale nie najgorsza. Zwłaszcza dla tych, którzy może nawet chcieliby dać się zamknąć w domach czy mieszkaniach, gdyby tylko mieli szansę... do nich wrócić.

Według oficjalnych szacunków australijskiego rządu federalnego uwięzionych poza granicami kraju pozostaje od wybuchu pandemii 43 tys. obywateli. Ta liczba nie oddaje jednak pełnej skali zjawiska, bo wielu Australijczyków, nawet jeśli o powrocie myśli, to chęci tej nigdzie nie zgłasza, czekając na uspokojenie się sytuacji pandemicznej, a przede wszystkim na złagodzenie polityki dotyczącej podróży międzynarodowych. Nowozelandczyków, którzy cały czas przebywają za granicą, jest znacznie mniej, ale i tutaj nie obyło się bez zgrzytów, bo rząd z wysłaniem po nich samolotów ratunkowych najpierw zwlekał, a potem został skrytykowany, że za te loty przepłacił. Problemy z powrotami do domu wynikają oczywiście z cały

czas zamkniętych, chronionych granic. To izolacjonistyczne podejście w dużej mierze uratowało oba kraje w 2020 r. przed pandemiczną katastrofą, która stała się udziałem wielu innych państw. Przy okazji jednak wypchnęło poza margines umowy społecznej tysiące obywateli, wobec których ich własne władze zachowują się, jakby po prostu o nich zapomniały. Krótko mówiąc, uwięzieni za granicą Australijczycy i niektórzy Nowozelandczycy są ofiarami sukcesu polityki „Twierdzy Antypody”.

Na czym właściwie polega ich problem? Teoretycznie granice pozostają otwarte dla obywateli, mogą więc kupić bilet na najbliższy samolot, wsiąść na pokład i po kilkunastu godzinach pojawić się w domu. W dodatku teraz, półtora roku po wybuchu pandemii, wydaje się, że międzynarodowe połączenia lotnicze wróciły przynajmniej częściowo do normy i ze znalezieniem połączenia też nie powinno być specjalnego problemu. Rzeczywistość jest jednak znacznie bardziej złożona i szybko udowadnia, że większość powyższych stwierdzeń wciąż daleko do prawdy.

Wspomniane 43 tys. obywateli Australii z technicznego punktu widzenia może i byłoby w stanie wrócić



Pilnowanie dystansu społecznego na Bondi Beach w Sydney, 1 września 2021 r.

do kraju, ale w zdecydowanej większości przypadków ich na to nie stać. Jeśli bowiem zdecydują się na lot powrotny, muszą przejść obowiązkową kwarantannę po przekroczeniu granicy. Odbyna się ona w hotelach, a koszty pobytu pokryć musi sam zainteresowany. W dodatku trwa 14 dni bez możliwości wcześniejszego zwolnienia dzięki negatywnym wynikom testów. Oznacza to np. dla rodziny z dwójką małych dzieci przymusowe

stanach, zwłaszcza w Nowej Południowej Walii na wschodnim wybrzeżu. Jednak wielu przeciwników rządowej polityki zadaje sobie pytanie, dlaczego władze nie podążają śladem chociażby brytyjskiego rządu, który, owszem, obowiązkową kwarantannę nakładał, ale do hoteli wysyłał w pewnym momencie już tylko obcokrajowców, w dodatku trzymani byli w nich tylko kilka dni i regularnie testowani.

Wbrew pozorom opłata za dwa tygodnie w hotelu nie jest wcale największym kosztem, jaki muszą ponieść chcący wrócić do domu Australijczycy. Wielokrotnie droższy może okazać się lot do domu, głównie z powodu braku miejsc. Oprócz obowiązkowej kwarantanny władze federalne ustanowiły limit osób, które w tygodniowych odstępach mogą przekroczyć australijską granicę – nawet jeśli są obywatelami kraju. Początkowo było to 6 tys. osób na siedem dni, jednak w sierpniu, z powodu wspomnianej już nowej fali zachorowań, liczbę tę okrojono o połowę. Tygodniowo więc na loty międzynarodowe do Australii sprzedaje się tylko 3 tys. miejsc na całym świecie. Premier Scott Morrison tłumaczy, że wszystko to robi dla bezpieczeństwa sanitarnego, i obiecuje, że poprzedni limit wróci, gdy sytuacja zostanie opanowana. A dokładniej – kiedy odsetek dorosłych Australijczyków w pełni zaszczepionych na koronawirusa zacznie się zbliżać do 70-80%. Biorąc pod uwagę fakt, że w tej chwili pełną

grupą, mającą w tej chwili 17 tys. członków. Zdecydowanie najciekawszym poruszonym przez nich wątkiem jest obecna logistyka dostępnych lotów. Jedni opowiadają o cenach (nawet 90 tys. zł za lot z Europy do Perth), drudzy o harmonogramach („Chciałam lecieć do domu na Boże Narodzenie, najbliższy dostępny termin to marzec 2022 r.”), inni dzielą się problemami związanymi z niemożnością powrotu, często stawiającymi pod znakiem zapytania całą ich przyszłość („Moja amerykańska wiza kończy się za trzy tygodnie, nasza ambasada rozkłada ręce”). Najwięcej osób łączy krytyka rządu Morrisona, którego obwinia się o uwięzienie Australijczyków za granicą. Zwłaszcza w świetle faktu, że na repatriację swoich obywateli – właśnie z Australii – zdecydowali się sąsiedzi z Nowej Zelandii.

Jacinda Ardern uruchomiła połączenia lotnicze z Nowej Południowej Walii do Nowej Zelandii niemal natychmiast po ogłoszeniu lockdownu u zachodnich sąsiadów. I choć wydawało się, że ruch ten może jeszcze zwiększyć jej popularność, spadła na nią fala krytyki. Głównie z powodu zwolnienia „australijskich” Nowozelandczyków z tzw. MIQ, obowiązkowej krajowej kwarantanny. Nowa Zelandia utrzymuje podobny do australijskiego system przymusowych izolacji hotelowych na 14 dni po powrocie do kraju, również na koszt podróżującego. Przywiezionych z Nowej Południowej Walii obywateli z niej zwolniono (choć za loty musieli zapłacić sami), bo, jak argumentowała Ardern, sytuacja pandemiczna w Australii stała się na tyle groźna, że wymagała rządowej reakcji, a pasażerowie mieli prawo oczekiwać, że za kwarantannę nie zapłacą, bo jeszcze do połowy czerwca między oboma krajami istniała bańka transportowa, pozwalająca uniknąć izolacji po powrocie. Dla niej decyzja ta była uczciwa, dla pozostałych Nowozelandczyków, którzy utknęli za granicą – była gigantycznym przejawem niesprawiedliwości. I dowodem na to, że o obywatelach, których na co dzień nie ma w kraju, łatwo zapomnieć. Nawet jeśli jest się jednym z najpopularniejszych liderów rządu na całym świecie.

Od wybuchu pandemii uwięzionych poza granicami Australii pozostaje co najmniej 43 tys. obywateli.

zamknięcie w pokoju hotelowym na dwa tygodnie, za co rachunek może wynosić nawet 10 tys. dol. australijskich, czyli nieco ponad 28 tys. zł.

Sama ta zasada jest mocno krytykowana, bo wydaje się drakońska, nawet w obliczu powrotu koronawirusa do Australii. Oczywiście zakażeń nie należy lekceważyć – i australijskie władze tego nie robią, a najlepszym dowodem na to są kolejne lockdowny. Jeszcze w sierpniu w przymusowej izolacji pozostawało ponad 60% populacji kraju, bo pandemia szerzyła się w najgęściej zaludnionych

odporność po przyjęciu preparatu ma tam trochę ponad 8,8 mln mieszkańców, czyli niecałe 35% dorosłej populacji, a sam premier publicznie mówi, że „program szczepień to nie wyścig” i nie zamierza podejmować żadnych specjalnych inicjatyw mających przyspieszyć kampanię, trudno się spodziewać, by loty do domu odblokowały się szybciej niż za dwa-trzy kwartały.

Australijczycy uwięzieni poza granicami kraju licytują się w internecie na swoje pandemiczne krzywdy. Na Facebooku powstała zrzeszająca ich

m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

Czas powiedzieć **NIE**

To, co dziś robi PiS, pozwala nam zrozumieć, jakim sposobem mogliśmy na 123 lata stracić niepodległość

Janusz Rolicki

Razi mnie medialna paplanina na temat wyjścia Polski z Unii. Pisowska niechęć do Unii nikogo nie powinna zaskakiwać, już w czasie rozmów akcesyjnych w 2004 r. Kaczyński w sprawie Unii grymasił. Uznawanie PiS za normalną partię polityczną jest zresztą błędem. Zaczniemy od tego, że statut tej partii jest pokraczny i nie powinien być zatwierdzony przez sąd. Uprawnienia prezesa w nim zawarte nie mają nic wspólnego z demokracją. W tej partii on wszystko może i każdy jej członek musi się godzić na poddaństwo wobec niego. Bierze się to ze strachu prezesa, że PiS, tak jak dawne Porozumienie Centrum, kiedyś go porzuci. Strach przed partią i generalnie przed ludźmi to jedno ze źródeł jego zachowań.

Wyklinana przez PiS Bruksela przekazała dotychczas Polsce netto 107 mld euro – ponad dwa razy więcej niż plan Marshalla.

Ten strach jest widoczny w jego oczach nawet na korytarzach sejmowych, gdy przeciska się z obstawą pomiędzy szarymi posłami. Stąd bierze się zaufanie do strachu jako takiego i straszenie ludzi nad Wisłą na różne sposoby jako stały element jego polityki.

Wracając zaś do Unii, to Kaczyński toleruje ją dopóty, dopóki jest dojną krową i funduje Polsce dobrobyt. Warto pamiętać, że wyklinana przez PiS Bruksela przekazała dotychczas Polsce netto 107 mld euro. To ponad dwa razy więcej, niż oferował nam plan Marshalla. A końca tych wpłat nie widać.

Ponieważ dla Kaczyńskiego i otaczających go pół- i ćwierćwózków zasady unijne są nie do pogodzenia z jego planami Polski autorytarnej, a nawet totalitarnej, szczucie na Brukselę i bredzenie o jej dyktaturze

stało się nieodłącznym elementem strategii i taktyki PiS. Kiepsko, kto to kupuje. Terleccy, Kowalscy, Ziobrowie i całe pisowskie zwierzchnictwo wysyłane przez wodza w charakterze zagończyków wieszczących nasze wyjście z Unii nie pojmują, że za swoją wiernopoddańczość zapłacą. Bo młodzi Polacy nigdy się nie zgodzą na wykluczenie z Schengen, zamknięcie granic, pozbawienie perspektyw pracy na Zachodzie, studiowania tam itd. itp. Dlatego poparcie dla Unii wynosi w Polsce aż 81% – najwięcej wśród państw unijnych. I dlatego Kaczyński, żoliborski dobrodziej, dopiero po wywołaniu burzy powiedział PAP, że nie będzie polexitu.

Po co więc napuszcza swoich tołumfackich na Unię, drażniąc tym i nas, i partnerów wspólnotowych? To, co robi, jest perfidnym testem,

walki z Unią. Jest nim koalicja pravicowych populistycznych partii europejskich, które wspólnie w zespół rzyją pod Unię, zabiegając o jej unicestwienie. Likwidacja obowiązującego w Europie systemu wartości będzie bowiem równoznaczna ze zniszczeniem Wspólnoty.

Kaczyński niestety nie rozumie, że Europa pounijnna będzie dla Polski zabójcza, że trudne w niej będzie zachowanie choćby tylko peerelowskiego erzacu naszej suwerenności. Głupich, jak się okazuje, jednak w Polsce nie sieją, sami się rodzą, aby nam szkodzić z uporem godnym lepszej sprawy. W końcu sposób utraty niepodległości przez I Rzeczpospolitą w 1795 r. nie ma sobie równych na kartach historii. Podobnego rozbioru państwa – wówczas drugiego pod względem obszaru – przeprowadzonego z bardzo dużym udziałem własnych elit, nasz kontynent nigdy uprzednio nie widział.

To, co dziś robi PiS, pozwala nam zrozumieć, jakim sposobem mogliśmy na 123 lata stracić niepodległość. Nie można sobie nie uświadamiać, że tak historyczne i jawne jak ostatnio ożywienie polityki antyunijnej PiS jest związane z zagrożeniami, które pojawiły się przed tą partią za sprawą wysypu afer gospodarczych. W zasadzie każdy dzień przynosi coraz to większe rewelacje. PiS co prawda wciąż dysponuje znacznym, bo 30-procentowym poparciem, ale ma ono tendencje malejące. Poparcie 40-procentowe, a nawet wyższe, to przeszłość. A oddanie władzy w aktualnej sytuacji musi oznaczać dla elit pisowskich zamianę luksusowych gabinetów na znacznie skromniejsze cele. Mówiąc wprost, po tak wielokrotnym łamaniu konstytucji i nader licznych aferach gospodarczych spokojne oddanie władzy przez Kaczyńskiego za rok czy dwa lata jest trudno wyobrażalne. Aby przed tym się uchronić,

który dzięki prowadzonym przez jego partię stałym i różnorodnym badaniom opinii publicznej pozwala mu oceniać z dnia na dzień, jak daleko jeszcze może się posunąć w tej destruktywnej grze. Dwa tygodnie temu uznał, że bredzenie o naszej zagrożonej suwerenności zniechęci do Unii krajową publikę. Uważał widać, że te majaczenia – zagrażające spójności samej Unii – zniechęcą Komisję Europejską do zabiegania o przestrzeganie u nas praw i wartości, na których opiera się cała konstrukcja Wspólnoty.

Pamiętamy, że alternatywą dla obecnej Europy jest Polska samotna. Niestety, Kaczyński już zapomniał – bądź nie wie – jaki był w ostatnich trzech stuleciach los Polski, gdy tylko byliśmy osamotnieni. Dodajmy, że z głupoty i niedouczta wynalazł ostatnio jeszcze jeden wytrych do



nie wystarczy PiS korzystna dla niego – o czym mówi się półgębkiem – zmiana ordynacji wyborczej. Niezbędne, jak się wydaje, będzie jeszcze sfalszowanie wyborów. W warunkach unijnych to jednak nie będzie możliwe. Co prawda, bandycie wyczyny Łukaszenki pokazują, że w naszej części Europy wszystko jest możliwe, ale z racji sankcji gospodarczych wymagają takie działania hartu ducha i determinacji. Kaczyński wprowadzie hart ma, ale czy z racji wieku sił mu starczy?

Sposób, w jaki dobrnęliśmy do dzisiejszego poziomu – mówiąc brutalnie – szamba w polskiej polityce, budzi zdumienie zarówno w kraju, jak i na świecie. Wielu zadaje sobie pytanie, jak mogło do tego dojść. Pytania sypią się też z mediów światowych. Dawno przestaliśmy być ich ulubieńcem. Przeciwnie, trafiliśmy do oślej ławki. Amerykański mędrzec Francis Fukuyama dla polskiej osobliwości w postaci dokonującej się samokastracji ustroju państwa znajduje wyjaśnienie w postaci rozbitego klosza komunistycznego, który przez 45 powojennych lat, ograniczając zabiegami cenzuralnymi

swobodną wymianę myśli, uniemożliwił społeczeństwu naszego regionu rozliczenie się z własną przeszłością. W rezultacie w polskim życiu publicznym powróciły niczym refluks stare plagi. Ta teza bardzo mi odpowiada, pozwala bowiem zrozumieć, dlaczego tak liczne kompleksy oraz strachy narodowe, wyniesione z przeszłości sanacyjnej, endeckiej, rozbiorowej, a także sarmackiej, pojawiły się ponownie w naszym życiu publicznym.

Oddanie władzy w aktualnej sytuacji musi oznaczać dla elit pisowskich zamianę luksusowych gabinetów na znacznie skromniejsze cele.

Dopomogły w tym styl uprawiania polityki oraz zawłaszczenie prawem kaduka publicznego radia, telewizji i licznych łamów prasowych przez ludzi Kaczyńskiego. Od sześciu lat kłamstwa i zmyślenia nie ustępują tym z epoki bierutowskiej, tyle że są one redukowane przynajmniej częściowo przez wolne jeszcze media. Rodzi to ogólnonarodową schizofrenię, w której tkwimy po

uszy, a końca jej nie widać. Eufemistycznie nazywa się to podziałami wewnętrznymi. Kaczyński, aby temu zapobiec, gorączkowo stara się rozprawić z niezależnymi mediami. Ale zdrowie i siły już nie te! Ważne jednak dla niego, że ten podział informacyjny – zabójczy dla każdego autorytaryzmu – pozwala mu grać jak na mandolinie polskimi kompleksami i strachami biorącymi się z ksenofobii narodowej. Ostatnio, tak jak sześć lat temu, na zasadzie, że wszystkie chwytły są dozwolone, ponownie zyskał pewne punkty, strasząc Polaków imigrantami zza wschodniej granicy. Straty wywołane w ten sposób w świadomości społecznej będą nas jeszcze bardzo dużo kosztować. Będą za nie płacić najmłodsze i następne pokolenia. Młodzieży polskiej, przystrojanej, zazwyczaj wbrew sobie, w ksenofobiczne, nietolerancyjne, antysemickie sukienki skrojone przez rządzącą partię, trudno będzie umościć się w świecie.

Ogromną odpowiedzialność za plagi zgotowane nam przez partię Kaczyńskiego ponoszą także politycy opozycyjni i media niezgadające się z rządzącą partią. Nie wypracowały one bowiem dotychczas skutecznej metody zwalczania kłamstw i przeinaczeń. W „Gazecie Wyborczej” czy „Rzeczpospolitej” brakuje mi np. codziennego rejestru coraz to nowych kłamstw wypuszczanych z fabryki Kurskiego i innych. Partie sejmowe nie potrafiły stworzyć ruchu odmowy wobec polityki Kaczyńskiego i jego ludzi. Zamiast nazywać się totalną opozycją, należało narzucić powszechną narrację,

że popieranie władzy i wspieranie jej to zwykły obciach. Zamiast potępić od razu wszystkie kolejne próby łamania konstytucji przez władzę – same przez się zezwalające obywatelom na zbiorową odmowę posłuszeństwa – godziliśmy się z niegodziwością rządzących. Zamiast ich zawstydzać, wzruszaliśmy ramionami, aż w końcu po padliśmy w zniechęcenie bliskie ▶

► kapitulantwu. Zezwoliliśmy na zbrojstwa policyjne, na bezkarne używanie siły wobec demonstrantów. Pozwoliliśmy, aby rząd inwestował w policję, tworząc z niej narzędzie do stosowania przemocy państwowej. Komisariaty na Dolnym Śląsku stały się miejscem śmierci trzech aresztantów. Media toczyły bezsensowne dyskusje z przedstawicielami obozu władzy, podczas gdy z nimi nie sposób dyskutować.

cotygodniowych bądź comiesięcznych pod nazwą np. „Monitor Ocenzurowany” projektów ustaw, rezolucji, oświadczeń, wniosków i skarg składanych marszałek Sejmu na wieczne zatracenie na dnie szuflady. Taki periodyk z nieprzyjętymi projektami sejmowymi, drukowany w tysiącu egzemplarzy i rozsyłany do mediów krajowych i zagranicznych, mógłby położyć kres dzisiejszej bucie i pajdokracji pani Witek.

Do dziś np. nie rozumiem, dlaczego opozycyjni posłowie, zamiast błąkać się po sali sejmowej, po zarządzeniu przez marszałek Witka reasumpcji nieudanego dla rządzących głosowania nie zajęli mównicy sejmowej, aby zapobiec skandalicznemu złamaniu prawa. Bezradnie dopuścili do skandalu w polskim Sejmie. A przecież byłoby to działanie w dobrej sprawie i niewątpliwie zostałoby korzystnie przyjęte przez polską i światową opinię publiczną. A w sensie politycznym pokazałoby, że istnieje granica, której rządzący przekroczyć nie mogą.

Z powodu naszych uchybień i braku skuteczności ludzie PiS wciąż mogą sobie bimbać z nas i bez uszczerbku dla własnych interesów przerabiać Polskę na kraj na kształt republiki bananowej, zaspokajającej ambicje i dewiacje polityków obozu władzy. Najwyższy czas na przebudzenie i powiedzenie zbiorowego NIE!

Janusz Rolicki

Kaczyński gra jak na mandolinie polskimi kompleksami i strachami biorącymi się z ksenofobii narodowej.

Pozwoliliśmy licznym indywiduom od Terleckiego do Czarńka na oburzające i bezkarne drwiny z dobrych obyczajów parlamentarnych. Standardem rządzących stało się odwracanie plecami do pytających na zasadzie „nie, bo nie”. Sejm przestał być miejscem autentycznych debat. Opozycja, do głębi bezradna i zagubiona, nie zdobyła się nawet na rozsyłanie w formie zwartych druków

Pokazywałby opinii publicznej prawdziwe oblicze bezkarnej władzy. Nie zadbało, aby w formie dowcipnej a złośliwej pokazywać na ulicznych i przydrożnych bilbordach draństwa i niegodziwości władzy. Osoby czerpiące wiedzę o świecie i Polsce jedynie z mediów publicznych są bezbronni wobec ich manipulacji. Nic nie wiedzą o aferach gospodarczych pisowców.

Więcej szacunku dla Angeli Merkel

Angela Merkel kończy wkrótce 16-letnią, czterokadencyjną pracę na ogromnie odpowiedzialnym stanowisku kanclerza Republiki Federalnej Niemiec. Jest pierwszą kobietą w tej roli. Kilka dni temu była w Warszawie z pożegnalną wizytą. Nasz prezydent nie znalazł czasu na spotkanie z panią kanclerz, premier nie poprosił o asystę kompanii honorowej, widocznie była zajęta na wschodniej granicy. Zrobiło mi się przykro i wstyd. Postanowiłem napisać kilka słów i powiedzieć, jak wielkim szacunkiem darzę panią kanclerz, z jakim uznaniem dla jej skuteczności i intencji śledziłem jej pracę.

Jestem z generacji dzieci wojny, pamiętam wiele z tych tragicznych lat. Mój ojciec i mój teść byli więźniami Auschwitz, udało im się przeżyć. Nasz stosunek do Niemców przez wiele lat był najpierw wrogi, potem bardzo nieufny. Jednak lata obserwacji tego, co działo się po drugiej stronie żelaznej kurtyny, skłaniały do nowych przemyśleń.

W roku 1987 jako prorektor Politechniki Warszawskiej nawiązałem kontakt z profesorami Technische Universität Darmstadt (TUD). Od początku były to kontakty przyjacielskie. Pamiętam rok, w którym przyjechał do nas z Darmstadt подарowany komputer IBM. Współpraca naszych uczelni trwała wiele lat. Rektor TUD został doktorem *honoris causa* Politechniki Warszawskiej.

Moim serdecznym, wieloletnim przyjacielem jest Hans Hartnagel, profesor TUD. Przez dwadzieścia kilka lat organizowaliśmy wspólnie szkoły letnie dla dyplomantów i doktorantów naszych i kilku innych

europejskich uczelni. Spotykaliśmy się na konferencjach naukowych. Mieliśmy wiele czasu, aby podjąć najtrudniejsze tematy. Hans opowiedział mi, z jakim trudem budowali w latach 50. współpracę między uczelniami Francji i RFN. Starałem się zrozumieć procesy, w rezultacie których Ren przestał być rozgraniczeniem Linii Maginota i Zygryda, a stał się życiodajnym kręgosłupem nowej Europy. To Francja i Niemcy wykonały ogromną pracę zakopania toporów wojennych. Wraz z Włochami i krajami Beneluksu stworzyły krok po kroku fundamenty Unii Europejskiej, stowarzyszenie krajów przyjacielskich. Wielkie brawa i dzięki!

Jednakże dzisiaj niektórzy w naszym kraju zaczynają mówić o europejskiej okupacji. Inni mówią o członkach Unii jako o graczach walczących bezwzględnie o swoje interesy. W każdej chwili grozi nam wejście w pułapkę i poniesienie bolesnych strat. Jeszcze inni każą się zastanowić, co my w tej Unii robimy. Ten sposób myślenia wpłynął prawdopodobnie na formę pożegnania w Warszawie pani kanclerz. Jest mi wstyd.

Wielce Szanowna Pani Kanclerz! Pani niestrudzona, owocna praca skutkowała także tym, że zdobyła Pani w moim kraju bardzo liczne grono przyjaciół. To zaszczyt dla mnie być jednym z nich.

*Bogdan Galwas, emerytowany profesor
Politechniki Warszawskiej,
wieloletni członek Komitetu Prognoz PAN*

Tak, ale



Agnieszka
Wolny-Hamkała

Jeśli będziecie nas niszczyć, niszczyć, niszczyć

Na skrzyżowaniach stoją policjanci, należycie zaniepokojeni, w stanie czuwania, jak komputery, które może pobudzić każdy ruch (puknięcie w klawiaturę albo poruszenie myszki). Jest ciepło, niektórzy zdejmują kaski i trzymają je przy biodrach jak dziwne, ciemne głowy. Na dachach samochodów, w stoikach, kręci się niebieskie światło policyjnych kogutów. Wiadomo, że coś będzie tędy jechało albo szło. Na razie na horyzoncie pojawia się ciągnący powoli szpaler niebieskich ciężarówek na światłach. Turyści albo „zwykli przechodnie” przystają zahipnotyzowani. Nie wiedzą, co nadejdzie, ale czekają. Tłum może cię ze sobą wziąć, jeśli się zagapisz, jeśli pozwolisz się przyciągnąć.

Teraz od ścian budynków odbija się dudnienie, ulica staje się tubą, rytmiczny dźwięk dociera do ludzi. „Przypadkowi przechodnie” czują się jak dzieci, dla których coś przygotowano. Jest dokładnie tak, jakby ojciec poszedł już do góry, zaraz zejdzie z tym czymś, matka zawiązała ci oczy szalikiem i czasz w ciemności. Fajnie i niefajnie. Ojciec w końcu schodzi jak ten Mikołaj, znikąd, z brodą przyklejoną krzywo. Ale ma dla ciebie coś w worku (może to będzie ta upragniona nakręcana baletnica bez głowy i majtek?). Tym razem towarzyszy mu potężny, podziemny, basowy bit. Wszystkim lekko drżą ręce, drży beton i asfalt transmituje uderzenia, fala za falą. Ludzie mogą do siebie mówić, ale słyszą już tylko ten dziki bęben miasta.

Paradę otwiera monster truck, dominująca dźwiękowa ciężarówka misiek, ze srebrnymi szybami i folią ochronną (na wypadek deszczu, nagłego ataku bojówek PiS?). Za nią ludzie w kolorowych rojach skaczą i tańczą, wymachują chustami, bluzami – tłum jest ukropem, chmurą marihuany (leczniczej) i potu. Pojedyncze grupki „zwykłych przechodniów” przyłączają się do parady, zdejmują najpierw kurtki, potem koszule. Błyskawicznie się dostrajają, łącząc się z tłumem w jeden paradny przekaz. Ale chwilę, dlaczego tu nie ma hasła?

Nikt niczego nie upamiętnia? Ci ludzie nie chcą niczego, przeciwko niczemu nie protestują? Przecież niedługo

wybory w Niemczech. Z ogromnych plakatów kandydaci popatrują na tłum z drugiego wymiaru. Fakt, na zdjęciach są nieco płascy, milczący, wyraźnie brakuje im bitu. Parada ich chyba nie widzi. No to po co idzie?

Że proekologiczna, równościowa to ekipa – wiadomo od razu, choć nie ma na to werbalnych dowodów. Nikt nie podsuwa nikomu karteczki do podpisu, nie zbiera pieniędzy. Bez słów idą razem chłopaki i dziewczyny, i chłopakodzievczyny, dziewczyno-chłopaki, ludzie dzieci i dzieci psy, i ludzie na wózkach, i wózki na ludziach, i dziewczyny za rękę, i stare baby, i stare chłopcy, i pół kobiety, pół laptopy – w rytmie techno przez ulice miasta. Boso i na szpilekach, w klapkach i trampkach. Kolejne ciężarówki z techno-megafonami, uderzenia tłumy, całe roje, podgrupy.

Ciągnęli kilometrami przez miasto jako *ad hoc* zmontowana spontaniczna rodzina muzyczna. Pewnie po prostu po to, żeby się policzyć, zobaczyć. Ale ten marsz nie ma wspólnego programu. Brakuje mu pewności, żeby coś mówić w imieniu tłumy. Brakuje megalomanii przysługującej manifestom. Mało mu trzeba. Wspólny dzień, setki samochodów, które zmieniają kurs, policjanci, którzy pilnują śmiechu i tańca, w razie gdyby tłum się wyrodził w ponury twór pełen tajemnych narzędzi. Ale on jest całkowicie niewinny, a jednocześnie solidny: wie, po co nie idzie, i chyba wie, co by mówił, gdyby nie był niemy. Jest to dorosły tłum, który się wyrzywa do głosu. Każe na siebie patrzeć, głośny jak ryk stadionu, elektryczny, rozlany. Hej, panowie, może go lepiej traktować poważnie?

Spróbujcie zrozumieć, w co może się zmienić ta siła, jeśli będziecie nas niszczyć, niszczyć, niszczyć. Zamienimy się w akcję, zamienimy się w marsz z hasłem, zamienimy się w sztandar, w ogień. Na razie tylko tańczymy, ale popatrzcie na nas. Na nasze pięści, na nasze nogi, na nasze zęby. Zobaczcie nas, policzcie. Nagrajcie nas na swoje przemysłowe kamery. Na razie do was machamy. Lepiej nam odmachajcie.

Na razie do was machamy.
Lepiej nam odmachajcie.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeгляд.pl



Dołącz do naszej społeczności

Znajdź PRZEGLĄD na Facebooku, Twitterze, Instagramie, YouTube i LinkedIn



Bogusław Czarny

Kraje nordyckie – Dania, Finlandia, Islandia, Norwegia, Szwecja – intrygują świat. Jedni, jak Marek Tatała w imieniu Forum Obywatelskiego Rozwoju Leszka Balcerowicza, walczą z „mitem” o nordyckim raj. Ich zdaniem podatki w krajach nordyckich są za wysokie, a sektor publiczny za duży. Pasione tymi podatkami nordyckie „państwo dobrobytu” w imię (rzekomej?) sprawiedliwości rozdaje zbyt wiele zasiłków i usług, takich jak edukacja czy opieka medyczna, zmniejszając różnice dochodów obywateli. Te podatki hamują rozwój gospodarczy krajów nordyckich, czyli szkoda efektywności! Drudzy, jak amerykański noblista Joseph Stiglitz, twierdzą jednak, że jest odwrotnie i krajom tym – inaczej niż np. Polsce i Ameryce – udało się pogodzić równość z efektywnością. Duńczycy, Finowie itd. skutecznie dzielą się dobrobytem, np. zapobiegając dużym różnicom dochodów. A w dodatku, mimo wysokich podatków, mnóstwo produkują (komputerów, mebli, masła itd.).

Ten spór bywa ilustrowany obrazem ciężkiego trzmieła, który lata szybko, a podobno nie powinien, bo jego skrzydełka są za małe, żeby utrzymać go w powietrzu. Rzekomo społeczeństwa nordyckie są takimi trzmiełami. Ich tułowiem jest rozrośnięte państwo dobrobytu, a skrzydełkami – sektor prywatny gospodarki, czyli nękani podatkami przedsiębiorcy i pracownicy. Podobno te podatki powinny zadławić nordyckie gospodarki, a jednak one kwitną!



Jak ten trzmiel to robi?

W krajach nordyckich sprawiedliwość nie kłóci się z efektywnością

Czy zatem metafora z trzmielem jest trafna? Czy można mieć bardzo wysokie podatki (równość), a jednocześnie niezwykle wydajną gospodarkę i oszałamiający dobrobyt (efektywność)? Oto najnowsze dostępne dane OECD z września tego roku. OECD skupia 38 państw, większość najbardziej rozwiniętych krajów świata.

Okazuje się, że nordyckie „państwo dobrobytu” jest naprawdę ogromne, o czym świadczy bardzo wysoki udział podatków w wartości wytwarzanej produkcji. Jest on o wiele wyższy niż średnia dla całej OECD (33,8%), a także zdecydowanie wyższy niż w Stanach Zjednoczonych i w Polsce. Najwyższe w OECD podatki są w Danii, czwarta jest Szwecja, siódma Finlandia, ósma Norwegia, czternasta Islandia.

Efektom rzeczywiście jest równość, m.in. względnie równe dochody. Powszechnie stosowaną miarą nierówności dochodów jest tzw. współczynnik Giniego. Im bliższy jest on 100%, tym większe są różnice między bogatymi a biednymi. Otóż we wrześniu br. wszystkie kraje nordyckie mieściły się w pierwszej dziesiątce krajów OECD o najmniej zróżnicowanych dochodach. Islandia zajmowała czwarte miejsce. Na szóstym była Norwegia, na siódmym

Kraj	Udział przychodów podatkowych państwa w PKB w wybranych krajach OECD (w %)	Współczynnik Giniego (w %)	PKB <i>per capita</i> w wybranych krajach OECD w 2019 r. (w dol. o równej sile nabywczej)	Wskaźnik rozwoju społecznego, HDI, w 2019 r.
Dania	46,3	26,4	59 870	0,940
Finlandia	42,2	26,9	51 557	0,938
Islandia	36,1	25,0	60 076	0,949
Norwegia	39,9	26,2	68 344	0,957
Szwecja	42,9	28,0	55 338	0,945
Stany Zjednoczone	24,5	39,0	65 240	0,926
Polska	35,4	28,1	33 858	0,880

Źródło: Dane OECD i ONZ

Norwegia jest jednym z krajów, którego mieszkańcy odczuwają najwyższą satysfakcję z życia.

– Dania, na ósmym – Finlandia, na 10. – Szwecja. Polska zajmowała 11. miejsce (późne echo PRL?), a Stany Zjednoczone – 24.

Podsumujmy. Tułów nordyckiego trzmiela jest rzeczywiście pękaty i ciężki. Strzegące równości nordyckie „państwo dobrobytu” żyje z podatków płaconych przez prywatny sektor gospodarki.

A co z efektywnością? Czy wątpliwe skrzydełka są w stanie unieść nordyckiego trzmiela grubasa? Popatrzmy na efekty działania tych gospodarek. Na przykład ile jest warta produkcja w ciągu roku wytwarzana przez przeciętnego Duńczyka, Finna itd., czyli PKB *per capita*. Przecież żeby państwo miało co rozdawać, prywatne przedsiębiorstwa muszą coś produkować.

Przeciętny Duńczyk wytworzył o ponad trzy czwarte więcej dóbr niż przeciętny Polak!

Z danych statystycznych wyłania się zaskakujący obraz. Kraje nordyckie to światowa elita producentów! Pod względem PKB *per capita* w 2019 r. (tuż przed zarazą) wszystkie mieściły się w pierwszej piętnastce OECD (dane z września 2021): czwarta była Norwegia, szósta – Islandia, siódma – Dania, 11. – Szwecja, a 14. – Finlandia. Na piątym miejscu były Stany Zjednoczone, na 30. Polska (przeciętny Duńczyk wytworzył o ponad trzy czwarte więcej dóbr niż przeciętny Polak!). Owszem, przeciętny Duńczyk był od przeciętnego Amerykanina trochę (9%) gorszy, jednak przeciętny Amerykanin w ciągu roku pracuje o ok. 20% dłużej niż przeciętny Duńczyk. No to skoro Nordycy produkują więcej niż Polacy, to i mają więcej (komputerów, mebli, masła itd.). A my im zazdrościmy!

Bardziej wyrafinowani sięgają po jeszcze inne miary efektywności. Wśród ekonomistów wzięciem ciejszy się np. wskaźnik rozwoju społecznego (ang. *Human Development Index*, HDI). Pokazuje on z grubsza,

w którym kraju mieszkańcy są bogatsi, mądrzejsi (lepiej wykształceni) i zdrowsi (żyją dłużej). Im większy HDI, tym lepiej, bo tym większe są szanse realizacji wrodzonych możliwości mieszkańców – wszak te szanse zależą właśnie od pieniędzy, mądrości i zdrowia. Na przykład ktoś, kto jest nie tylko bogaty, lecz także mądry, ma szansę żyć lepszym życiem niż zamożny głupiec, niezdolny zdać sobie sprawę z otwierających się przed nim możliwości.

Jedne z najwyższych na świecie podatków idą w parze z bardzo wysoką wydajnością pracy.

W 2019 r. w tej konkurencji przeciętny Norweg zajmował pierwsze miejsce na 189 uwzględnionych w badaniu krajów, przeciętny Islandczyk był czwarty, przeciętny Szwed – siódmy, przeciętny Duńczyk – 10., przeciętny Fin – 11. Przeciętny Amerykanin był na 17. miejscu, a przeciętny Polak na miejscu 35. Wychodzi na to, że Nordycy zdecydowanie lepiej od Amerykanów, nie mówiąc o Polakach, wykorzystują swoje szanse na dobre życie.

Jeśli ktoś ma jeszcze wątpliwości co do efektów działania nordyckich gospodarek, niech spyta Nordyków, jak im się żyje. Usłyszysz, że kraje nordyckie, poza Szwecją, zajmują

pierwsze cztery miejsca w rankingu krajów, których mieszkańcy odczuwają najwyższą satysfakcję z życia (2019 World Happiness Report). Szwecja jest siódma, Stany Zjednoczone 16., a Polska – 40. Raport dotyczył 156 krajów i lat 2016-2018. Oni są w dodatku bezwstydnie szczęśliwi!

W krajach nordyckich zatem – wbrew miłośnikom Leszka Balcerowicza – równość nie kłóci się z efektywnością. Jedne z najwyższych na świecie podatków idą tu w parze z bardzo wysoką wydajnością pracy. Wynikiem są wyrównane szanse i dobrobyt dla wszystkich. Nic dziwnego, że np. w Szwecji żyje 94 tys. polskich imigrantów, choć w 1990 r. było ich tam 36 tys. Polacy pokochali „szwedzki kalif” i głosują nogami. W Islandii polscy imigranci są największą mniejszością narodową (ponad 5% ludności).

Podobno przez wiele lat nauka nie była w stanie wyjaśnić fenomenu lotu trzmiela, lecz w końcu tajemnica została rozwiązana. Trzmiel nie bije skrzydełkami w górę i w dół, jak ptak, lecz szybko porusza nimi w przód i w tył, obracając je wokół osi. A co sprawia, że – mimo podatków – kwitną gospodarki nordyckie? Jak ten trzmiel to robi?!

Bogusław Czarny wyklada ekonomię w SGH, jest autorem m.in. podręczników ekonomicznych i *Szkiców o ekonomii w Polsce w latach 1949-1989 (ekonomia w państwie totalitarnym)*

SPOŁECZNE FORUM
WYMIANY MYŚLI



NOWA ZIMNA WOJNA A WOJNA O KLIMAT

ROMAN KURKIEWICZ (Tygodnik Przegląd)
ANETA DUKSZTO (Zieloni)
MACIEJ WIŚNIEWSKI (Strajk.eu)
CZESŁAW KULESA (Nasze Argumenty)
moderacja
JULIA ROKICKA

23.09.2021 godz. 17.00

Café księgarnia Tajne Komplet
ul. Przejście Garncarskie 2, Wrocław

Strajk.eu
Argumenty
Przebieg
TRYBUNA
Przebieg
KRYTYKA SPOŁECZNA
Fundacja Nierozbicie

Bałkańska porażka Stalina

Konflikt na linii Tito-Stalin doprowadził do rozłamu w międzynarodowym ruchu komunistycznym

Konrad Szelest

Rok 1948 i bunt Tity przeciw Moskwie wywołał ogólnoświatowy szok. Oto ideowy stalinowiec, syn chorwackiego chłopca i słoweńskiej chłopki Josip Broz, posługujący się przydomkiem Tito, używanym przed wojną w Komunistycznej Partii Jugosławii, zdobył się na słowa sprzeciwu wobec nieomylnego Generalissimusa. 17 stycznia 1948 r. premier Bułgarii Georgi Dimitrow wystąpił z inicjatywą powołania federacji państw południowo-wschodniej i centralnej Europy należących do radzieckiej strefy wpływów. Stalin odebrał to jako próbę obalenia przewodnictwa ZSRR w światowym ruchu komunistycznym. Bułgarski pomysł bardzo spodobał się za to w Belgradzie. Stalin wezwał w lutym 1948 r. do Moskwy zarówno bułgarską, jak i jugosłowiańską delegację, aby wyrazić niezadowolenie z nowatorskich pomysłów. I o ile Dimitrow błyskawicznie wygłosił samokrytykę swojej „zuchwałości”, o tyle Tito wytoczył ciężkie działa przeciwko Moskwie. Na posiedzeniu KC Komunistycznej Partii Jugosławii 1 marca 1948 r. padły słowa o niedopuszczalnej próbie ubezwłasnowolnienia kraju i partii. Zwrócono też uwagę na umowy gospodarcze zawarte z ZSRR, które były niekorzystne dla państwa jugosłowiańskiego. W ramach zemsty Moskwa wycofała z Bałkanów swoich doradców gospodarczych.

Gniew Stalina, Belgrad nie odpuszcza

Już w styczniu 1948 r. Stalin udzielił Ticie nagany za samowolkę. Zamierzał on wysłać wojska do południowej Albanii na wypadek ataku greckiej armii. Moskwa nie chciała prowokować państw zachodnich, które na takie działania odpowiedziałyby z całą stanowczością i konflikt

nuklearny byłby blisko. Stalin chciał mieć również wyłączność na kontrolę międzynarodowej polityki ruchu komunistycznego. Działania Tity były traktowane jako rozpychanie się łokciami i walka o przywództwo z Moskwą. Stalin, który w okresie II wojny światowej był zwolennikiem koncepcji federacji bałkańskiej, w drugiej połowie lat 40. diametralnie zmienił podejście do tej kwestii. Tito wyrastał na postać, która mogła w krótkim czasie wpłynąć na decyzje i podejście bratnich narodów, m.in. Bułgarów, Albańczyków czy nawet Greków, i stworzyć rodzaj alternatywy dla moskiewskiego „twardego” komunizmu.

Przygotowane z polecenia Stalina memorandum udzielało Belgradowi nagany za lekceważenie i negowanie pozycji ZSRR jako światowego mocarstwa oraz patrona wszystkich państw komunistycznych. Moskwa była zdania, że Tito daleko odchodzi od kierunku myśli Marksa i Lenina. Zarzucano mu niktę cytowanie Marksa w wypowiedziach. Co gorsza z perspektywy Moskwy, Tito w ogóle przestał odnosić się do myśli wielkiego Stalina. Zdaniem kremłowskiej wierzchołki Jugosławia znacznie oddalała

zupełne niedostrzeżenie problemu kułaków na wsi.

Kwestia jugosłowiańskiej kolektywizacji rolnictwa kładła się cieniem na relacjach z ZSRR. W czerwcu 1948 r. przedstawiciele Jugosławii nie stawili się na konferencję zorganizowaną przez Kominform. To właśnie na niej miał być ogłoszony wyrok za „burzenie” przez Belgrad porządku w szeregach komunistycznej wspólnoty. Przedstawiciele zrzeszonych w Kominformie partii wykluczyli KPJ ze swojego grona. Kolejnymi działaniami były blokada gospodarcza i polityczna izolacja Jugosławii.

Jugosłowiańska droga i pomoc z Zachodu

Tito zaczynał odczuwać ciężar własnej drogi do komunizmu. Dlatego w 1949 r. zdecydowanie przystopował i aby przekonać Stalina do swojego oddania idei marksizmu i leninizmu, rozpoczął zakrojoną na szeroką skalę kampanię na rzecz kolektywizacji rolnictwa. Chłopi, którzy jeszcze niedawno dostawali niewielkie gospodarstwa indywidualne, teraz byli zmuszani do organizowania się w ramach chłopsko-robotniczych

W latach 1949-1952 Jugosławia otrzymała z Waszyngtonu pomoc szacowaną na 500 mln dol.

się od komunizmu. Tito nie zamierzał jednak zmieniać swojego podejścia. W marcu 1948 r. skierował memorandum do radzieckiego doradcy w Belgradzie Michaiła Susłowa. Pisał w nim: „...nie jesteśmy gorsi od innych, którzy próbują nas krytykować. Nie tylko krytykować, ale udzielać nam lekcji. Chodzi o Węgrów, Rumunów czy Czechów. Czy my faktycznie posiadamy więcej elementów kapitalizmu niż oni? Czy u nich naprawdę jest mniej kułaków niż u nas?”. Moskwa bowiem zarzucała Belgradowi

kooperatyw. Polityka kolektywizacji wywołała bunt, który stłumiły milicja i wojsko. Władze w Belgradzie zaczęły dostrzegać, że mimo skutecznie działającego aparatu bezpieczeństwa scentralizowany system administracji spotykał się ze znacznym oporem ludności. Gospodarka zaczęła się blokować, postępował zastój w produkcji. Tito coraz poważniej myślał o odrzuceniu stalinowskiego porządku. Rozważano wprowadzenie wydajnego ustroju, opartego na wyeliminowaniu radzieckiego wzorca. Tak narodził się



Tito spotkał się ze Stalinem w kwietniu 1945 r., kiedy w Moskwie podpisał układ o przyjaźni między Jugosławią a ZSRR.

pomysł stworzenia „marksistowskich wolnych stowarzyszeń producentów”. Od roku 1950 tworzone modele robotniczego samorządu. Lokalne rady otrzymały możliwość posiadania własnego budżetu. Rzeczywista dekollektywizacja została ogłoszona jednak dopiero w marcu 1953 r., już po śmierci Stalina.

Złe stosunki z Moskwą powodowały obawy o radziecką interwencję zbrojną w Jugosławii. Gospodarka ograniczona stalinowskimi sankcjami potrzebowała środków na rozwój przemysłu i rolnictwa. Dlatego Tito zdecydował się na kontakt z partiami socjalistycznymi i socjaldemokratycznymi w Europie Zachodniej. Pozwoliło to Jugosławii stanąć na nogi. Tito był wspierany m.in. przez brytyjską Partię Pracy. Zainteresowanie Belgradem przejawiały również Stany Zjednoczone. W latach 1949-1952 Jugosławia otrzymała z Waszyngtonu pomoc szacowaną na 500 mln dol. Doradcy z Białego Domu traktowali Tity jako wroga ich głównego wroga, czyli Stalina. Dlatego jugosłowiański przywódca był uważany za przyjaciela bez względu na wyznawaną przez niego ideologię i twardą rękę, jaką rządził Jugosławią. Kraje zachodnie zaczęły sprzedawać na Bałkany broń, dzięki czemu kraj wzmocnił się militarnie.

Stalin zdał sobie sprawę, że poniósł porażkę i doszło do tego, czemu tak bardzo chciał zapobiec: ingerencji zachodniego kapitalizmu za żelazną kurtyną. Tito zaczął realizować swoją komunistyczną drogę w zupełnie inny sposób, niż chciała tego Moskwa. Jugosławia porzuciła roszczenia wobec włoskiego Triestu i nie ingerowała w pomoc greckim komunistom. Zarówno Włochy, jak i grecki rząd będący sojusznikiem Białego Domu pozbyły się w ten sposób problemów u swoich granic. Ceną były miliony dolarów płynące do Belgradu.

Uśmiercić zdrajcę

Stalin traktował jugosłowiańską porażkę jako cios wymierzony personalnie w jego osobę. Nie mógł znieść tego, że Tito rzucił mu wyzwanie i zaczął budować swój rodzimy komunizm bez oglądania się na Moskwę. W trakcie jednej z rozmów z Nikitą Chruszczowem Stalin miał powiedzieć: „...wystarczy, że kiwnę tylko palcem, a Tito zniknie raz na zawsze”. Tak rozpoczęły się próby usunięcia Broza przez agentów MGB (poprzedniczka KGB). Do 1952 r. agenci jugosłowiańskiej tajnej policji (UDBA) udaremnili kilkanaście prób

zamachów. Znajdowano podłożone ładunki wybuchowe, silne toksyny ukryte w pojemnikach i podrzucone do rezydencji Tity. Ostatnia, tym razem skuteczna próba zamachu miała nastąpić w marcu 1953 r. MGB zamierzało wykorzystać rozpylacz zawierający zabójczą dawkę dżumy lub śmiertelny, toksyczny gaz. Atak miał przeprowadzić radziecki dyplomata z kostarykańskim paszportem Teodor Castro, który był jednym z najbardziej tajemniczych agentów MGB. Naprawdę nazywał się Josif Grigulewicz. Zamach miał być zemstą za odbicie Castro kobiety właśnie przez Broza, który słynął z burzliwego życia uczuciowego. Wcześniej MGB chciało skompromitować go romansem z aktorką Tatią Okuniewską. Jednak zakochana w nim Rosjanka nie zgodziła się wziąć udziału w mistyfikacji.

Kiedy wydawało się, że plan z wykorzystaniem Castro odniesie sukces, 5 marca 1953 r. zmarł Józef Stalin. Przed śmiercią nie zdążył wydać ostatecznego rozkazu zabicia Tity.

Czy Tito zgładził Stalina?

Po paru dniach od śmierci Stalina w jego poczcie na Kremlu znaleziono list od Tity. Napisał w nim, aby Stalin darował sobie wysyłanie agentów, którzy chcą go zabić, gdyż jego służby specjalne złapią każdego, kto pojawi się w Belgradzie. Ponadto zagroził, że w wypadku kolejnych prób zamachów to on wyśle do Moskwy człowieka, który zlikwiduje wielkiego Stalina. I to za pierwszym razem.

Powyższy wątek posłużył twórcom teorii spiskowych jako pożywka dla historii, według której to agenci Tity mieli pozbawić życia Stalina przebywającego na dachu w Kuncewie. Nigdy nie potwierdzono ani nie zaprzeczono tej wersji wydarzeń. Być może na zawsze pozostanie ona tajemnicą.

Podczas wizyty Chruszczowa w Belgradzie w 1955 r. Tito usłyszał od I sekretarza KPZR przeprosiny za próby zamordowania go. Był to wyraźny sygnał dla akceptacji jugosłowiańskiej drogi, którą wybrał Josip Broz-Tito.

Cytaty wykorzystane w tekście pochodzą z książki Roberta Service'a *Towarzysze. Komunizm od początku do upadku*, Znak, Kraków 2008.



Świętowanie 25-lecia Instytutu Fizjologii i Patologii Słuchu nie mogło się odbyć inaczej niż przy dźwiękach muzyki. Twórca i dyrektor instytutu, prof. Henryk Skarżyński, uważa bowiem, że muzyka odgrywa dużą rolę w rozwoju słuchowym człowieka. To jedyna tego typu placówka na świecie, ma niezwykle osiągnięcia w leczeniu wad słuchu. W ciągu ćwierćwiecza przeprowadzono tu 4 mln badań i konsultacji oraz ponad 516 tys. zabiegów chirurgicznych. W Kajetanach – przy użyciu najnowocześniejszych technologii – wykonywanych jest dziś najwięcej na świecie operacji przywracających słuch. W koncercie galowym w Filharmonii Narodowej 9 września wzięli udział soliści i duety, m.in. Davide Santacolomba, Maciej Miecznikowski, Hanna Śleszyńska, Wadim Brodski, Janusz Olejniczak, Jan Turbański i Stella Majerowicz, a także pacjenci prof. Skarżyńskiego. Towarzyszyły im Orkiestra Państwowego Zespołu Pieśni i Tańca Mazowsze pod dyktando Jerzego Maksymiuka oraz Kameralny Zespół Muzyki Północno-Wschodniej i Popołudniowej pod kierownictwem Marcina Wawruka.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI



1. Anna Czupryn i Wadim Brodski
2. Estera Łabiga
3. Jan Turbański i Stella Majerowicz
4. Prof. Henryk Skarżyński i Jerzy Maksymiuk
5. Maciej Miecznikowski i Krzysztof Szczygieski
6. Małgorzata Strycharz-Dudziak i Janusz Olejniczak



Rozmawia Rafał Pikuła

W poprzedniej książce pisałeś, co robić przed końcem świata. Teraz piszesz o bezradności, która ma wiele twarzy. Czym ona jest we współczesnym świecie?

– Poprzednia książka była zbiorem felietonów wygłaszanych wcześniej na antenie TOK FM w audycji „Kwadrans filozofa”. Zawiera pewne pomysły i tropy, które szerzej rozwijam w „Ucieczce od bezradności”. Ale ani tu, ani tam nie staram się nikomu doradzać, nie chcę sprzedawać gotowych recept na skomplikowane problemy współczesnego świata. Powiedziałbym, że raczej odwrotnie – wychodzę przeciwko kulturze poradnictwa, kulturze coachingu, ufundowanej na przekonaniu, że wszystko musi mieć swój wymiar praktyczny, że jeśli się pojawi jakiś problem, to trzeba znaleźć dla niego rozwiązanie, a bezradność albo stan zawieszenia to zło wymagające natychmiastowej reakcji. Ten przymus szukania rozwiązań, owa tytułowa ucieczka od bezradności, to zmora współczesnej kultury. Wprzęgnięci jesteśmy w imperatyw niwelowania każdego dyskomfortu, a przecież jest wiele aspektów ludzkiego życia, które wiążą się z sytuacjami nieodwracalnymi, trudnymi, niemożliwymi do rozwiązania, o ich „przepracowaniu” na szybko już nawet nie wspominając.

W końcu żyjemy w kulturze, w której przekonuje się nas, że możemy być każdym. Czy faktycznie nie jesteśmy kowalami swojego losu?

– Oczywiście, że nie jesteśmy. Nasz los to wypadkowa niepoliczalnie wielu czynników: naszych indywidualnych starań, genów, epoki, klasy społecznej, uwarunkowań rodzinnych, systemu politycznego i ekonomicznego, a wreszcie... przypadku. Kultura jednak przekonuje nas dzisiaj, że nie tylko możemy być, kim chcemy, ale również, że wszystko jest nam dostępne, wszystko jest osiągalne. Tego rodzaju iluzję wspiera niewątpliwie nowoczesna technologia. Dzięki internetowi cały świat jest dostępny w smartfonie 24 godziny na

Nie jesteśmy kowalami swojego losu

Ucieczka od bezradności to zmora współczesnej kultury



TOMASZ STAWISZYŃSKI

– filozof, publicysta, autor książki „Ucieczka od bezradności”

dobę. Globalna sieć oplatająca rzeczywistość, wystawiająca na widok publiczny dosłownie każdy zakątek, amerykanizacja kultury masowej – wszystko to sprawia, że wyobrażenia sukcesu, szczęścia, spełnienia i prestiżu stały się jak nigdy dotąd uniwersalne i dostępne.

Czyli jak zwykle wszystkiemu winne są smartfony.

– Myślę, że jest wiele źródeł sytuacji, w której się znaleźliśmy, ale główną przyczyną to radykalne uryn-kowanie, zmonetyzowanie niemal każdego aspektu ludzkiego życia. To czynnik główny i fundamentalny, który sprawia, że pragniemy coraz bardziej i coraz więcej. Całe nasze życie podporządkowane jest dzisiaj logice rynku, w której szybki zysk jest wartością nadrzędną. To sprawia, że – siłą rzeczy – negacji i marginalizacji ulegają aspekty, które w tej logice się nie mieszczą, zaprzeczają jej. Stąd paniczny lęk przed bezradnością, przed śmiercią, smutkiem, melancholią, stratą, która jest nieodwołalna, której nie sposób złagodzić. Bo strata, smutek, śmierć nie mieszczą się we współczesnej narracji.

Powszechnie dostępne media cyfrowe potrafią stwarzać (imitować) rzeczywistość, kreować inną, atrakcyjniejszą, w miejsce tej trójwymiarowej i postrzeganej pięcioma zmysłami.

– Myślę, że zatarcie granic pomiędzy realnym a wirtualnym, między prawdą a fantazją jest bardzo niebezpieczne. Owszem, zawsze te granice jakoś się zacierały, ale nigdy w takiej skali. Zwróćmy uwagę, że wszystkie projekty totalitarne charakteryzuje właśnie pomieszenie fantazji z rzeczywistością. Na tym też zasadza się ostatecznie ich upadek, bo nieumiejętność odróżnienia tego, co realne, od tego, co wyobrażone, musi prowadzić do klęski. Po prostu – rzeczywistości nie da się nagiąć do wyobrażonego ideału. Tymczasem technologia, a szerzej współczesny turbokapitalizm, w sposób nieograniczony intensyfikuje produkcję pragnień. System kapitalistyczny umiejętnie gra na naszych wewnętrznych potrzebach – szczęścia, nieśmiertelności, zdrowia, lepszego, piękniejszego, bardziej sprawiedliwego świata. Obsługuje to, czego nie są już w stanie obsłużyć wielkie uniwersalne filozofie i religie.

Kapitalizm tłumaczy, po co jesteśmy, skąd pochodzimy, dokąd zmierzamy?

– Powiedziałbym raczej: sprawia, że uciekamy od tych pytań. Sięgamy po różne produkty i oferty, które obiecują nam, że się nie zestarzejemy, że osiągniemy wieczną szczęśliwość, że nie będziemy musieli mierzyć się z pustką i przemijaniem. Jesteśmy bombardowani idealnymi wizjami świata, wizjami samych siebie, wzorcami doskonałości, które są przedstawiane jako jedyne możliwe

Całe nasze życie podporządkowane jest dzisiaj logice rynku.

drogi. Za pośrednictwem internetu są one prezentowane zarówno dzieciom ze slamsów, jak i dzieciom prawników z Beverly Hills, tym z bogatych stolic i tym z biednych prowincjonalnych miasteczek. To sprawia, że wszyscy uczestnicy wirtualnej rzeczywistości pragną tego samego. Chcą mieć te same piękne ciała, te same wille, odbywać te same ekscytujące podróże. Ale to niemożliwe. Dostęp do tych dóbr jest ograniczony, a system opiera się na nierównościach i nierówności utrwała, za razem skutecznie to kamuflując.

Wyobrażenia sukcesu i prestiżu stały się jak nigdy dotąd uniwersalne i dostępne.

Francuski antropolog René Girard, na którego się powołujesz, zastąpił tezę, że w toku dorastania i edukacji uczymy się naśladować nie tylko cudze zachowania, ale i cudze pragnienia. Pragniemy tego i tylko tego, czego pragną inni. To musi prowadzić do wiecznego konfliktu – także z samym sobą.

– Pokolenie, które całe życie spędziło w epoce mediów społecznościowych, ze smartfonem w dłoni, dopiero dorasta. W najbliższych latach okaże się, jakie to będzie miało konsekwencje. Na razie statystyki pokazują, że w grupie osób między 12. a 17. rokiem życia mamy lawinowy wzrost zaburzeń depresyjnych i lękowych. Nie wiem, czy to się skończy jakimś wielkim społecznym buntom. Bardziej prawdopodobne jest, że w wyniku kanalizowania tego konfliktu dojdzie do jeszcze większych

polaryzacji pomiędzy różnymi tożsamościowymi stronnictwami.

Początki już widzimy. Mam na myśli lewicowe narracje emancypacyjne spod znaku teorii krytycznych. Powstawały one na fali walki z nierównościami i dyskryminacją, miały na celu poprawę losu mniejszości seksualnych, rasowych, etnicznych. Nowa, młoda lewica, która identyfikuje się z tymi narracjami – widać to na amerykańskich kampusach, ale i w internecie, również polskim – pogrąża się jednak coraz bardziej

w wyniszczających tożsamościowych wojnach, nakręca takie zjawiska jak *cancel culture* (kultura unieważniania) i *call-out culture* (kultura wywoływania – publicznego oskarżania). Owszem, te zjawiska bywają pożyteczne, bo pozwalają osobom bez kapitału społecznego czy kulturowego realnie stanąć do walki z systemem, ale dawno wymknęły się spod kontroli. Mam wrażenie, że nowa lewica wpadła w dziwną spiralę autodestrukcji. Poziom moralizmu i purytanizmu, który w tych środowiskach panuje, a przede wszystkim

absolutne przekonanie o swojej czystości i doskonałości, ślepotą na własną przemoc i uwikłanie, odmowa jakiegokolwiek dyskusji połą-

czona z delegalizowaniem każdego, kto ma choćby odrobinę inne zdanie – to wszystko są zjawiska bardzo niepokojące. I przy okazji napędzające popularność radykalnej prawicy. **Przecież *cancel culture* i *call-out culture* robią zawrotną karierę.**

– I bywają bardzo szkodliwe. W internetowych panikach moralnych nie ma miejsca na niezgodę czy negatywną weryfikację. Jeśli ktoś już raz zostanie zdefiniowany jako zły, nie ma możliwości uchylecia tej diagnozy. Jeżeli bowiem brakuje bezpośredniego dowodu, że jest zły, to – w myśl tych ideowych modeli – przecież nie znaczy, że nic nie zrobił. Wręcz przeciwnie! Jeśli nie ma dowodów, można powiedzieć, że to właśnie przemocowa kultura stoi za ich ukryciem. Owszem, czasami tak bywa. Rzecz w tym, że tutaj każdy głos dystansu wobec jakiegś

► internetowej nagonki, każda próba zwrócenia uwagi, że nie powinno się skazywać człowieka bez dowodów jego winy, są uznawane za współsprawstwo. To kompletne pomieszanie porządków.

Chciałbym podkreślić, że jestem absolutnym zwolennikiem używania internetu w walce z przemocą i że głos ofiar często jest w tym świecie marginalizowany, realne ofiary bezwzględnie trzeba wspierać. Nie ma z tym jednak nic wspólnego wszczywanie panik moralnych, totalna negacja wszelkich racjonalnych zasad dochodzenia do prawdy, ferowanie wyroków na podstawie niesprawdzonych przesłanek. Instytucje prawa nie zostały wymyślane ot tak, ale właśnie dlatego, że uświadomiono sobie, jak zawodne i niewiarygodne bywają nasze poczucia, przypuszczenia i intuicje. I jak duży wysiłek oraz poznawcza ostrożność są potrzebne, żeby ustalić stan faktyczny.

Słyszymy, że na wszystko jest lekarstwo, terapia, coaching, ale potem okazuje się, że to nieprawda.

Chodzi mi wyłącznie o to, że tracimy dziś możliwości negatywnej weryfikacji, uznajemy się za nieomylnych, wyłączamy ewentualność błędów i pomyłek. Tymczasem ludzki umysł specjalizuje się w wyprowadzaniu siebie i innych w pole. Powtórzę: potrzeba precyzyjnych metod i wysiłku, żeby w jego machinacjach się zorientować.

Dyskusja w takich warunkach wydaje się bardzo trudna. I to ze środowiskami, które same deklarują się jako tolerancyjne.

– Za ten stan rzeczy odpowiada też ogólne rozemocjonowanie kultury, w której żyjemy, intensyfikowane przez internet. Powszechny kult emocji jako wyższego źródła prawdy sięga kontrykultury lat 60. Wówczas emocjonalny „autentyzm” przeciwstawiano rzekomo zimnej i jałowej kulturze racjonalnej. Trzeba iść za głosem serca, a nie rozum – przekonywano. Miało to swoją wagę i atrakcyjność, uzupełniało bowiem racjonalność i sztywność tamtego świata. Emocjonalne postrzeganie i rozumienie rozwinęło się wtedy także w pewnych nurtach

terapeutycznych. Niestety, subiektywne stany emocjonalne stały się dzisiaj głównym kryterium tego, co dobre, a co złe. Ciekawie pisze o tym psycholog Paul Bloom w świetnej książce „Przeciw empatii”. Pozwalamy emocjom kierować naszym życiem. Ten stan rzeczy wspiera oczywiście rynek, któremu rozemocjonowanie kultury jest na rękę. Niesieni emocjami szybciej i łatwiej podejmujemy decyzje zakupowe. Kupujemy kompulsywnie, byle się uspokoić i pobudzić swój ośrodek nagrody.

Wróćmy do nowej lewicy. Sugerujesz, że lewicowa emancypacyjna narracja w gruncie rzeczy jest narracją wykluczającą.

– Nie cała, chodzi o pewną specyficzną odmianę lewicowej narracji, dominującą w części nowolewicowych środowisk i na kampusach uniwersyteckich, choć stopniowo – trzeba przyznać – wypływającą na coraz szersze wody. W jednym

bezwzględnie kapitalistycznego indywidualizmu, dla kultury opartej na wyzysku i przemocy. W rzeczywistości cechuje go autorytarny brak wyrozumiałości, brak zrozumienia, że świat nie jest czarno-biały, że ludzkie sprawy są skomplikowane, bo człowiek jest istotą skomplikowaną, i że każdy ma prawo do błędów, porażki, zapętlenia. A przecież bezradność, upadek, słabość to niezbędne składowe procesy poznawania siebie i dążenia do zmiany. Świat bez możliwości błędzenia, bez bezradności jest światem totalitarnym. Do takiego właśnie świata dążymy, głosząc neopurytanizm – niezależnie od tego, czy niesiemy lewicowe, czy prawicowe sztandary. Historia uczy, że opresji dokonywano i pod jednym, i pod drugim.

Jak wcześniej zauważyłeś, świat totalitarny musi upaść.

– Świat, który nie ma żadnej wyrozumiałości dla błędów, czyli po prostu dla bycia człowiekiem, a do tego opiera się na manichejskim podziale na dobro i zło oraz niewywrótnej narracjach, jest nie do obrony, prędzej czy później musi popaść w niebyt. Pytanie tylko, ile będzie kosztować jego krótsze lub dłuższe trwanie. W takim świecie nie można budować wspólnoty, a brak wspólnoty prędzej czy później prowadzi do wojny.

Prof. Yuval Noah Harari pisał, że trzeba pozwolić sobie na błędy. Że jeśli zależy ci na prawdzie, musisz się wyrwać z czarnej dziury władzy i stracić mnóstwo czasu na błąkanie się po peryferiach. Ale czy dziś błąkanie się to nie zbytni luksus?

– Obawiam się, że mamy coraz mniej czasu na takie poszukiwania, większości z nas na nie po prostu nie stać. Z drugiej strony coraz częściej zauważamy, że coś z tym światem jest nie tak. Coraz częściej doświadczamy pęknięcia pomiędzy tym, co się mówi – że trzeba podążać za marzeniami, że każdy jest kowalem swojego losu itd. – a tym, jak wygląda rzeczywistość. Słyszymy, że na wszystko jest lekarstwo, terapia, coaching, ale potem okazuje się, że to nieprawda. Brakuje jednak języka, brakuje modelu świata, w którym dałoby się doświadczenie tej bezradności jakkolwiek wypowiedzieć.

Rafał Pikuła

FESTIWALE



GRAND FESTIVAL RÓBREGE

WARSZAWA, 25 WRZEŚNIA, KLUB PALLADIUM

Najstarszy festiwal muzyki alternatywnej w stolicy. Choć w nazwie ma odwołanie do reggae, nie ogranicza się do jednego stylu muzycznego. To wiele inspiracji, choćby postpunkowych czy etnicznych, dających pozytywne wibracje w ramach pozakomercyjnych środków artystycznych. To także świadome łączenie stylów i konwencji muzycznych i artystycznych. Tegoroczna edycja ściągnęła takie gwiazdy jak Brinsley Forde & Aswad Experience oraz Lech Janerka. Z młodych projektów będzie można zobaczyć The Beat Rootz oraz Seven Rivers & Kapitan Kivi. (ag)

INLANDIMENSIONS INTERNATIONAL ARTS FESTIVAL

WARSZAWA, 24 WRZEŚNIA-19 PAŹDZIERNIKA

To druga edycja interdyscyplinarnego festiwalu, który skupia artystów z dziedziny teatru, tańca, filmu, muzyki, literatury, sztuki performatywnej i wizualnej. Jego ideą jest budowa łączącego kultury pomostu między Europą i Azją. W programie znalazły się spektakle zespołów teatralnych, takich jak Zuni Icosahedron, Tang Shu-wing Theatre Studio, Alice Theatre Laboratory, Seinendan Theater Company Kamome-za czy Hiroshi Koike Bridge Project. Zobaczymy także kilkadziesiąt filmów z Japonii i Hongkongu podzielonych na kilka sekcji tematycznych. W związku z covidowymi obostrzeniami całość będzie dostępna na platformie VOD, ale na zakończenie odbędzie się koncert na żywo w postindustrialnym kompleksie Praga Centrum w wykonaniu Ichiko Aoby, japońskiej artystki grającej indie folk. (rp)



NA EKRANACH

MIĘDZY OKŁADKAMI



TEŚCIOWIE

reż. Kuba Michalczuk, prod. Polska, już w kinach

Polska A spotyka Polskę B. I to na weselu. To nie może się skończyć dobrze, ale chyba nikt się nie spodziewa, że skończy się tak źle. Po kolei jednak. Miał być ślub, ale pan młody nawiał z kościoła. Wszystko zapłacone – sala, jedzenie, orkiestra, wódeczka. Wiadomo, że zmarnować się nie może. Nowobogaccy rodzice niedoszłego męża, którzy na to się szarpnęli, mówią zatem: bawimy się! Zjeżdża się rodzina, a burzuje robią, co mogą, by pokazać, że sytuacja jest opanowana. Nie ma przecież nic gorszego, niż przyznać się, że coś w życiu nie wyszło. Problem zaczyna się, gdy na imprezę wpadają z prowincji pełni roszczeń i pretensji rodzice zostawionej przed ołtarzem dziewczyny. Zderzenie klas wypada w tym filmie pysznie, bo reżyser koncentruje się nie na realizmie, tylko na ucieleśnieniu wyobrażeń jednej strony na temat drugiej, bawiąc się hiperbolą. Seans więc jest satysfakcjonującym festiwalem hipokryzji, balem pretensji i tańcem obłudy. A kwartet Dorociński, Ostaszewska, Kuna i Woronowicz gra jak z nut. Artur Zaborski

Maciej Jakubowiak
Ostatni ludzie.
Wymyślanie końca świata
Czarne, Wołowiec 2021

Dlaczego tak lubimy historie o końcu świata? Te wszystkie książki o epidemiach i nuklearnych kataklizmach, filmy o pędzących ku Ziemi asteroidach i bezwzględnych kosmitach. Dlaczego raczej kręci nas koniec niż początek? Być może dlatego – jak pisze Maciej Jakubowiak w brawurowym esej – że apokalipsa to taka opowieść, która porządkuje inne opowieści. Poza tym koniec świata się przydaje. Na przykład do tego, żeby świat – kiedy już go nie będzie – stał się wreszcie sensowny. W końcu dopiero z perspektywy końca wiadomo, o co chodziło. Jakubowiak wyrusza do źródeł współczesnej wyobraźni i przedziera się przez gąszcz powieści, filmów, seriali, gier, memów, doniesień medialnych i scen z życia codziennego, po drodze mijając scenariusze katastrofy klimatycznej, fobie technologiczne, lęki demograficzne i obrazy wojny. A wszystko po to, by zbadać naturę tej dziwnej potrzeby kończenia ze wszystkim. Esey wyjaśnia też w pewien sposób niewiarę w kryzys klimatyczny. Bo jak wierzyć w pędzący koniec świata, skoro „nie ma błyskawic i gromów, nie ma znaków i archanielskich trąb”? Taki ma być koniec? Hollywood zrobiłoby to lepiej. Rafał Piłkuła



Kolumnę przygotowała
Agata Gogolkiewicz

Człowiek zwierzęciu człowiekiem

Dolnośląski Inspektorat
Ochrony Zwierząt
rocznie ratuje nawet
tysiąc istnień

Dominika Tworek

Województwo dolnośląskie, 20 km na północ od Wałbrzycha, wieś Pietrzyków. To tutaj znajduje się Dolnośląski Inspektorat Ochrony Zwierząt – organizacja, która od ponad pięciu lat interweniuje w przypadkach najbardziej dotkliwych zaniedbań zwierząt. Rocznie udaje się jej uratować nawet tysiąc istnień.

Teren inspektoratu to kilkuhektarowa działka, z drzewami, pastwiskami i łąkami. Na pozór idylla, choć w praktyce trudno tu o spokój. Już na wstępie obskakuje mnie chmara ucieszonych psów. Obwąchują, pragną zabawy, domagają się głaskania. Staram się każdego z osobna obdarzyć uwagą, ale to niełatwe zadanie, bo jest ich tu ponad 60. Bliżej zapoznaje mnie z nimi prezes organizacji Konrad Kuźmiński.

– To Kruella – wskazuje białą suczkę przypominającą postać ze „101 dalmatyńczyków”. Odebrana pół roku temu z meliny. Dziś widać, że cieszy się życiem, chociaż cały czas walczy z niedoczynnością tarczycy i zapaleniem skórno-mięśniowym. – Gdy ją odbieraliśmy, miała rozpadające się guzy na ciele, anemię i wiele innych schorzeń. Po jej skórze biegały tony pasożytów. Była skrajnie wychudzona, apatyczna, bez chęci do życia. Wszyscy mówili, że powinniśmy ją uśpić. A my o nią zawalczyliśmy i się udało, teraz jest gruba i kochana. Jest naszą damą.



Karmienie psów – na ten moment czekają wszyscy podopieczni.

Weterynarze nie dawali szans na przeżycie także Feniksowi. Odebrany od oprawcy – szanowanego we wsi rolnika – nie mógł ustać na łapkach, wpadł pyskiem do kałuży i już nie miał siły go podnieść. Umierał. W męczarniach, brudzie i błocie. Na krótkim łańcuchu, w nędznej imitacji budy, bez wody. Z zaropiałym ciałem. Dopiero po dwóch tygodniach w DIOZ stanął na wychudzonych łapkach. Jak tu o nim mówią, odrodził się jak Feniks z popiołów.

Dalej poznaję Kajtkę – ofiarę pary pijaków oprawców. Mężczyzna odgrażał mu łapkę, a kobieta patrzyła, jak

– To choroba autoimmunologiczna. Jej organizm sam się trawi. Gdy ją odbieraliśmy, konała z głodu, a lekarze oprawcy stwierdzili, że pies po prostu nie ma apetytu. Yoko ma anemię i przewlekłe zapalenie pęcherza. Non stop wymieniamy jej koce, bo sika pod siebie. A jej właścicielem był lekarz urolog, który twierdził, że to po prostu starcze nietrzymanie moczu – opowiada Konrad, smarując ciało Yoko specjalnym roztworem, który pomaga w problemach skórnych. Każde zwierzę niesie bagaż tragicznych doświadczeń, a pod opieką DIOZ

Prawie każde zwierzę zostaje odebrane w stanie agonalnym. Większość jednak udaje się uratować.

zwierzę przez ponad miesiąc cierpi z powodu krwawiącej i ropiejącej rany, z której wystawała kość. Kajtek przeszedł operację amputacji kikuta. Dziś jest pełen życia, wiecznie domaga się przytulania. W obchodzie po inspektoracie dotrzymuje nam kroku Malucha – niewielkich rozmiarów suczka odebrana z kurnika. Była całkowicie zdziaczka, zapchlona, skrajnie wychudzona. Konrad wziął ją do siebie. Dziś Malucha nie opuszcza go ani na moment.

Odwiedzamy też Yoko, akite odebraną dwa dni temu od rodziny lekarzy z Wałbrzycha. Cierpi na chorobę skóry. Codziennie przyjmuje kroplówki i cały arsenał leków.

jest ich obecnie ponad 150. Są tu nie tylko psy, ale też krowy, konie, świnie czy koty.

Dzień w Pietrzykowie zaczyna się i kończy zawsze tak samo – karmieniem i rozdaniem leków podopiecznym. Później jest mycie i dezynfekcja misek, wymiana wody i wstępne sprzątnięcie. Czynności te trwają od godz. 6 do 10 rano. Reszta dnia to ciągłe porządki i dezynfekcja terenu. Chwila wolnego to czas na pielęgnację zwierząt. Szczegółnej opieki wymagają te z chorobami skóry, które na okrągło trzeba kąpać i zmieniać im opatrunki. Aż trudno uwierzyć, że na stałe zajmuje się tym tylko sześć osób.

Superbohater nr 1 – prezes Konrad

Jednym z tych sześciu superbohaterów jest Konrad. Po dziadku, który na własną rękę ratował zwierzęta, odziedziczył empatię. Jako nastolatek działał w różnych prozwierzęcych organizacjach. Odkrył, że funkcjonowanie niektórych pozostawia wiele do życzenia. W tamtym czasie zobaczył ogrom nie tylko cierpienia zwierząt, ale też ludzkiej hipokryzji. Chciał pomagać, ale lepiej, po swojemu. Gdy miał 19 lat i studiował prawo, poznał Krystynę, która od ponad 20 lat zajmowała się ratowaniem zwierząt. Razem założyli DIOZ, a początki wspólnych działań były bardzo trudne.

Prezes inspektoratu wspomina: – Wracaliśmy nocą z interwencji, z psami w samochodzie, i stanęliśmy na autostradzie, bo skończyło nam się paliwo. Byliśmy bardzo głodni. Jedliśmy resztki frytek leżących od dwóch dni w aucie i obdzwanialiśmy znajomych, kto nam pożyczy na paliwo. Nasza sytuacja finansowa była dramatyczna. W tamtym czasie zwierzęta z interwencji umieszczaliśmy w hotelikach, co kosztowało nas 500 zł miesięcznie za każdego psa. Głowiliśmy się, skąd wziąć takie kwoty. Oddawaliśmy też zwierzęta do domów tymczasowych. Pierwszym był dom mojej babci. Najcięższe przypadki trafiały właśnie do niej. Ona się nimi opiekowała, miała niezwykle podejście do zwierząt.

Remedium na problemy finansowe organizacji okazały się media społecznościowe. Grupa przyjaciół zaczęła umieszczać na Facebooku opisy najtrudniejszych przypadków z prośbą o pomoc. To poruszyło darczyńców, których z czasem zaczęło przybywać. DIOZ zaczął się rozwijać. Ich działalność opiera się w całości na wsparciu ofiarodawców. Choć pieniędzy ciągle brakuje, bo im więcej wpłat, tym więcej interwencji.

– Od początku chcieliśmy stworzyć miejsce, gdzie zwierzęta są wolne. Bo nie wydajemy psów byle komu. Te starsze najczęściej zostają u nas do końca swoich dni. Po tym, co przeżyły, nie chcemy im mieszać w głowie. W tym roku przenieśliśmy się na wieś. Wzięliśmy kredyt,

którego rata wynosi 18 tys. zł miesięcznie. Nie jest łatwo, ale mamy wreszcie swoje miejsce. Właśnie zaczynamy remonty. Chcemy stworzyć tu klinikę weterynaryjną dla zwierząt z interwencji. Będzie światowo. To miejsce ma służyć jako wzór dla innych organizacji – podsumowuje Konrad.

Superbohater nr 2 – inspektor Eryk

Poniedziałkowe popołudnie upływa na szykowaniu leków na cały tydzień. Każdy z ok. 40 leczonych psów ma półteczkę podpisaną swoim imieniem. Codziennie, rano i wieczorem, dostaje przydzieloną porcję. Dla niektórych to kilka tabletek. Te w najgorszym stanie tykają nawet kilkanaście i dostają kroplówki. DIOZ zostawia



Kaspian zmienił się nie do poznania.



w aptecce kilka tysięcy złotych tygodniowo. Leki układa dziś Eryk. Ma 23 lata. Do DIOZ trafił ubiegłej zimy.

– Pamiętam, że było tak zimno, że zamarzła mi twarz, ale musiałem zakasać rękawy i zająć się zwierzętami, sprzątaniem, karmieniem, rozdawaniem leków i zmianą opatrunków. Ludzie nie zdają sobie sprawy, jak ciężka jest przy nich praca. Myślą, że posiadanie psa kończy się na tym, że trzeba z nim wyjść, dać mu jeść, może czasem pogłaskać. Nie mają świadomości, że do ich obowiązków

należy też chodzenie do weterynarza, regularne badanie krwi, dobranie odpowiedniej karmy, którą po jakimś czasie trzeba zmienić. Że psy mogą zachorować. Ludzie nie znają potrzeb zwierząt, bo w podstawówce, zamiast uczyć o ich dobrostanie, mówią nam o pantofelkach wyhodowanych w zakiszzonej wodzie – Eryk nie kryje irytacji.

Podwórze jego rodzinnego domu zawsze było wypełnione różnymi stworzeniami. Były psy, kozy, krowy, konie, papugi. W dzieciństwie, zamiast grać w berka, wołał spacerować z lornetką po lesie. Pod choinkę nie chciał samochodzików, tylko książki o zwierzętach. Szczególnie upodobał sobie konie. Gdy podrośł, został hipoterapeutą, instruktorem jazdy konnej, trenerem woltyżerki sportowej.

Dwa lata temu kupił konia. Takiego po przejściach, z autyzmem. W kwietniu przeniósł się z nim na stałe do DIOZ.

– Zwierzęta były ze mną zawsze i mam nadzieję, że na zawsze ze mną pozostaną. Dają czyste szczęście, bezwarunkową miłość. Pokazują prawdziwe emocje. Poświęcenie dla nich to coś, czego nikt nie może mi odebrać. Czasami nie mam siły, mam zniszczone ręce, jestem cały obolały, pogryziony, podrapany, nie śpię po ponad 30 godzin. Ale przychodzę tu, a one wszystkie zawsze okazują radość, że mnie widzą. A ja każdego dnia cieszę się, że tu jestem – mówi ze wzruszeniem.

Walka i złość

Wieczorem na niebie pokazuje się tęcza, a my obserwujemy pasące się na polanie zwierzęta. Historie, które opowiada Eryk, niszczą sielankowy klimat.

– Widzisz te kucyki? – wskazuje dłonią. – Trafiły tu półtora miesiąca temu. Jeden miał w połowie odgryzionego penisa. Od listopada zesłatego roku. Niewyobraźalnie cierpiał, bo tzw. właścicielka „nie wiedziała, że coś jest nie tak”. Choć smród zgnilizny był paskudny, a z penisa wypadały mu larwy. Kucyk przeszedł bardzo poważną operację, członek został amputowany, lekarze wycięli cewkę moczową. Tak się dzieje, jak ▶

► nie kastruje się koni. I wracamy do tematu braku świadomości na temat zwierząt.

Obok kucyków pięknie prezentują się koń i klacz. – Trafiły do nas w maju, w tragicznym stanie. Klacz była żywym szkieletem. W dodatku tak spiętym, że gdyby ukłuć ją igłą, można by tę igłę połamać. Ich właścicielka prowadziła szkółkę i na takich chudych szkapach uczyła jazdy. Ludzie widzą takie rzeczy i myślą, że tak to powinno wyglądać. Te zwierzęta miały straszną astmę, bo w stajni był okropny syf. Miały tak zawalone drogi oddechowe, że początkowo nie dało się zrobić im badań.

Walka zawsze trwa do samego końca. Prawie każde zwierzę zostaje odebrane w stanie agonalnym. Większość jednak udaje się uratować.

– Mamy w sobie ogromną złość na ludzi – przyznaje Eryk. – Cały czas walczymy o to, żeby im pokazać, jak zaniedbali te stworzenia, a nam, dzięki pomocy naszych darczyńców, udaje się zdziałać cuda. Pięknie jest obserwować, jak zwierzęta odzyskują wiarę w człowieka. Nigdy nie oddajemy ich z powrotem opiekcom. Mogą trafić do lepszego domu albo żyć u nas aż do śmierci.

„Polska tradycja” i sprawy sądowe

Jest godz. 22. Zwierzęta już nakarmione, a my jedziemy do weterynarza we Wrocławiu, odebrać wyleczonego szczeniaka. Wizyty u lekarzy zwierząt należą do codziennych obowiązków inspektorów. Gdy wszystko zostaje załatwione, Konrad i Eryk jadą do biura w Jeleniej Górze, żeby zająć się pracą papierkową. Do łóżek kładą się po godz. 3 w nocy.

Następnego dnia rano odwozimy jednego psiaka do domu tymczasowego. Dziś jest czas na interwencję. Takie wyjazdy odbywają się minimum dwa razy w tygodniu i potrafią trwać cały dzień. Są tygodnie, gdy inspektorzy codziennie odbierają maltretowane zwierzęta. Zgłoszeń jest ponad 300, jednak pracownicy DIOZ muszą mierzyć siły na zamiary. Interwencje nie kończą się na odbiorze zwierząt. Liczy się doprowadzenie podopiecznych do właściwej kondycji. Często proces rekonwalescencji

trwa kilka miesięcy, a w tym czasie zwierzęta potrzebują całodobowej opieki. Dlatego inspektorzy selekcionują zgłoszenia, starają się odbierać zwierzęta w najgorszym stanie.

Jedziemy na wieś. Na posesji dwie rozpadające się budy. W środku brudne szmaty. I standard polskiej wioski – czworonogi uwiązane na krótkich łańcuchach. Jeden pies jest zupełnie ślepy, drugi cały w kółtunach, zapchlony. Obok trzy miski, w nich – brudna wodna, namoczony chleb i czarna, trudna do zidentyfikowania maź, przypominająca ekskrementy. Staramy się wyciągnąć od



Malucha czuje się coraz lepiej.



właścicielki podstawowe informacje, ale ta w trakcie rozmowy nagle znikła za progiem swojego domu. Czy psy były szczepione? Nie. Co jedzą? Karmę. Gdzie jest ta karma? Nie ma, skończyła się. Tyle wiemy. Odpinamy więc łańcuchy i zabieramy pieski.

W wypadku takich zaniedbań inspektorzy DIOZ zazwyczaj zostawiają zwierzęta, wydają zalecenia kontrolne i po czasie wracają zobaczyć, czy coś się zmieniło. Ale właścicielka nie była zainteresowana losem swoich „pupili”. Zawozimy więc psy do Pietrzykowa, gdzie lądują na

kwarantannie. Zostają odrobaczone, odpchłone, dostają jedzenie.

W nocy, kiedy Konrad i Eryk przyjadą do biura, zgłoszą sprawę do prokuratury. Będą musieli się uporać z ogromną stertą dokumentów. Na szczęście 90% spraw udaje im się wygrać, choć niektóre ciągną się po kilka lat.

Prezes DIOZ: – Mamy sprawę, którą wytoczyliśmy w momencie założenia organizacji, a ona dalej jest w toku. Prokuratury mają opory przed kierowaniem aktów oskarżenia. Dopiero jak zaczęliśmy pokazywać w internecie twarze prokuratorów umarzających ewidentne sprawy, coś się ruszyło. Ale wtedy my zaczęliśmy dostawać zarzuty, że kradniemy psy w celu przywłaszczenia. Sam mam takich osiem. I to w sprawach, w których właściciele są prawnomocnie skazani za znęcanie się nad zwierzętami. W cywilizowanych krajach ludzie dostają medale za uratowanie zwierzęcia, a w Polsce – zarzuty, że kradną i naruszają mir domowy oprawcy.

Żal i złość – to dwie emocje, które wyczytuję z twarzy Konrada, gdy opowiada o systemie ochrony zwierząt w Polsce. – Opiera się on wyłącznie na działalności organizacji pozarządowych. Służby państwowe są ślepe i głuche na krzywdę zwierząt. Ludzie dzwonią na policję, do straży miejskiej, inspekcji weterynaryjnych, prokuratorów. A później do nas. Jesteśmy ostatnią deską ratunku – podsumowuje. – Zdarza się, że policja czy kuratorzy sądowi sami proszą nas o pomoc. Ale najczęściej zawiadamiają nas osoby, które przez przypadek coś zauważą. Najbliższe otoczenie – sąsiedzi, rodzina – zazwyczaj udaje, że nie widzi problemu.

– Dlaczego tak się dzieje? – pytam.

– To pokłosie naszego zacofania społecznego. Kiedyś jeden poseł głosił, że pies na łańcuchu to „polska tradycja”. I mnóstwo osób tak myśli. Wcześniej mieliśmy chłopca pańszczyźnianego, który był niewolnikiem. Teraz to my chcemy być „panami” w naszym podejściu do zwierząt. Żeby coś ruszyło do przodu, żeby nie było potrzeby naszych interwencji, konieczna jest zmiana mentalności społeczeństwa.

Dominika Tworek

M{a}STO/a
GwiAzd
czyli
InterdySCYPlinarny
FESTiwal
SzTUK 2021



EDUKACYJNY
FESTIWAL
SZTUKI
artnoble.pl



23-25 **wrzesnia** 2021
ŻYRARDÓW

ZACHOWAJ
DYSONANS
{!!!}



CENTRUM
KULTURY



Patronat Honorowy



Marszałek
Województwa Mazowieckiego



ŻYRARDÓW



Powiat
Żyrardowski



Żaktorów



W 128 dni dookoła Anglii

Zuzanna Muszyńska

Idzie w rozczłapanych od wilgoci butach, na plecach niesie namiot, matę, kołdrę, tytanową kuchenkę, aparat ze statką. Po kieszeniach poutykał paczuszki z bakaliami i snickersy. Wody napije się z kałuży, jeśli nie będzie miał innego wyjścia. Oczywiście uzdatnionej. Tomek Kowalski – pierwszy Polak, który przemierzy England Coast Path, ba! – pierwszy człowiek.

Jego wynik – 128 dni na pętli o długości 5064 km – pozostanie przez jakiś czas trudnym do pobicia rekordem.

Góry, morze, śmieci

Na pomysł przejścia ECP wpadł w letni wieczór przy szklance whisky. Około 4,5 tys. km – początkowo planował pokonać je w pięć, sześć miesięcy. Tyle czasu dała mu Łucja, żona. Koledzy byli w szoku, ale wiedzieli, że to zrobi. Dla zaprawionego wędrowca, wielokrotnie wyróżnianego fotografa, nurka z rekordem świata nie ma w życiu żadnych skrótów.

Szykował się do drogi ponad pół roku. Siedział po nocach nad mapami, wytyczał dokładną trasę. ECP to stary-nowy projekt, ścieżki niby są, ale trzeba je odnaleźć. Kupił dobry sprzęt, lekki jak piórko – przydał się zwłaszcza w Kornwalii, gdzie czekał Tomka prawdziwy rollercoaster, góra-dół, góra-dół. Bazowa waga plecaka – bez jedzenia, picia – wynosiła 4 kg. Namiot ważący 539 g, dwuosobowy, kosztował 700 dol. plus cło i transport. Śpiwór, a właściwie ultralekka kołdra, zapewniał ciepło od 3 st. C. Hiker musi się wyspać, na szlaku nie ma miejsca dla zombie. Tomek wyruszył ostatniego dnia lutego z Guildford, miasteczka położonego na południe od Londynu – żona i pies odprowadzili go na mostek. Pojechał pociągami na północ, w okolice Newcastle. Temperatura w marcu, a czasem i w kwietniu, spadała tam poniżej zera.

Pierwszy miesiąc był najtrudniejszy zdrowotnie. Organizm, choć dobrze przetrenowany kilka tygodni

Tomasz Kowalski jako pierwszy przeszedł 5 tys. km nadmorskiego szlaku England Coast Path

przed wymarszem, zaskakiwał. Stopy pokryły pęcherze, bolały kolana, do tego doszła kontuzja piszczeli. Tomek czasem popłakiwał z bólu, ale szedł. Jego przyjacielem był paracetamol, oczywiście zażywany w granicach rozsądku.

Pierwsza para butów okazała się wielkim nieporozumieniem – za wąskie z przodu. Zeszły mu paznokcie i skóra ze stóp, w końcu Tomek wyciął w obuwiu dziury. Uratował go przyjaciel – dostarczył na trasę klasyczne obuwie hikerów marki Altra, z dużymi luzami z przodu, na opuchlizny. Buty starczały na ponad 1 tys. km, potem Tomek zakładał nową parę. Ostatnia, czwarta, stoi na strychu, na pamiątkę.

Wyszedł na trasę w rzeczach rozmiaru XXL, wrócił w L. Waga leciała w dół, mimo że cały czas coś jadł. W nocy dopadał go tzw. głód hikera. Zjadał tabliczkę czekolady albo dwa snickersy, popijał elektrolitami i spał dalej. Z McDonalda wychodził z kanapką na drogę, zjadłszy wcześniej dwa pełne zestawy. Nie pił alkoholu, chyba że miał dzień zerowy, pełen odpoczynku. Lub kiedy na trasie odwiedzili go żona czy przyjaciel, wtedy pijąc z nimi whisky.

Z miesiąca na miesiąc szło się coraz lepiej. Zaczął od kilkunastu kilometrów dziennie, potem cisnął po 30-50, w porywach do 60 km. Najgorsze na trasie są aglomeracje miejskie. Zdarzyła się „aleja ćpunów” w tunelu przy Southampton, którego nie dało się obejść (każde omijanie przeszkody to zmore dodatkowych kilometrów). Smród spalin szokował przybysza z całodobowej kabiny normobarycznej, jaką staje się szlak. Masy śmieci w miastach, pod miastami. Śmieci wyrzucone przez morze. Worek szczurów, które ktoś wyłapał i porzucił. Kli- fy rozjechane przez motory i quady.

– Żal planety, lecimy po równi pochytej – opowiada Tomek. Ale to te gorsze momenty. Potem znów morze, góry, morze, góry... i tylko on.

Magiczna ścieżka

Hikera nie wolno budzić, to jedna z naczelnych zasad savoir-vivre'u wędrowca. Nawet jeśli padasz ze zmęczenia i upatrzyłeś sobie świetne miejsce na nocleg, idziesz dalej, skoro ktoś je znalazł i zajął przed tobą. Czy można liczyć na podobną wrażliwość ze strony napotkanych osób? Tak. Tomek wrócił pozytywnie naładowany – ci, którzy szukają bliskości natury, to dobrzy ludzie.

Były takie dni, kiedy pokonywał 40-kilometrowe odcinki w samotności. Wolał te inne, na tłumnie uczęszczanej South West Coast Path, gdzie roilo się od jednodniowych hikerów. Spotkał też kilku takich jak on. Wielogodzinne cierpienie, pośpiech, żeby zdążyć na przyzwoity nocleg, i mimo to szczęście – nikt nie rozumie lepiej, jak to jest, niż drugi hiker. Nikt tak nie zmotywuje jak inny długodystansowiec z tego samego szlaku.

Żona wspierała Tomka na każdym kroku. – Rozmawialiśmy dwa razy dziennie. Łucja we mnie wierzy, tak jak ja w nią. Czasem to ona myśli za mnie. W idealnym momencie poradziła, żebym zrobił reset w hotelu – wspomina Tomek. Przyjaciel kupił mu grafenowy powerbank, który łąduje telefon w 20 minut – bezcenny gadżet na trasie. Pomagali również obcy. Kiedy przyszło nocować w bunkrze, Tomek poradził się pary lokalsów, czy to dobry plan. Rano przynieśli mu gorącego paja z kurczakiem. Prawdziwa uczta dla kogoś, kto żywił się głównie chińskimi zupkami.

Hiker z tygodnia na tydzień zaczyna przypominać kloszarda. Tomek miał co prawda swoje zasady, codziennie obowiązkowo mył specjalną szmatką „podwozie”, dbał o higienę stóp. Wyprane skarpety suszył w czasie marszu na plecaku, większe prze pierki robił w publicznych toaletach. Raz, po ponad trzech tygodniach bez kąpieli, wszedł do rzeki tak jak stał. Lecz i tak jego wygląd mógł budzić



128 dni na pętli
o długości 5064 km
pozostanie przez
jakiś czas trudnym
do pobicia rekordem
Tomasza Kowalskiego.



zdumienie. Ludzie w sklepach mimo maseczek na twarzach czasem czuli jego przykry zapach. Nikt nie reagował nerwowo. Zdarzały się za to międzyludzkie cuda. Lekarz, do którego Tomek udał się po pomoc, udzielił mu bezpłatnie porady, podarował specjalne plastry na obolałe stopy, a na koniec zaoferował pracę u swojego brata, który poszukiwał dobrego fotografa. Innym razem Tomek zostawił w publicznej toalecie swój aparat. Kiedy po niego wrócił, zastał pusty haczyk na ścianie. Odnalazł na ulicy człowieka, który kręcił się w pobliżu, spytał – bez wielkiej nadziei – czy ten coś widział. Owszem, zauważył zgubę i odniósł ją na posterunek policji.

Zdolny, a skromny

Zrobił na trasie 3 tys. zdjęć. Mało, ale na więcej nie miał sił. W połowie marca dowiedział się, że został wyróżniony w Sony World Photography Awards 2021 za streetowe zdjęcie narkomanów z Londynu. To jedna z wielu nagród Tomka, któremu „ulica płynie w żyłach”. Skromny, spokojny – tak o nim mówią znajomi. Można z nim konie kraść. W Londynie pracował z bezdomnymi, głównie Polakami. Fotografował, wchodził w ich świat. Bardzo mu to pomogło na trasie. – Zdarzało mi się utknąć na ECP w mieście. Nie każdy byłby w stanie

przespać się w publicznej toalecie albo rozbić namiot w parku. Ja mogłem, bo już wcześniej to przeżyłem.

W dzieciństwie jeździł na obozy ZHP, takie z namiotem wojskowym rozbitym na środku polany oraz siekierą, piłą i workiem gwoździ niezbędnymi do zbudowania latryny i prycz. Potem wspinał się, uprawiał łucznictwo, podnosił ciężary. Ma 44 lata, zajmuje się handlem internetowym. Kiedy stuknęła mu czterdziestka, postanowił, że pójdzie na jedyny życiowy skrót i nie będzie pracował więcej niż dwa dni w tygodniu. Jest w tym dobry, wystarcza mu kilka godzin. Powoli wraca do obowiązków, ale ciągnie go do lasu. Od powrotu z ECP przeszedł 300 km, przespał kilka nocy w namiocie. Spanie przy drogach szybkiego ruchu odcisnęło swoje piętno. Już nie umie żyć w czterech ścianach.

Tomek ma pewność, że przed nim nikt nie pokonał ECP, ale tym się nie chwali. Przed startem zdradził szczegóły swoich planów żonie i kilku znajomym, po co zapeszać. Wiele osób nawet nie wie o istnieniu ECP. Na koncie Tomek ma także najdłuższe zanurzenie w zimnej wodzie przy wybrzeżach Szkocji w 2017 r., na 17 godzin i 8 minut – dokonał tego z Michałem Pozumskim. „Nie dla Guinnessa, nie

dla pieniędzy – dla zabawy!”, napisali o swoim sukcesie na facebookowej stronie.

Na szlaku jest jeszcze wiele do zrobienia. Nie wszędzie jest dobrze oznakowany. Latem zieleń na wybrzeżu wybucha, ścieżki zarastają. Tomek korzystał z rządowej strony, codziennie na bieżąco sprawdzał przebieg trasy, szukał ścieżek alternatywnych. Wiedział, że mogą się okazać niezbędne, np. by obejść poligon wojskowy, na którym wywieszono czerwoną flagę. Na ospujących się klifach nie powinno się iść wyznaczoną ścieżką, on czasem musiał tamtędy przejść. Ktoś mu odpowiedział, żeby pokonać rzekę wpław, miało być płytko. Uciekł z głębiny przemoczony do cna i znów nadrabiał kilometry. Nie ma to jak własny *research*. Jak choćby informacja, że ▶

► w Anglii ginie rocznie ponad 30 osób stratowanych przez krowy. Tomek uważał na zadziorne byczki, nieraz napędziły mu strachu. Spotkał chyba wszystkie gatunki zwierząt, jakie żyją na Wyspach. Mijał kolonie fok, martwe walenie na plaży. Z podróży przyniósł zabytkową sześciopensówkę. Innych skarbów nie taszczył, chociaż znalazłoby się to i owo. Nie po to ciął na pół szczoteczkę do zębów czy wycinał niepotrzebne kawałki z plecaka, żeby dźwigać pamiątki.

Nienawidził miejsc, gdzie szlak prowadzi szosą bez pobocza. Czasem musiał wędrować nocą, przez pola. Zdarzało się, że sypiał pod gołym niebem. Może trafił się taki dzień, kiedy nic go nie bolało, ale i tak szedł szczęśliwy. Odcięty od zgiełku mediów, brexitu. Zrobił 6,5 mln kroków. Kiedy zdecydował się dotożyć do ECP granicę angielsko-walijską i angielsko-szkocką, wędrówka wydłużyła się o kilkanaście dni. Uznał, że to jedyna okazja, by zrobić pętlę wokół Anglii.

Szlak go umęczył. W hrabstwie Devon dręczyły go majowe deszcze, na granicy angielsko-walijskiej przeżył



zdążyć wydeptać przez lata szlak. Anglicy kochają tradycję.

24 kwietnia 1932 r. ponad 400 wędrowców, którym przewodził Benny Rothman, mechanik z Manchesteru, wtargnęło na wyżynę Kinder Scout w Peak District, gdzie hodowano dzikie ptactwo dla bogatych myśliwych. Zwykli ludzie nie mieli wstępu na wrzosowisko. Tłum chciał unaocznic

by przekonywać farmerów do tej idei. Kłody pod nogi rzucali również obrońcy przyrody z Wildlife Trusts i National Trust. Szlak mógł zagrażać ochronie rzadkich gatunków zwierząt. Potrzeba było kompromisów ze strony wszystkich zainteresowanych.

Po wyborach w 2010 r. Richard Benyon, jeden z najbogatszych torysów, obszarnik z hrabstw Berkshire i Hampshire, przejął odpowiedzialność za kontynuowanie projektu ECP. Z początku blokował, co tylko mógł, dopóki nie rozbłysła mu w głowie żarówka – szlak to pieniądź! Potencjalne zyski dla tysięcy nadmorskich biznesów. Przecignięcie na właściwą stronę ludzi pokroju Benyona było bezustanną troską twórców ECP. Kiedy po kryzysie z 2008 r. zaczęło się zaciskanie pasa w sferze wydatków publicznych, na westminsterskim dziedzińcu pojawiła się przyczepa z lodami. Parlamentarzyści lizali i liczyli, ile korzyści przyniesie ECP nadmorskim kurortom.

Któż nie zakochał się w Anglii od pierwszego wrzosowiska? Przez barwne zbocza nieraz wiodły drogi do twardych serc polityków. Rozmowy o ECP prowadzono tam, gdzie dzieje się fioletowa magia, w górach. Potem pozostało tylko usunąć tablice z napisem „Wstęp wzbroniony”. Wytyczenie ECP zjednoczyło właścicieli ziemskich, rolników, ekologów, kajakarzy i alpinistów. Zrobili to dla następnych pokoleń.

Tomek ostatniego dnia na szlaku przeszedł 62 km. Wspiął się na wzgórze, ujrzał ze szczytu wschodnie wybrzeże Anglii – i to był ten moment. Wielka, nieopisana radość.

Zuzanna Muszyńska

Zaczął od kilkunastu kilometrów dziennie, potem cisnął po 30-50, w porywach do 60 km.

upaty. Granicę angielsko-szkocką przeszedł w cztery dni. W lipcu widział szlak z okien pociągu. Dotarło do niego, jak długą trasę pokonał. I że nie poszedłby drugi raz.

Prawo do drogi

ECP to najdłuższa na świecie ścieżka nadmorska. Jej planowanie zajęło niemal 20 lat i wymagało wielkiej determinacji niewielkiej grupy fanów. „To coś jak najbardziej niepowtarzalnego i bardzo angielskiego”, chwalił szlak jego twórcy. I na pewno jest co chwalić – Anglia pokazuje światu, że jest krajem dostępnym dla każdego. Prawo do drogi w Anglii i Walii (ang. *Right of way*) to rozwiązanie prawne unikatowe w skali światowej, gwarantujące możliwość używania dróg, ścieżek wiejskich i szlaków konnych wytyczonych na gruntach należących do osób prywatnych. Aby dostać się do przepięknych wrzosowisk, gór czy dolin, można poruszać się po prywatnym terenie za zgodą właściciela lub nawet bez niej, jeżeli piechurzy

fakt, że duże obszary na terenach wiejskich były niedostępne dla Anglików. W duchu Kinder Scout odbyła się w drugiej połowie XX w. walka o łączenie w jedno nadmorskich ścieżek. W końcu Partia Pracy wpisała w swój program postulat powszechnego dostępu do terenów zielonych. Rząd Tony’ego Blaira to zaakceptował. Przyjęty na początku nowego tysiąclecia CRoW Act – Countryside and Rights of Way Act – objął rozmaite drogi, ale nie ścieżki nadmorskie. A że w hrabstwie Essex nie ma gór ani wrzosowisk, są jedynie nadmorskie ścieżki, narodziła się tam inicjatywa wytyczenia Essex Coast Path, która z czasem rozrosła się do England Coast Path.

W 2007 r. minister środowiska, żywności i spraw wsi David Miliband (brat Eda Milibanda, byłego szefa Partii Pracy) ogłosił z białych klifów w Dover oficjalny plan stworzenia ECP. „Jesteśmy narodem wypiarzy. Wybrzeże jest naszym dziedzictwem i każdy powinien móc z niego korzystać”, powiedział. Armia wolontariuszy wyruszyła w drogę,

Geopolityka to nie fantastyka

Na początku lat 70. Wojciech Młynarski napisał tekst piosenki „Co by tu jeszcze sp... panowie, co by tu jeszcze?”. Właściciele obecnej Polski chyba zapomnieli, że sytuacja geopolityczna nie jest dana raz na zawsze. I tak, mówiąc słowami poety, sp... ją koncertowo. I relacje z Brukselą, i te z Waszyngtonem.

Waszyngton... Wysłali obraźliwą depeszę do nowego prezydenta USA, byli ostatnimi, którzy pogratulowali mu wygranej, otwarcie mówili, że dogrywka wyborów, sądowa i uliczna, spowoduje wygraną ich kandydata, czyli poprzedniego prezydenta. Mówili językiem najbardziej skrajnych zwolenników Trumpa.

Następnie chcieli (i chcą nadal) zabrać firmie z USA jej własność. A teraz dziwią się, że USA poparły Niemcy i ich, wspólny z Rosją, projekt gazociągu. I to nawet nie informując o tym Polski. Jak postępują państwa mające dyplomację po takich błędach przed wyborami, w ich trakcie i po nich? Zmieniają ambasadora! Zwalają wszystko na starego (choć dobrze wiadomo, że działał zgodnie z instrukcjami), a do Waszyngtonu jedzie nowy wysłannik. Czysta karta! Wiemy, że ławka PiS jest krótka, że trzeba by znaleźć kandydata wiarygodnego dla demokratów, choćby po to, żeby go wysłuchali, gdy będzie przedstawiał polskie argumenty. Tyle że w Polsce stanowisko, funkcja i prestiż ambasadora zostały tak zdeprecjonowane, że wiarygodnych i profesjonalnych kandydatów brak.

Właściciele obecnej RP wydają się nie zdawać sobie sprawy, że pozycja geopolityczna Polski może jeszcze się pogorszyć. Co dla USA jest największym wyzwaniem w polityce międzynarodowej? Oczywiście rosnąca

pozycja Chin. Dlatego Ameryka próbuje ją równoważyć poprzez dobre stosunki z państwami Azji Południowo-Wschodniej, np. z Wietnamem, który obecnie znacznie bardziej obawia się północnego sąsiada niż USA.

Prędzej czy później USA będą musiały się dogadać w tej sprawie i z Rosją, dla której Chiny są może jeszcze nie strategicznym, ale już taktycznym zagrożeniem. Również ze względu na długość granicy (ponad 5 tys. km), masowe osiedlanie się Chińczyków na Syberii czy gospodarcze partnerstwo Rosji jako wyłącznego dostawcy surowców. A jeżeli tak, jeżeli zaczną być realizowane odwrócenie gry Kissingera, to będziemy wspominać amerykańskie poparcie dla gazociągu jako miłe pieszczoty.

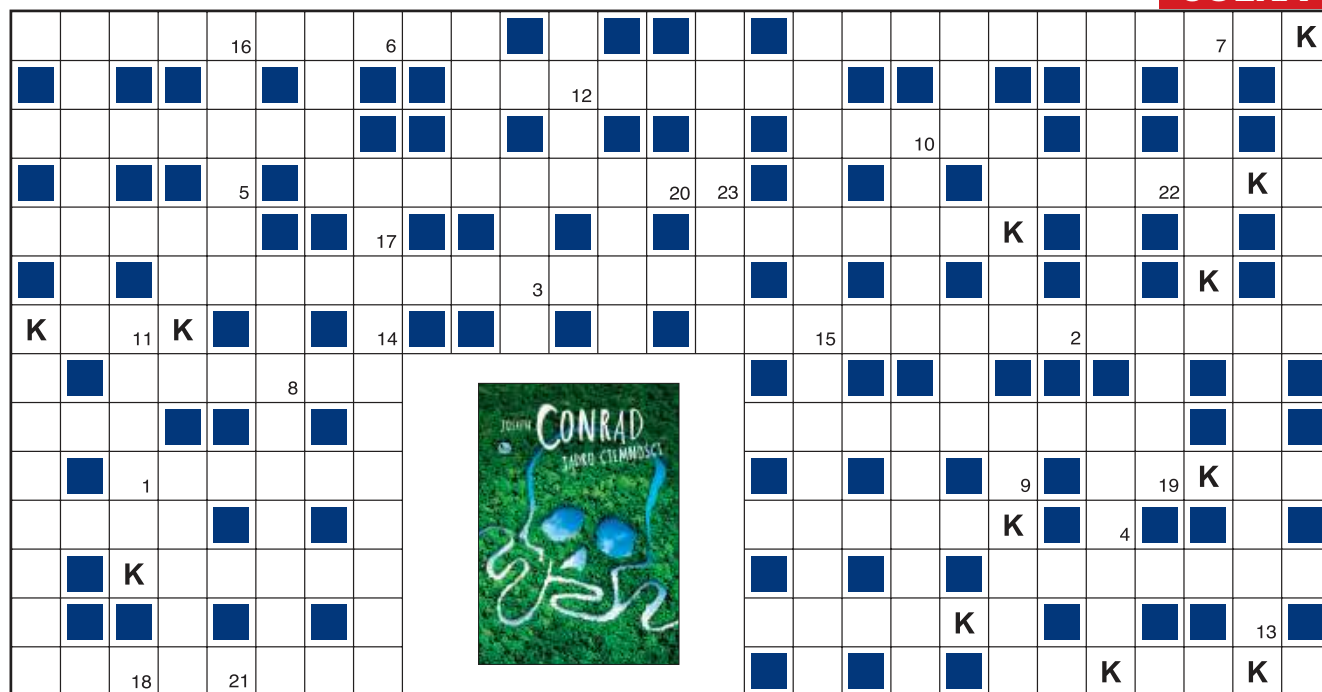
Kilka tygodni temu pisaliśmy o wizycie ministra Raua w Pekinie. Był on tam w tym samym dniu co minister spraw zagranicznych Serbii. Po tych wizytach minister spraw zagranicznych Chin Wang Yi oświadczył, że jego kraj jest zainteresowany pragmatyczną współpracą z państwami naszego regionu. Ale współpracą geostrategiczną i w dziedzinie bezpieczeństwa już nie. Wytykaliśmy Rauowi, że w ten sposób chiński minister go wkołał, ujawniając jakieś zbyt daleko idące deklaracje. Być może chciał uspokoić Amerykanów... Albo dać sygnał: to jest wasze, tego nie ruszamy, ale to jest nasze! I tu np. pokazał obszar wokół ChRL. A jeśli był to sygnał dla Rosji, że Chiny nie będą ingerować geopolitycznie w jej byłą strefę wpływu? Bo przecież nadal jesteśmy geograficznie znacznie bliżej Rosji niż USA.

Geopolityka to nie fantastyka.

Attaché

Szczepienie przeciw COVID-19 na pływającej wyspie na jeziorze Titicaca w Peru w obecności byłej burmistrz wyspy Rity Subany.





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery K ujawniono. Litery z pół ponumerowanych od 1 do 23 utworzą końcowe hasło.

- wszystkim nam znana właścicielka kota
- mocne, angielskie piwo jasne
- Zillertalskie w Austrii i we Włoszech
- imitacja z wystawy sklepu
- i śródmieście, i ośrodek
- przytoczone słowa
- samochód z ratownika-medycznymi

- narodowość detektywa stworzonego przez Ariadnę Oliver
- te góry w przenośni oznaczają maksimum
- grecki poeta i głowa rodziny Simpsonów
- ...własne lub pospolite
- dolina rzeczna o stromych, skalistych zboczach

- kto ma na nim łeb, ten ma olej w głowie
- o ośle
- ptaszek w locie spiżący nektar kwiatów
- bazgroły
- odludek i komedia Moliera
- gruby można popęlić
- chmurka
- "...posłów greckich" Kochanowskiego
- dopływ Odry i miasto z białym kogutem w herbie
- szczapy lub węgiel
- zapusty, kuse dni
- miasto rodzinne Kamila Sipowicza

- merynosy, karakulu i wrzosówki
- reżyser Vega, polityk Jaki
- rozstawiony politycznie liczebnik z plusem
- "...do wnętrza Ziemi" Verne'a
- obowiązek dostarczania np. wojsku wozu z koniem
- frajer...
- wprowadza usprawniające zmiany
- rozciągnięcie, rozpięcie na dużej powierzchni
- azalia, rododendron
- żółto kwitnie, olej z niego
- lek na bek (według Tadeusza Fangrata)
- chęć imponowania, kreowanie się na znawcę
- dokonała czynu sprzecznego z prawem

- napad wściekłości, furia
- uprawa sadzonek, rozsadnik
- stan z Dallas, El Paso i San Antonio
- gościło teraz paraolimpijczyków
- rozdzielczy, bezpieczeństwa lub Tesli
- nie wtykaj nosa do cudzego
- odgłos chodzącego zegara
- do czerpania wody ze studni
- wizja czegoś, pogląd o czymś
- to, co ktoś planuje zrobić
- skład, magazyn
- zawijany lub po nelsońsku
- hałda, wysypisko
- lapidarność, lakoniczność

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

.....

imię i nazwisko:

.....

adres:

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-1031”. Do rozlosowania książki „Jądro ciemności” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 26 września 2021 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1028” z nr. 36: *Kto próbuje, ten poznaje.*

Nagrody otrzymują: Kasia Karkula z Międzyzlesia, Teresa Leśniewska z Kaliszan, Stanisława Rucka z Opola.

PENETRACJE



PROF. JACEK RACIBORSKI,
SOCJOLOG

Jerzy J. Wiatr to gigant polskiej powojennej socjologii i politologii. Nie może być pominięty w żadnym artykule, tym bardziej w książce o dziejach tych dyscyplin. Jerzy J. Wiatr był w grupie kilku osób, która w największym stopniu formowała tożsamość SLD. Tożsamość tę kształtowały nie tyle ogólne deklaracje programowe czynione w partyjnych dokumentach, ile codzienna praktyka polityczna, zwłaszcza udział polityków lewicy w sporach politycznych, debatach parlamentarnych, medialnych polemikach. By zapewnić elementarną spójność przekazu, partia musiała wypracować szybko stanowiska w bardzo wielu sprawach, nieraz bardzo szczegółowych.



WITOLD BEREŚ,
REDAKTOR NACZELNY

Polska ma wkład w budzenie demonów idiotyzmu. Najostateczniejszym wkładem Polski w dorobek głupoty jest walka Polaków z wolnością słowa. Tak, Polaków, bo przestałmy zwalać wszystko na władzę – ktoś jej, kurczę, co chwilę w wyborach daje prawo do łajdactwa. Dziś antyszczepionkowcy nie wierzą w covid, nawet gdy w męczarniach umierają w szpitalach, a nadwiślański prezydent się chwali, jak to on nigdy na grypę się nie szczepił. Przecież to w Polsce została wcześniej założona religia smoleńska na podstawie eksperymentu

z parówkami i gnecionymi puszkami po coca-coli.

Myśl Polska

**MICHAEL
SPRINGMANN,**

BYŁY PRACOWNIK DEPARTAMENTU STANU
I DYPLOMATY

Amerykańska ingerencja w Afganistanie wcale się nie zakończyła. Podobnie jak w innych punktach świata. Może się coś wydarzyć w Afryce, w Iraku, w Syrii, co zostanie wykorzystane jako pretekst. Amerykanie dysponują wyszkolonymi terrorystami. Których użyć mogą do zdestabilizowania dowolnego kraju. Pierwsze ich grupy po wojnie w Afganistanie ze Związkiem Radzieckim zostały przerzucone do Jugosławii, następnie do Iraku, do Libii i Syrii. Ci ludzie nadal istnieją, nie mają zamiaru wracać do domów i mogą być ciągle użyteczni.



KAROL STRASBURGER,
AKTOR

Czekałem w pokoju obok. Ale zaraz po narodzinach dziecko położono mi na gołą klatę. Pomyślałem, że stało się coś niesamowitego – trzymam na ręku żywego człowieczka, którego jestem ojcem. Ten mały człowiek właśnie poruszył małą rączką, dotykając mojej twarzy. Wtedy się popłakałem. A potem czekałem na wynik testu Apgar i te pół godziny było dla mnie dramatem – pomyślałem, że gdyby zdarzyło się coś złego, nie wiem, jak to zniosę. Ale za chwilę dowiedziałem się, że dziecko jest zdrowe, dostało 10 punktów.

Aby język giętki...

**ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI
O ANDRZEJU DUDZIE**

To, co zrobił, nie spotykając się z Merkel, to więcej niż błąd. To jest wielkie głupstwo, które będzie ciążyć na relacjach polsko-niemieckich.

**PROF. MAGDALENA ŚRODA
O BEACIE SZYDŁO**

Jest beneficjentką walki feministek. Bez niej byłaby zwykłą wiejską babą, To nie Kaczyński ją wyzwolił.

SUSANA OSORIO-MROŻEK O MĘŻU

Bywał kapryśny, nadwrażliwy. Denerwował go hałas, nie mógł go znieść. Ciężko było przewidzieć, jak się zachowa.

**ANDRZEJ „PIASEK” PIASECZNY
O SWOIM COMING OUCIE**

Zmobilizował mnie prezydent Duda, gdy podczas kampanii powiedział, że LGBT to nie ludzie, lecz ideologia.

KINGA PREIS O AKTORACH

Mają w sobie patologiczną uległość, wpajaną im już w szkole teatralnej, w której trzeba było przejść fuksówkę.

JAN PESZEK O JAKOŚCI GRANYCH RÓL

Jakość decyduje o wyborze, bardzo tego pilnowałem, pilnuję i będę pilnował.

SŁAWOMIR MIZERSKI O POLICJANTACH

Twardzielowi takiemu jak polski policjant może się wymknąć kibol, złodziej albo pijany kierowca, ale nie emerytka czy dziewczyna z kartonem „jebać PiS”.

**RYSZARD FERENC
O ŻONIE MARIOLI BOJARSKIEJ**

Kiedy żona mówi, że mnie kocha, odpowiadam: *me too*. I powtarzam: patrz na moje czyny, one mówią wszystko.

**MAGDALENA POPLAWSKA
O PORYWACH SERCA**

Jestem bardzo sceptyczna w miłości. I zawsze widzę jej koniec. Może to kwestia zaufania, którego mam niewiele.

JAKUB ŻULCZYK O PODCASTACH

Jestem wielkim fanem podcastów. Słuchanie jest bardziej naturalne dla ludzkiego mózgu niż czytanie.



Weterynarz Michelle Otto i jej asystent Patrick usiłują przygotować nosorożca do operacji usunięcia rogów na ranchu Buffalo Dream w RPA, największej prywatnej farmie nosorożców.

Gdzie diabeł nie może, tam pisarkę pośle?

Konserwatywny kataloński biskup, znany m.in. z praktykowania egzorcyzmów i zaangażowania w ruch „leczenia” gejów, odszedł z Kościoła, by związać się z autorką skandalizujących powieści erotycznych. Xavier Novell Gomá i Silvia Caballol, która bohaterami najnowszej książki „Piekło pożądania Gabriela” uczyniła m.in. anioły, mieli się poznać przy okazji zgłębiania przez hierarchę arkanów demonologii. Według portalu Religión Digital para zamieszkała razem, a były biskup szuka pracy jako inżynier agronom. Wygląda na to, że chłop zamierza się sprawdzić na wielu nowych polach!

Kuchnia pełna niespodzianek

W Lianyungang we wschodnich Chinach właściciel baru, znany jako Li, zapewniał sobie lojalność klientów, dodając do makaronu narkotyki. Jeden ze stałych gości zorientował się, że coś jest nie tak, i zawiadomił policję, co skończyło się nalotem na przybytek i zabezpieczeniem oleju sojowego z chili i opiatami. Li przyznał się do uzależniania klienteli, do czego miała go zmusić trudna sytuacja finansowa związana z pandemią. Jakie czasy, takie opium dla ludu...

Zwierzęca międzynarodówka

Mors arktyczny, który przybłąkał się do wybrzeży Wielkiej Brytanii, zatapia drogie jachty i motorówki. Z kolei w Buenos Aires luksusowe zamknięte osiedle Nordelta zostało opanowane przez kapibary. Zjadają one i brudzą odchodami wypielegnowane trawniki, gryzą psy, powodują wypadki drogowe... Fauna włączyła się w walkę klas? W pewnym sensie tak. Potężny gość z Norwegii, który wdrapuje się na białe łodzie, biorąc je za kry, prawdopodobnie jest ofiarą zmian klimatu, w dużej mierze wywołanych przez bogaczy. Przypuszcza się, że spał na oderwanym kawałku topniejącej góry lodowej, który porwał silny prąd. Z kolei największe gryzonie świata po prostu wracają na swoje – osiedle zbudowano 20 lat temu na mokradłach. Wykłęty powstał lud wody!



MEMY BEZ ŚCIEMY



Przez rurę do studia

49-letni Kev Crane z angielskiego Quorn podpisał kontrakt płytowy dzięki temu, że umiał sobie śpiewem kładzenie płytek oraz instalowanie hydrauliki. Okazało się bowiem, że jego zleceniodawca jest właścicielem wytwórni New Reality Records. – Słyszałem, jak Kev śpiewał, kiedy pracował. Powiedziałem mu, że ma dobry głos, a on wspomniał, że pisze piosenki i nagrywa je w domu. Wystąpił mi kilka i rzucił mnie na kolana – skomentował Paul Conneally. No i wyśpiewał!

W głowie się nie mieści, ale na dysku tak

Posiadacze komputerów o odpowiednio dużych dyskach mogą ze strony github.com/uchuuproject pobrać... Wszechświat. Międzynarodowy zespół naukowców





Met Gala 2021 – jedno z największych modowych wydarzeń roku odbyło się w nowojorskim Metropolitan Museum of Art.



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:
Paweł Dybicz e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępcy redaktora naczelnego:
Roman Kurkiewicz e-mail: r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Robert Walenciak e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:
Joanna Wielgat e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz

e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Boreja (Kraków),
Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna
(Zielona Góra), Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Paula Leśniewska, Maja Markowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini,
Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski,
Jan Ordyński, Rafał Pikula, Maciej Polkowski,
Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,
Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumilowicz, Krzysztof Wasilewski,
Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan,
Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek,
Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Widacki,
Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burzelka,

Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoreporterzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyszyn

Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Koordinator ds. innowacji i mediów społecznościowych:

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl

Koordinator ds. komunikacji i PR:

Piotr Ciszewski e-mail: p.ciszewski@tygodnikprzeglad.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:

Izabela Strupichowska

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy. Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszaków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPLP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



Czeski film (wojenny)

Realistyczna oprawa graficzna gry komputerowej „Army 3” wprowadza w błąd kolejne duże media. Swego czasu rosyjska telewizja potraktowała fragment rozgrywki jako relację z walk w Syrii, a niedawno indyjskie media wzięły wideo z produkcji czeskiego studia Bohemia Interactive za dowód na ofensywę pakietańskiej armii w broniącej się przed talibami dolinie Pandższar. Cóż, kiedyś do wywołania wojny światowej potrzeba było Mariana Kociniaka, dzisiaj pewnie wystarczyłby animowany czołg.

Opowieści z krypto-

Salwador jako pierwszy kraj globu ogłosił bitcoina swoją oficjalną walutą. Rząd tego niewielkiego państwa kupił 400 bitcoinów za ok. 80 mln dol. i zamierza sukcesywnie dokonywać nowych transakcji, a tymczasem obywatele i obywatelki mogą już popularnym cyfrowym pieniądzem płacić w sklepach. W podobnym kierunku zmierza Ukraina, której prezydent Wołodymyr Zełenski jest fanem kryptowalut. Jego plan zakłada, że w 2023 r. w kraju będą dwie waluty, tj. hrywna i bitcoin, przy czym dominować ma ta druga. Nie jesteśmy pewni, czy to dobry pomysł, ale brzmi kozacko!





Pola Dwurnik, „Litości!”, 2008/2009, olej/płótno



Laura Paweła, bez tytułu [Chcę się już stąd wynieść], 2003, lightbox

ARTYSTA jest obecny

patronat **PRZEGLĄDU**

Wystawa „Artysta jest obecny” to prezentacja strategii artystycznych opartych na użyciu przez twórcę własnego ciała jako środka wyrazu i źródła symboli. Podstawowym polem tego działania jest autoportret. Dalej – badanie wytrzymałości ciała, jego atrakcyjności, oszpeceń i operatywności. Tu najlepiej sprawdzają się malarstwo i performans. Ta sztuka jednoznacznie deklaruje, że podstawowym materiałem i inspiracją w twórczości wizualnej jest człowiek.

Cielesność wyraża na wystawie kondycję psychiczną i fizyczną artysty. Ujawnia się to szczególnie w dokumentacjach akcji i performansów, których twórcy testują możliwości i ograniczenia własnego ciała, niejednokrotnie łącząc je z eksperymentami medialnymi. Intencje artystów są różne – od refleksji nad samą sztuką po społeczno-polityczny bunt.

Na ekspozycji możemy zobaczyć prace Mariny Abramović, Jerzego Beresia, Rafała Bujnowskiego, Poli Dwurnik, Natalii LL i wielu innych, nie tylko polskich artystów.

**Muzeum Sztuki Współczesnej
w Krakowie MOCAR**
ul. Lipowa 4
do 20 marca 2022



Géza Perneczky, z cyklu „Concepts like Commentary”, 1972, fotografia



Marcin Maciejowski, „Bo to nie jest...”, 2014, olej/płótno

Ray Cooney

REŻYSERIA
Jerzy Bonczak

PRZEDKAD
Elżbieta Wodniał

Kochane pieniądze

PREMIERA
PAŹDZIERNIK 2021



• KUP

BILET
KONTROLA

GRAMY BEZPIECZNIE

• KUP BILET •

www.teatrcapitol.pl

REŻYSERIA
OLAF LUBASZENKO

BRZEŹNICA
• 2020 •

PREMIERA - WRZESIEŃ 2021

10 LAT
AURORA



Srebrny Niedźwiedź
dla najlepszej aktorki
Nagroda FIPRESCI

70^e Internationale
Filmfestspiele
Berlin

EUROPEAN FILM AWARDS 2020



W I N N E R
EUROPEAN ACTRESS

Paula **BEER**

/„FRANTZ”, „OBRAZY BEZ AUTORA”/

Franz **ROGOWSKI**

/„TRANZYT”, „HAPPY END”/

Undine

Symboliczna opowieść o miłości i przeznaczeniu

REŻYSERIA **CHRISTIAN PETZOLD**

/„FENIKS”, „BARBARA”/

W KINACH OD 24 WRZEŚNIA

Projekt współfinansowany w
ramach programu Unii Europejskiej
„Kreatywna Europa”

